

Trendy dekady:  
tak będzie wyglądał  
świat za 10 lat

32



Oscary 2011  
- typujemy,  
kto je dostanie

46

Jak wychować  
dziecko doskonałe?  
Chinka uczy świat

20

# PRZE KROJ

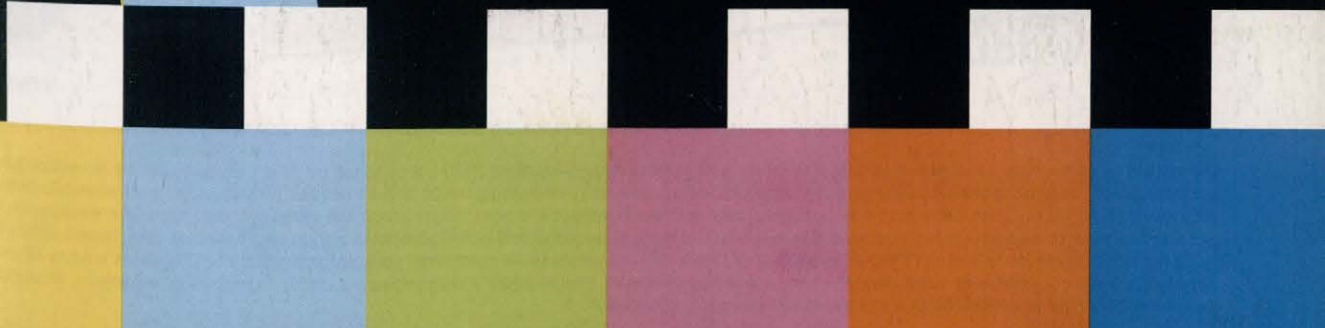
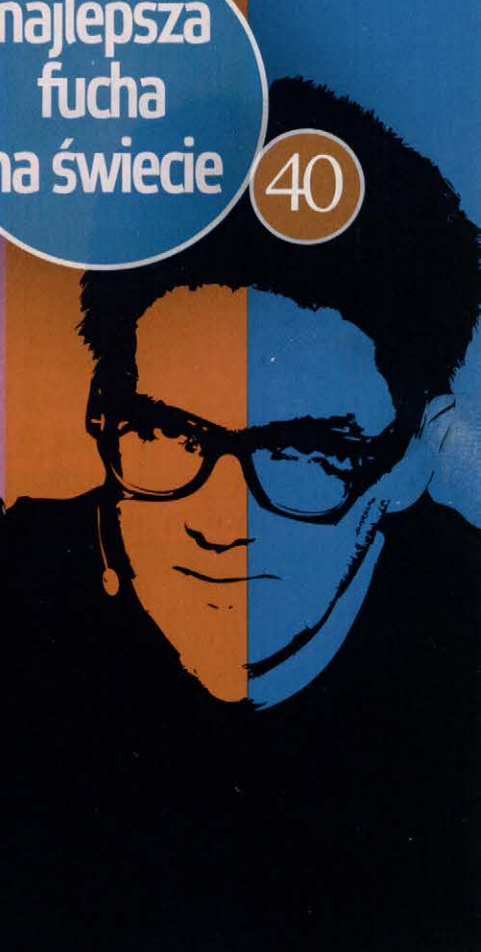
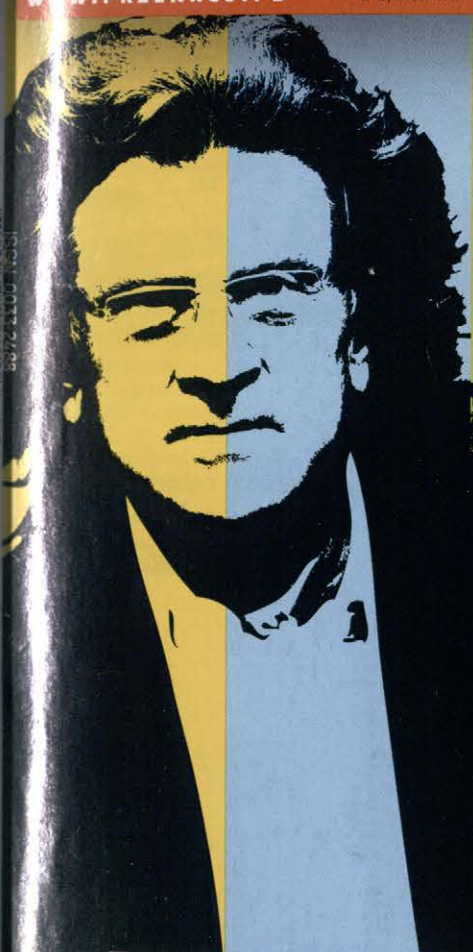
NR 3423 / 1 LUTEGO 2011 / CENA 5 ZŁ  
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 8% VAT



# Zawód Juror

najlepsza  
fucha  
na świecie

40







**zima** – w teorii to jedna z czterech pór roku, charakteryzująca się niskimi temperaturami, które wprowadzają świat roślin i zwierząt w stan uśpienia.

**zima** – w praktyce to najgorętszy czas w roku: sprzedaż rocznika 2010.



Fiat Panda – rabat do 6500 zł plus pakiet OC, AC, NW  
**za 290 zł**

Fiat Punto Evo – rabat do 9000 zł plus pakiet OC, AC, NW  
**za 490 zł**

Fiat Bravo – rabat do 9000 zł plus pakiet OC, AC, NW  
**za 790 zł**

**Kredyt 5 lat x 0%  
bez wpłaty własnej.**

VAT  
W GÓRĘ  
CENY  
FIATA  
W DOŁ



www.fiat.pl

Prezentowane samochody są jedynie ilustracją. Oferta dotyczy samochodów z rocznika 2010 i obowiązuje od dnia 1 stycznia 2011 r. do wyczerpania zapasów, z zastrzeżeniem, że w przypadku rabatów połączonych z pakietami ubezpieczeń nie dłużej niż do dnia 31 marca 2011 r., a w przypadku kredytu 5x0% bez wpłaty własnej nie dłużej niż do 31 stycznia 2011 r. W przypadku niewyczerpania zapasów w powyższych terminach okres promocji może ulec wydłużeniu. Kredyt 5x0% bez wpłaty własnej dostępny na wybrane modele. Oferta Kredyt 5x0% nie podlega łączeniu z ofertą rabatową połączoną z pakietami ubezpieczeń. RRSO: 3,37% (parametry kredytu przyjęte do kalkulacji RRSO: Fiat Punto Evo Estiva 1.2, oprocentowanie nominalne: stała stopa procentowa 0%, okres kredytu 60 miesięcy, 30% pierwszej wpłaty, ubezpieczenie spłaty kredytu Bezpieczny Kredyt w opcji Promo i opłata przygotowawcza 5%, finansowane w kredycie. W przypadku innych parametrów kredytu wysokość RRSO może być inna). Szczegóły w salonach.



## PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie redaktor Marian Elle

Poetycki „Przekrój” w sieci:

KLASYKA (© by L.J.)  
My, „Przekrojuwi” ludzie  
My, pogrążeni w trudzie  
Razem się kolyszemy  
Stukając głucho w klawisze  
A gdy do siebie szepczemy  
Że pełzną czas na zebranie  
Głos nasz jak mysz pisk  
Nad pustą miseczką  
Jak smutny nocny śpiew  
Nad suchą szklaneczką  
W skromnej naszej redakcji.

Mózdzki bez formy, brzuszki bez treści, tasiek bez S, komentarze do tekstu bez sensu.

A którzy przekroczyli tamten próg  
I czy mając wybrali telewizor  
Nie wspomną naszych recenzji  
nad podziw błyskotliwych, urody  
cudnej felietonów perlistych,  
esejów głębokich jak dekolt  
samej [...] porażających analiz  
społeczno-politycznych.  
Wspomną, jeśli wspomną,  
tępe ryjki celebów z okładek.

Tak oto kończy się dzień  
I tak oto kończy się dzień  
I tak oto kończy się dzień  
Nie kolacją, ale deadline'em.

HAIKU  
Zabrakło kawy.  
Okrzyki grozy  
Teżaly wśród biurtek

DADA  
pl.przekroj.www



My tu tańczymy podniebnie  
na chwałę muzom, a Facebook,  
Twitter i Blip niecznie poszły w las,  
by oddawać się czynnościom  
intymnym. Zgroza. Ani słowa  
więcej na ten temat.

Las jest tu:  
twitter.com/przekroj\_pl

albo tu:  
przekroj.blip.pl

Albo tam.  
Tam-tam-tadam.

I ty złóż hołd muzom Euterpe,  
Erato i Kaliope. O tu, tu:  
redakcja@przekroj.pl

# W TYM TYGODNIU

ZNUDZENI JAK MOPSY NIE PISZEMY...

...że marszałek Schetyna orzekł, iż Zbigniew Chlebowski byłby w Sejmie następną kadencją kimś „na wagę złota”. Bo zdawało nam się, że Zbyszek, choć oczywiście czysty jak lza, jest na 100 procent załatwiony, a tu proszę – możliwa reaktywacja. Zagadką pozostaje tylko pochodzenie złota, na które liczy marszałek.

...jak bardzo musiał się postarać Michał Ogórek, by znaleźć w TVP Kultura (rzadkie nawet tam) wystąpienie krytyka literackiego, a potem napiętnować programy

„rozumiane wyłącznie przez ich prowadzących”, „zajmujących się czymś, czego żaden widz nigdy na oczy nie zobaczy”, na przykład „książką współczesnego autora”. Bo wiedzieliśmy, że „Gazeta Wyborcza” z szaleńczym wyrafinowaniem i odwagą wspiera misję telewizji publicznej oraz czytelnictwo i kulturę ambitną w ogólności, ale w najsmaczniejszych smach przed telewizorem nie roilo się nam, że aż tak bardzo, by posunąć się do torturowania redaktora Ogórka książkami.

...że PiS-owscy postowie Karski i Zbonikowski tak się spodobali na Cyprze jako crashtesterzy wózków golfowych, że żyć tam bez nich nie mogą i żądają, by nasi parlamentarzyści zapłacili na osłodę tej tęsknoty, skoro nie chcą wrócić na wyspę i testować, co im podłeci. Bo sprawa jest rozwojowa i trudno na razie orzec, jak się skończy. W razie najgorszego proponujemy, by złoto marszałka Schetyny obrócić na wykupienie postów z zachłannej cypryjskiej niewoli.

...że ani trochę się nie dziwimy, iż podpora głowy państwa, minister Sławomir Nowak, nie ma bladego pojęcia, co prezydent ma robić w tym nudnym Davos. Bo przecież od dawna wiemy, że to miejsce nie tylko nieciekawe, ale i niebezpieczne. Taki Hans Castorp też pojechał tylko na chwilę, a musiał odpękać nudne siedem lat. Więc może lepiej pošlijmy tam Ogórka. Jak się wynudzi, to i książkę przeczyta. Może nawet współczesnego autora.

MARCIN SENDECKI

MAREK RACZKOWSKI



LAST MINUTE KRZYSZTOF PLYTA

Karnawałowe szaleństwa: jak twierdzą obcokrajowcy, POLKI nie da się zatańczyć.



## W TYM TYGODNIU

- 6 Świat według „Przekroju” Marka Zajęca i Orbita „Przekroju” Jana Hartmana
- 8 Tydzień z „Przekrojem”

## PRZED WSZYSTKIM

- 10 **Sprawiedliwość? Wiadomo – nierychliwa.** Sprawiedliwość po polsku? Nie dość, że nierychliwa, to jeszcze rujnuje. Nerwy, karierę, życie osobiste. Tekst Agnieszki Fiedorowicz
- 14 **Jest zamach, są ofiary, jest i reakcja władz.** Po pierwsze, zwolnienia, po drugie... Po drugie – też zwolnienia. Rafał Kostrzyński o Rosji
- 16 **Marcin Dubieniecki zdobył serce Marty Kaczyńskiej, teraz walczy o przychyłość jej stryja Jarosława.** Skąd jest, co może, a co mu się wydaje – o tym Donat Szyller i Agata Jankowska
- 19 **Przychodzi polska baba do lekarza, a lekarz Niemiec.** Wkrótce to będzie możliwe. Marcelina Szumer o unijnej dyrektywie
- 20 **Dzieci trzeba trzymać krótko.** A najlepiej bardzo krótko. Do zalet wychowania po chińsku właśnie przekonują się Amerykanie. Czy jest czym się zachwycać, sprawdza Maciej Jarkowicz
- 22 **Franцуз, Włoch dwa bratanki...** Jak się okazuje – niekoniecznie. Z kobiecej perspektywy Franca i Włochy leżą na dwóch różnych planetach. Co dzieli oba te kraje, pokazuje Łukasz Wójcik
- 26 **Krótko**

## ROZMOWA „PRZEKROJU”

- 28 **Grzegorz Miecugow pyta** o przyczyny smoleńskiej katastrofy, major Michał Fiszer je wskazuje

## CYWILIZACJA OD ŚRODKA

- 32 **Jakie będą najważniejsze trendy tej dekady?** Olaf Szewczyk spojrzal w szklaną kulę i już wie

## OD AUTORÓW



### Karolina Pasternak

Co robią u nas jurorzy, zapytacie? Tym razem są oceniani. Pół żartem, pół serio sformułowaliśmy 10 przykazań, zgodnie z którymi powinien postępować juror idealny, by utrzymać się na wizji dłużej niż jedną edycję programu. A serio pytamy, czy jurorowanie, jeszcze dekadę temu kojarzone z chałturą, dziś stało się zawodem ściganym i pożądanym? Odpowiedzi szukaj na s. 40.



### Olaf Szewczyk

Na przełomie XIX i XX wieku pewien amerykański dziennikarz wieszczęt latającą maszynę cięższą od powietrza. Być może – marzył – człowiek skonstruuje taki cud już za tysiące lat! Nie sposób dostrzec przyszłości. Nie śnimy dziś nawet o zmianach, które nas czekają. Można jednak spróbować przewidzieć trendy wyrastające z już widocznych korzeni. O nich na s. 32.



### Kuba Dąbrowski

O Vivian Maier (czytajcie na s. 56) dowiedziałem się z komentarza zamieszczonego na moim blogu. Zguglowałem ją i jej historia wciągnęła mnie jak „Zegnaj, laleczko” Chandlera. Uwielbiam Amerykę i dokumentalną fotografię z połowy ubiegłego wieku. Zastanawiam się, czy podobne odkrycie będzie możliwe za 50–60 lat. Czy cyfrowe zdjęcia w ogóle tyle przetrwają?

- 36 **Lady GaGa świata nauki** pochodzi ze Szwecji. Milena Rachid Chehab o Hansie Roslingu
- 38 **Żebyś wiedział więcej** – felieton Olafa Szewczyka
- 39 **Korzystaj z głową z dyktafonu**

## KONIEC Z KULTURĄ

- 40 **Juror to ma klawe życie.** Karolina Pasternak o najbardziej pożądanym zajęciu w show-biznesie nie tylko w naszym kraju
- 45 **Pamiętacie rzeźbę papieża** przygniecionego meteorytem? Naszego papieża. Jej twórca Maurizio Cattelan znów przyjeżdża do Polski. Sylwetka kontrowersyjnego artysty pióra Jacka Tomczuka
- 46 **Amerykańska Akademia Filmowa sypnęła nominacjami.** „Przekrój” postanowił rozdać Oscary. Kto w tym roku najbardziej zasłużył na statuetkę? Wskazują Małgorzata Sadowska i Michał Oleszczyk
- 50 **Ciemna noc stanu wojennego** właśnie się zakończyła, a w Gdańsku... W Gdańsku wybuchła scena alternatywna. Wspomina Marcin Sendek
- 52 **Lektura:** Tadeusz Nyczek o tym, jak dobrze być reżyserką teatralną, rozmawia z **Agnieszką Glińską**

## OTWÓRZ OCZY

- 56 Cudem odnalezione mogą zmienić świat fotografii. Kuba Dąbrowski obejrzał prace **Vivian Maier**

## RECENZJE

- 62 **Muzyka:** Szubrycht zakochał się w The Decemberists
- 64 **Książki:** Mizuro bez zachwytów o Hubercie Klimko-Dobrzanieckim
- 65 **Teatr:** Sieradzki chłodno o suchotach Chopina
- 66 **Film:** Kalużyński zagubiony na „Pogorzelsku”
- 67 **Komiks:** Frąckiewicz kręci w homoenkławie

## ZAWSZE W PRZEKROJU

- 9 **Kroniki popkultury** Orbitowskiego
- 68 **Rozmaitości** o krzyżówką i jolkę, Obyczajówką Witkowskiego, Lewomyślnie Kurkiewicza, Ładnymi osobami Salwy i kuchnią Gesslera
- 72 **Dziennik** Jerzego Pilcha
- 73 **Stopklatka** 3, 26, 74 Jak zawsze **Raczkowski**



Ilustracja na okładce: Kasper Skirgajłło-Krajewski na podstawie zdjęć Włodzimierza Wasyluka/Reporter, Tricolors/East News, Grzegorza Pressa/TVN

## PRENUMERATA

PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47 a, 00-695 Warszawa, Alior Bank SA 80 2490 0005 0000 4600 1542 1792 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl. Cena prenumeraty w 2011 r.: rocznej – 218,40 zł, półrocznej – 109,20 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji tel. 22 525 99 69 Prenumerata przez Ruch SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – (+48) 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

## PRZEKROJ

ADRES REDAKCJI:  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 33, faks 22 525 99 88,  
www.przekroj.pl,  
e-mail: redakcja@przekroj.pl  
lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA:  
Katarzyna Janowska  
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ:  
Marek Zajęca  
DYREKTOR ARTYSTYCZNY:  
Kasper Skirgajłło-Krajewski  
SEKRETARZE REDAKCJI:  
Magda Gędziorska, Piotr Witek  
SEKRETARIAT:  
Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33

PRZED WSZYSTKIM:  
wydarzenia@przekroj.pl,  
Paweł Wieczorek (szef),  
Łukasz Wójcik (zastępca szefa),  
Agnieszka Fiedorowicz,  
Maciej Jarkowicz, Rafał Kostrzyński,  
Anna Szulc, Donat Szyller,  
Małgorzata Świechowicz,  
Joanna Woźniczko-Czechosz,  
stale współpracuje Agata Jankowska  
CYWILIZACJA OD ŚRODKA:  
nauka@przekroj.pl, Piotr Stanisławski  
(szef), Milena Rachid Chehab,  
Olaf Szewczyk; stale współpracują:  
Irena Cieślińska, Urszula Dęborowska,  
Piotr Kossobudzki

KONIEC Z KULTURĄ:  
kultura@przekroj.pl, Jacek Wakar (szef),  
Marcin Sendek (zastępca szefa),  
Tadeusz Nyczek, Karolina Pasternak,  
Małgorzata Sadowska, Jacek Tomczuk,  
stale współpracują: Kuba Dąbrowski,  
Łukasz Drewniak, Sebastian  
Frąckiewicz, Mariusz Herma, Anna  
Jastrzebska, Ola Salwa, Jacek Sieradzki,  
Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski  
ROZMAITOŚCI, KRZYŻÓWKI:  
rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszyk,  
stale współpracuje Kaliber 45

PRACOWNIA GRAFICZNA:  
Władysław Buchner (wicedyr., art.),  
Agnieszka Kwiatkowska,  
Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski  
FOTOEDYCJA:  
foto@przekroj.pl, Marcin Kapica (szef),  
Marek Szczepański; stale współpracuje  
Anna Bajorek

KOREKTA:  
Dorota Dul, Tatiana Hardej  
PROJEKT GRAFICZNY:  
Kasper Skirgajłło-Krajewski  
STRONA INTERNETOWA:  
Marcin Cichoński  
ARCHIWUM: Dominika Bok  
OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE  
DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

## GREMI GRUPA

Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o.,  
ul. Nowogrodzka 47 a,  
00-695 Warszawa,  
tel. 22 525 99 55, faks 22 525 99 88

WYDAWCA:  
Grzegorz Hajdarowicz  
PREZES WYDAWNICTWA:  
Jan Godłowski  
DYREKTOR WYDAWNICTWA:  
Sławomir Mokrzycki  
DYREKTOR DS. NOWYCH MEDIÓW:  
Artur Rumianek  
PROMOCJA I MARKETING:  
promocja@przekroj.pl,  
Agata Stremiecka (szef),  
Jakub Maszkowski  
BIURO REKLAMY:  
reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek  
– dyrektor, tel. 22 525 99 17,  
Grzegorz Makowski, tel. 22 525 99 16,  
Agnieszka Pawelec, tel. 525 99 15,  
Małgorzata Skorpupa, tel. 22 525 99 18  
DYREKTOR DYSTRYBUCJI:  
Elżbieta Maciążek  
DRUK: RR Donnelley

Artykułów niezamówionych nie  
zrobiamy. Redakcja zastrzega  
sobie prawo do zmian i skrótów  
w nadesłanych artykułach i listach.

# Wygrają 4 x 3000\$

telefony komórkowe  
oraz weekend  
w Krakowie

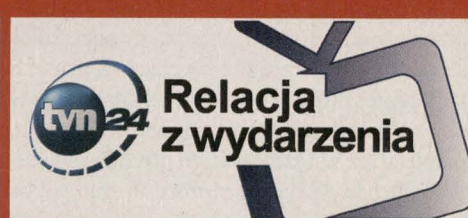


więcej na [www.konkurs.offpluscamera.com](http://www.konkurs.offpluscamera.com)

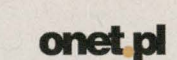
Masz film lub pomysł na film?

Zrób reklamę festiwalu.

Nakręć relację z wydarzenia.



patroni medialni:







## ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

MAREK ZAJĄC  
ZASTĘPCA REDAKTOR NACZELNEJ

### Are you IN or OUT?

**R**eklamę społeczną z takim hasłem zamieściliśmy w poprzednim numerze „Przekroju”. Na zdjęciu widać druty otaczające dawny obóz Birkenau. Oczywiście pierwsza naturalna reakcja to być OUT - być wolnym, bezpiecznym, z dala od koszmaru. Ale przecież być OUT to znaczy też opuścić tych, którzy na zawsze pozostali IN - już raz opuszczeni i skazani na śmierć.

A więc: *are you IN or OUT?*

...

Motywy przewodnim tegorocznych obchodów 66. rocznicy wyzwolenia Auschwitz-Birkenau były dziecięce buciki z czerwonej skóry. Podczas uroczystości leżały w centralnym punkcie, na podwyższeniu, oświetlone punktowym światłem.

Wszystkich butów, śladów po ofiarach, jest w oświęcimskim muzeum ponad 110 tysięcy. Nieliczne z tych małych pozwalają snuć przypuszczenia, kim było dziecko przywiezione do obozu. Obcięte noski - wiadomo, rodzina była uboga. Gdy dziecko rosło, rodziców nie stać było na nowe buty. Niektóre ocieplano od wewnątrz papierem - konserwatorzy znaleźli kiedyś w buciku sprawdzian z matematyki, a kawałki gazet mogą wskazywać na miejsce, skąd przyjechał transport. Czasem w buciku została skarpetka. Jacyś rodzice, widocznie szczególnie zapobiegliwi, wypisali na podeszwie nazwisko.

Ale czerwone buciki nic nie mówią o dziecku, które w nich chodziło. Charakterystyczne jest tylko, że mimo upływu lat zachowały swoją soczystą czerwień. No i oczywiście domyślamy się, że dziecko zostało zabite i spopielone. Może w taki sposób, jak w opowiadaniu Tadeusza Borowskiego opisuje jeden z bohaterów, więzień zmuszony do rozpalenia krematoryjnego pieca:

„...bierzemy cztery dzieciaki z włosami, przytykamy głowy do kupy i podpalamy włosy. Potem pali się samo i jest gemacht”.  
*Are you IN or OUT?*

...

Fundacja Auschwitz-Birkenau zbiera fundusze na niezbędne prace konserwatorskie w dawnym obozie. Bloki, baraki czy ruiny krematoriów i komór gazowych, tysiące przedmiotów - walizki, szczoteczki do zębów, protezy, łyżki, buty i buciki. Mogą ulec zniszczeniu, jeżeli nie będzie pieniędzy na ich ratowanie. Trzeba pamiętać, że w nazistowskich planach zagłada miała być tak totalna, że nawet po samym procesie unicestwienia ofiar miał nie pozostać żaden ślad - mówił podczas 66. rocznicy Władysław Bartoszewski. W czerwonych bucikach miało biegać inne dziecko, a kiedy już by się zużyły, przetarły, pękły, trafiłyby do śmieci. Ale jakimś cudem przetrwały.

*Are you IN or OUT?*



## ORBITA PRZEKROJU

JAN HARTMAN

### Drogie panie z telewizji

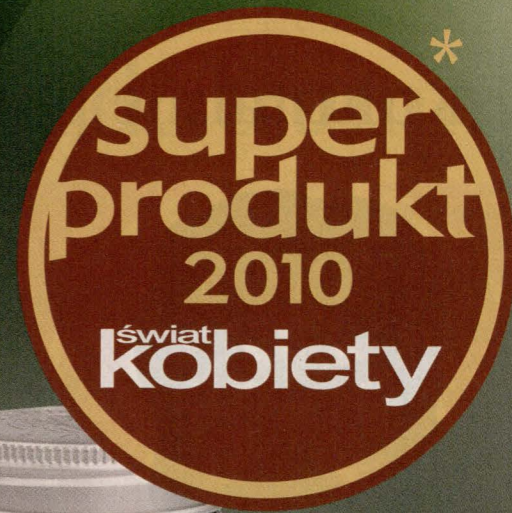
**U**dało mi się raz wdrzeć przebojem na scenę. Sam Kuba Wojewódzki raczył wspomnieć moją skromną osobę w jednej ze swoich ciętych satyr. I zaraz posypały się zaproszenia na galę i bankiety. Niestety, wszystko w Warszawie. Gdyby nie to, poszedłbym na pewno. Ach, pamiętam rok 1992 i bankiet w hotelu Forum w Krakowie na zakończenie zdjęć do „Listy Schindlera”. Jak pięknie Steven Spielberg głaskał po główce małą Anię Muchę! Tak, uwielbiam oglądać z bliska celebrytów i zamieniać z nimi dwa słowa. Oczywiście są to słowa zwyczajne, bo cała zabawa w blichtr i sławę na tym polega, żeby spiskować przeciwko nim. Trzeba być naturalnym, bezpretensjonalnym, prywatnym. Bo jeśli już jestem kabotynem i bankietowym przebierańcem, jeśli jak i diota przemienieć muszę uśmiechem i formą, to cała moja nadzieja na uratowanie godności do tego się sprowadza, że w tych rozmówkach na stojąco o niczym okażę się „zwykłą, fajną osobą”.

Nie tylko gra towarzyska na bankietach, ale też cała logika medialnej sławy polega dziś na tworzeniu iluzji prywatności. Iluzjonistami są celebryci, w roli miłych gości, skromnych i przystępnych, wchodzących poprzez ekran telewizorów do naszych domów bądź wyciągających nas z niego, przez ten sam ekran, do przytulnego studia telewizyjnego. Zachęcomy i ośmielony czuję się uczestnikiem zbiorowego życia społeczno-telewizyjnego, jego wodzireje zaś są mi przyjaciółmi. Jakże miłymi przyjaciółmi w porównaniu z tymi znajomkami od polityki! Moja wyobraźnia i życie uczuciowe w znacznym stopniu wypełnione są obrazami pogo dynek, prezenterek, aktorek, piosenkarek. Jako samiec hetero mam swój osobisty zestaw faworytek, który rządzi moimi zachowaniami jako konsumenta mediów. Każda z tych piękności zdaje mi się bardzo przystępna i uśmiecha się do mnie o wiele ładniej, niż na to zasługuję. Wprost nie pojmuję, jak można nie mieć telewizora!

Dawniej gwiazdy były dalekie niczym te na niebie. Dziś są bliskie. Urodziły się w małym miasteczku, w domu się nie przelewało. Ale były piękne, miłe i utalentowane. Chodziły na balet, potem poznały kogoś i los się do nich uśmiechnął. Jakie to cudowne, że komuś może się coś takiego przydarzyć. I że ja, miast skręcać się z zawiści, cieszę się ich szczęściem. Jestem tym wzruszony i czuję się przez to lepszy. Sekunduję ich nowym kontraktom i narzeczonym, operacjom i rozwodom, bo one wszystkie są przecież moje. Tak szczerze i serdecznie opowiadają mi o sobie. A resztę doczytam, gdzie trzeba. Ileż przyjaźni i zrozumienia między nami! Lecz lata lecą. Coraz więcej pudru, coraz mniej ról i koncertów. A chłopcom ubywa włosów odwrotnie niż dziurek u paska. Przychodzi moment, gdy moi przyjaciele celebryci schodzą ze sceny, by zasiąść w fotelach mistrzów i jurorów. Serdeczni lub okrutni (wszak to tylko konwencja) cieszą się zasłużonym wywyższeniem. Byli gwiazdami, a teraz są metagwiazdami. Ich bajka nie ma końca. To cudowne. Cudowne..

Autor jest profesorem filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego

Naturalnie  
najlepsze



Wypróbuj także inne kosmetyki z serii:



### Natura Officinalis

- 98% składników naturalnych
- Nie zawiera sztucznych konserwantów, kompozycji zapachowych ani silikonów



\* Nagroda w plebiscycie miesięcznika "Świat Kobiety".

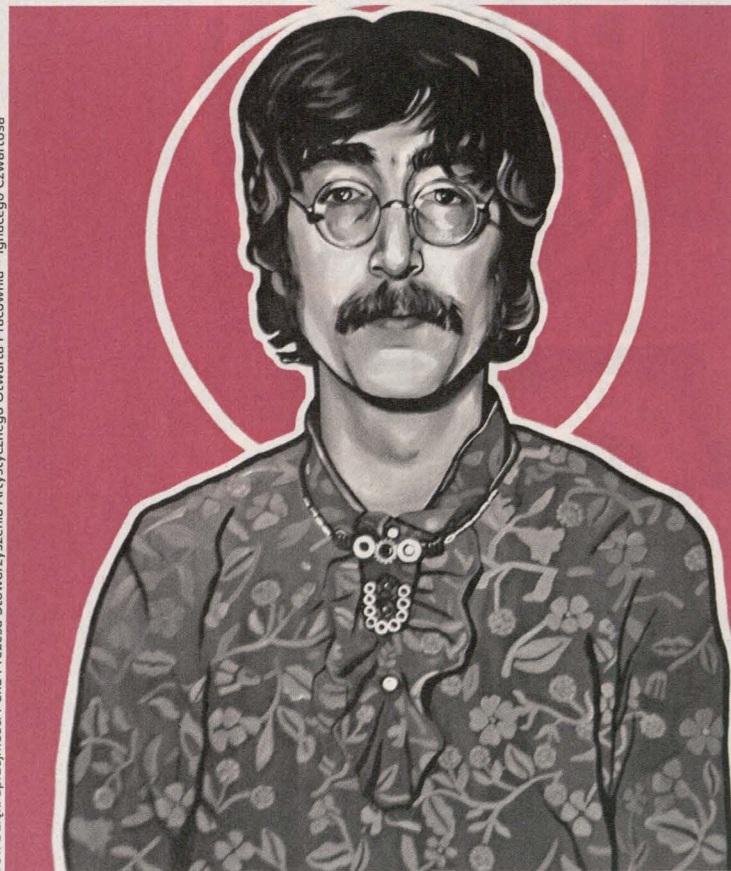
Szukaj w wybranych sklepach Rossmann oraz we wszystkich sklepach Super-Pharm. [www.naturaofficinalis.pl](http://www.naturaofficinalis.pl)





## Kulturalnie polecamy

FOT. DZIĘKI UPRIEMOŚCI Pana Prezesa Stowarzyszenia Artystycznego Otwartej Pracownia - Ignacego Czwartosa



Święty John (Lennon) jako ikona popkultury na obrazie Bartka Jarmolińskiego. **JEGO PRACĘ MOŻNA OGLĄDĄĆ W OTWARTEJ PRACOWNI W KRAKOWIE**

### WTOREK 1 LUTEGO

#### Film tank

Nie zdążyliście obejrzeć „Autora widmo” Polańskiego, „Lourdes” Hausner albo „Proroek” Audiarda? W ramach cyklu Dziesiątka Kina będziecie mogli nadrobić te zaległości. Do końca lutego głośne produkcje będą grane w Kino.Lab. Na rozgrzewkę „Fish Tank” Andrei Arnold – uhonorowana w Cannes Nagrodą Specjalną Jury opowieść o 15-letniej Mii rozgrywająca się na tle blokowisk w Essex.

Warszawa, Kino.Lab, godzina 20.30, więcej na [www.kinolab.art.pl](http://www.kinolab.art.pl)

### ŚRODA 2 LUTEGO

#### Bloodgroup

W czym Islandczycy są najlepsi? We wszystkim! Tego przynajmniej próbują dowieść Bloodgroup. Koncerty kwartetu z Reykjavíku dla jednych będą nostalgiczną wycieczką w głąb chłodnej i silnie zelektryfikowanej wyspy, innym przypomną najgorętsze momenty studniówki i pozwolą nadrobić spóźniony karnawałowy start. Trzecia możliwość?

Patrzanie z zachwytem przez cały wieczór na zjawiskową wokalistkę Sunnę Þórisdóttir.

Poznań, 1 lutego, Pod Minogą, godzina 20  
Kraków, 2 lutego, klub Re, godzina 20

### CZWARTEK 3 LUTEGO

#### Popreligia

Wśród laickich świętych Bartka Jarmolińskiego znajdziemy patronkę polityków Marilyn Monroe, świętego wszystkich desperatów Johna Lennona i opiekunkę paparazich Lady Di. W pracach, które zostaną pokazane podczas wystawy „Cooltowni”, artysta bawi się pojęciem ikony, które funkcjonuje w popkulturze, i krzyżuje je z dosłownie rozumianą ikoną religijną. Kopiując z tabloidów portrety wielkich współczesnego świata, Jarmoliński tworzy swe ikony wedle tradycyjnych prawideł. Ustanawia prywatny panteon godnych wyniesienia na ołtarze, z których nagła śmierć uczyniła męczenników (pop)kulturowego przemysłu. Obrazy artysta umieścił pośrodku instalacji przywodzącej na myśl kaplicę z ołtarzem i kłęcznikami dla wiernych. Panie Bartku, bój się, pan, Boga.

Kraków, do 28 lutego, Otwarta Pracownia, więcej na [www.otwartapracownia.com](http://www.otwartapracownia.com)

### PIĄTEK 4 LUTEGO

#### Koncertujący rarytas

Symfonię „Koncertującą”, jedno z ostatnich ukomponowanych dzieł, Karol Szymanowski zadedykował Arturowi Rubinstejnowi. W Warszawie przypomni ją wybitny pianista Piotr Anderszewski. W programie także symfonia „Dantejska” Liszta oraz – rarytas – cykl „Six épigraphes antiques” Debussy'ego na fortepian solo.

Warszawa, Filharmonia Narodowa, godzina 19.30

#### Jak Jan

Dokładnie 10 lat temu Jan Jelinek zachwyił świat albumem „Loop-Finding-Jazz-Records”. Ta elektroniczno-eksperymentalno-synkopowa wiązka zademonstrowała potencjał modnego wówczas nurtu „klikaczy”, czyli muzyków, którzy używali myszki zamiast smyczka, z klawiatur preferowali tę komputerową i samplowali dźwięki. Dziś podobne skłonności nikogo nie dziwią. Tym bardziej warto sprawdzić, jak w laptopowym kontekście – który sam współkształtował – odnajduje niemiecki producent i didżej.

Warszawa, Café Kulturalna, godzina 22

#### Podręcznik mądrej nieufności...

... i filozoficznej podejrzliwości. Tak Zbigniew Chojnowski nazwał „Komentarze do fotografii. The Family of Man” z 1962 roku, tom wierszy Włodeka Wirpisy, który otworzył najważniejszy okres w twórczości tego „poety przyszłości”, wciąż nie dość znanego i odczytanego. Drugie wydanie „Komentarzy” uświetni spotkanie z udziałem Leszka Szarugi, Grzegorza Jankowicza, Dariusza Pawła oraz Macieja Meleckiego i Krzysztofa Siwczaka.

Mikołów, Instytut Mikołowski, godzina 18

#### Nowy Papier Toaletowy

Maurizio Cattelan (ten od rzeźby „La Nona Ora” przedstawiającej postać Jana Pawła II przysięgnięciem meteoritem – sylwetka artysty na s. 49) w czasopiśmie „Toilet Paper” zamierza zbudować platformę porozumienia między fotografią komercyjną i sztuką. Pomaga mu w tym włoski fotograf Pierpaolo Ferrari. Prezentacji magazynu z udziałem artystów będzie towarzyszył panel dyskusyjny, w którym wezmą udział między innymi Andri Rottenberg i Mirosław Bałka. Dodatkowym wydarzeniem ma być... premiera telewizji internetowej CSW Zamek Ujazdowski – OBIĘG TV. No, no...

Warszawa, CSW Zamek Ujazdowski, godzina 18, więcej na [www.csw.art.pl](http://www.csw.art.pl) oraz [www.toiletpapermagazine.com](http://www.toiletpapermagazine.com)

### SOBOTA 5 LUTEGO

#### Śmierć w Lokalu

Alicja Żebrowska to rzeźbiarka i performerka, która kiedy przemawia, zwykle wywołuje kontrowersje

wersje (pamiętacie choćby naturalistyczną scenę z filmu „Narodziny Barbie” z 1994 roku?). Podczas wystawy „Śmierć banalna czy heroiczna” po raz kolejny wypowie się na temat obecności wątków ostatecznych w kulturze i sferze publicznej. Zobaczący oglądają ekspozycję w sobotę, możecie zająć się na... śniadanie z artystką.

Warszawa, do 18 marca, Lokal 30, więcej na [www.lokal30.pl](http://www.lokal30.pl)

### NIEDZIELA 6 LUTEGO

#### Nie dla staromodnych?

„Chcemy być nowoczesni” to wystawa polskiego designu z lat 1955–1968 z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie. Nie powinniście jej przegapić, bo ten okres to najciekawszy czas w polskim wzornictwie i sztuce użytkowej. Dominował wtedy styl form organicznych (estetyka wywodząca się między innymi od Alvara Aalta). Czym się charakteryzował? Ano między innymi tym, że materiały syntetyczne polskim projektantom zastępowała często... sklejka, która prowokowała do tworzenia form lupinowych! Pośród kanap, krzeseł, tkanin, ceramiki i plakatów przewinie się wiele innych wątków – równie surrealistycznych.

Warszawa, do 17 kwietnia, Muzeum Narodowe, więcej na [www.mnw.art.pl](http://www.mnw.art.pl)

### PONIEDZIAŁEK 7 LUTEGO

#### Światła i paradoksy

Twórczość Kuby Bąkowskiego to ciągle badanie kierunków i granic naszego rozumowania. Na wystawie „Magnetic” zobaczycie przesycone ironią i absurdem realizacje z obiektami świetlnymi i magnetycznymi w rolach głównych. Odbądźcie podróż (nie tylko mentalną) między innymi na Spitsbergen – postać w przebraniu niedźwiedzia polarnego trzyma w górze lampę sygnałową rozświetlającą niebo w miejscu, gdzie powinna być Gwiazda Polarna. Czujecie już ten klimat?

Poznań, do 23 lutego, Galeria Miejska Arsenal, więcej na [www.arsenal.art.pl](http://www.arsenal.art.pl)

## Na kanapie

Poetyckie wizje, bogata symbolika, malerskie piękno obrazu. To wszystko znajdziecie w filmach Siergieja Paradżanowa. W skład boks DVD weszły dzieła pokazywane na ostatnim festiwalu Sputnik. Są tu między innymi uznane za jego najwybitniejszy film „Barwy granatu” (1968), inspirowany poematem Lermontowa „Aszik Kerib” (1988),

historia huculskich Rómea i Julii „Cienie zapomnianych przodków” (1964) oraz seria dokumentów „Kod Paradżanowa”. „Ktokolwiek próbuje mnie naśladować, jest zgubiony” – twierdził twórca...

„Siergiej Paradżanow. Kolekcja filmów”, 2011, 35 mm, 239 zł

# Piersi do trumny

## Widmo śmierci przedwczesnej krąży nad pornografią!



ŁUKASZ ORBITOWSKI

**C**arolin Berger (Sexy Cora) w wieku 23 lat złożyła ofiarę z życia na ołtarzu swoiście pojętego piękna. Przetwała pięć operacji powiększenia biustu, szósta nie wyszła, przynosząc śmierć na ostatniej prostej do megacyca. Najpewniej nawalił lekarz, śledztwo trwa.

Branża zareagowała po swojemu – filmy z udziałem Cory, jeszcze niedawno dostępne na bezpłatnych stronach dla dorosłych, niespodziewanie wymiotło, jakby śmierć mieściła się poza różowym horyzontem. A przecież miłośnicy Stwórcy słał ostrzeżenia: kiedy w 2009 roku dziewczyna w trosce o utrzymanie popularności postanowiła zaspokoić oralnie 200 mieszkańców Hamburga, ustanawiając w ten sposób rekord świata, z 75. bazy odwiozła ją karetka i tylko strach myśleć, co czuł mężczyzna 76.

Carolin była jedną z tysięcy gwiazdek przewalających się przez pornoimperium i programy rozrywkowe (zdarzył się i „Big Brother”). Śmierć ją unieśmiertelnia. Była przecież jedną z tysięcy gwiazdek wierzących, że pewnego dnia nasienie męskie w złoto się przemieni.

Inaczej Lolo Ferrari, posiadaczka biustu większego od niej samej. Szukając ideału, dobiła do sześciu kilo w staniku. Nawet zawodowi aktorzy nie wiedzieli, co począć z kobietą złożoną głównie z sylikonu. Umarła, jak żyła, wedle

różnych wersji zaduszona biustem, od środków przeciwbólowych lub z rąk kochanka. Zdjęcie rentgenowskie ogłądały miliony.

To tylko dwa nazwiska z bazy organów umarłych. Andrew Grande otoczony przez policję udławił się woreczkiem z trzema gramami marihuany. Oszpecona w wypadku samochodowym Savannah strzeliła sobie w głowę. Pijana w sztok Krysti Lynn roztrzaskała się furą. Transwestyta Camilla wyskoczył z okna. Felcję Lee zadreńczył pastor w pokoju hotelowym. I tak dalej. Dominuje jednak przyzierność. Gdzieś do połowy lat 90. kostucha wywijala HIV. Dziś jej kosa ma wiele ostrzy: samobójstwo, morderstwo, sterydy, przedawkowanie wszystkiego, co przedawkować można. Branża poniża kobiety, lecz gasną głównie mężczyźni, być może rozczarowani kolejką do wilgotnego planu i długością własnego przebiegu. 30-letnia pornostarka myśli o emeryturze, facet może pchać do pięćdziesiątki, a przy tym korzysta z życia. Siłka, koka, hera, dziewczęta, a potem fik do trumny. Mam listę gwiazd, gwiazdek i białych karłów świata porno zgasyłych przedwcześnie. Rozmiar się liczy, powiadają – samymi nekrologami mógłbym zalepić Statuę Wolności.

Czytając tę listę, nabrałem przez moment brzydkiego przekonania, że twardzi obrońcy moralności mają rację. Porno jest gorsze niż zło, należy tę gołą hołotę rozpedzić i pozamykać producentów. Wówczas jednak należałoby rozwalić całą podkulturę oferującą kolorowe sny. Dziecinne Hollywood sprzedaje baśnie o bohaterach, dorosłe – o kochankach. Mnożą się ofiary obu nieprawdziwych światów. Ale w branży porno karierę robią ludzie, którzy zapewne gdzieś indziej by jej nie zrobili, a wymiana płynów jest ich jedyną szansą na uzyskanie statusu gwiazdy i kawkę z Angeliną Jolie. Sexy Cora i inni padają ofiarami zбочzonego piękna i ciśnienia na ubaw – to zawsze szkodzi, niezależnie od okoliczności. ●

FOT. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MARKA SZCZEPAŃSKIEGO







→ córeczkę. W końcu musiałem wziąć cokolwiek.

Pracował fizycznie, między innymi w hurtowni butów. Pewnego dnia powiedział sobie „dość!”. Były celnik skończył podyplomowe studia z zarządzania nieruchomościami i dzięki ludziom, którzy nie osadzają go przed wyrokiem, znalazł pracę w nowym zawodzie (i ma ją jako jeden z nielicznych zwolnionych celników). Wciąż czeka na proces, ale nie bezczynnie. Skarży się już do Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu na przewlekłość postępowania.

- Ja się nie modłę, żeby mój proces się skończył, tylko żeby chociaż się zaczął - mówi Mariusz Kuzdra, celnik z Hrebennego. Kuzdra nie został aresztowany, ale po oskarżeniu prokuratury zawieszony. Takie zawieszenie może trwać maksimum 12 miesięcy, do czasu ewentualnego rozstrzygnięcia sądu o winie. - W polskich warunkach to niemożliwe - dodaje Kuzdra. Jego akt oskarżenia od 2007 roku do dziś nawet nie trafił do sądu, a on sam został 20 grudnia zeszłego roku zwolniony z pracy. Odwołuje się i szuka innego zajęcia.

### Sędzia na celowniku

Jako pierwsza przyczyna przewlekłości postępowania wymieniane jest przeciążenie nadmiarem spraw. Z najnowszego raportu Forum Obywatelskiego Rozwoju (fundacji założonej w 2007 roku przez profesora Leszka Balcerowicza) wynika, że po 1990 roku przybyło 6,5 tysiąca etatów sędziowskich (wzrost o 300 procent - teraz mamy około 10 tysięcy sędziów), ale w tym samym czasie liczba spraw podskoczyła niemal pięciokrotnie.

Według raportu „Wymiar sprawiedliwości w Europie” (przygotowanego przez Instytut Wymiaru Sprawiedliwości) w 14 krajach na 26 obciążenie jest wyższe. O ile polski sędzia ma ponad 200 spraw rocznie, o tyle na przykład sędzia słowacki prowadzi ich 800, a angielski prawie 1,5 tysiąca. Może więc chodzi o złe gospodarowanie czasem?

Doktora Piotra Kładocznego dziwi plan sądowego dnia: sześć rozpraw po półtorej godziny, zamiast jednej całonocnej. - Może dałoby się zakończyć wiele spraw podczas jednego posiedzenia? - zastanawia się.

- Takie przedłużanie sprawia, że strony postępowania wciąż muszą sobie przypominać, o co chodzi, świadkowie coraz mniej pamiętają, a sędzia, prokurator czy biegły mogą zachorować. A przecież z nowym sędzią całe postępowanie trzeba zaczynać od początku - wylicza Barbara Grabowska z Fundacji Helsińskiej.



FOR. Bartosz Bobkowski/Agencja Gazeta

**Mecenas Jacek Dubois** od sześciu lat pracuje mimo zarzutów zdrady tajemnicy i utrudniania śledztwa

Tak było w przypadku Jacka Dubois. Sprawa najpierw mroziła się na półce przez trzy lata (bo sędzi urodziło się dziecko), potem przekazano ją innemu sędziemu, ale ten po roku zachorował, więc sprawę znów zamrożono. Tym razem na rok.

Kolejny powód przeciągania spraw to zabezpieczanie się sędziego przed powszechnym w Polsce odwołaniem się od wyroku. - Przykład: proces oskarżonej o nielegalną sprzedaż

bimbru - mówi doktor Kładoczny. - Wystarczyłyby zeznania kilkunastu jej klientów, a sąd przesłuchuje wszystkich 300. Tylko to zajmuje mu trzy lata.

- Zwłaszcza gdy sędzia jest na celowniku bo sprawa jest medialna czy kontrowersyjna, czuje ogromną presję i odpowiedzialność. I jak student odkładający naukę albo pracownik egzamin odsuwa w czasie wydanie wyroku - dodaje doktor Konrad Maj, psycholo-



FOR. Przemysław Pokrycki

**Małgorzata Koźbiał 10 lat udowadniała**, że nie wyłudziła ubezpieczenia za nie swoje auto

z warszawskiej Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej.

Albo przerzuca ciężar jego wydania na innych. Proces celnika Z.F. (i 63 innych osób) nie może ruszyć, bo przemyscy sędziowie po kolei wyłączali się ze sprawy. Na przykład ze względu na „znajomość brata jednego z oskarżonych”. - W efekcie wszyscy się wyłączyli, a proces ma trafić do Krosna - opowiada Z.F. Przeniesienie do sądu oddalone-

go o ponad 80 kilometrów nie rokuje dobrze. - To niemożliwe, żeby wszyscy byli w stanie stawić się na rozprawę. W przypadku o wiele bliższych historii w Przemyslu, czyli na miejscu, gdzie oskarżonych było kilku, procesy trwają od 2003 roku.

Doktor Kładoczny dodaje, że rozprawy często nie odbywają się, bo strony mogą sobie pozwolić na lekceważenie sądu: biegły nie nadesłał opinii, świadek się nie stawił, prokurator się spóźnił. - W USA nawet wielka gwiazda, Michael Jackson, bała się spóźnić do sądu, bo z miejsca groziły jej areszt! A u nas



**Proces działaczki KOR Ludwika Wujec** cztery lata temu oskarżonej o wzięcie łapówki właśnie został „odmrożony”

wszystko jest ważniejsze: zebranie w firmie i zwykły katar - irytuje się doktor.

- Warto też zaznaczyć, że w systemie anglosaskim to na stronach, a nie sędzi spoczywa dopilnowanie, by świadkowie pojawili się na procesie - dodaje sędzia Bartłomiej Przymusiński ze stowarzyszenia sędziów Iustitia. - Skoro prokurator czy obrońca nie potrafią doprowadzić świadczącego na jego korzyść świadka, to ponoszą konsekwencje - przegrzają proces.

### Reforma zdyscyplinuje?

Niestety, państwo obciążone rosnącymi kosztami przewlekłości nie ma pomysłu, jak ją ograniczyć. Najnowszy projekt to okresowe oceny pracy sędziów. Wizytator sprawdzałby statystyki, w tym te dotyczące szybkości postępowania. - Już widzę te czerwone plakietki „wzorowy sędzia” - szydzi Waldemar Żurek ze stowarzyszenia sędziów Themis, dodając, że są już oni wielostopniowo oceniani. - Każdy sąd co najmniej raz na cztery lata przechodzi kontrole wizytatora, kontrolują go organy takie jak rzecznik dyscyplinarny i komisja etyki przy KRS, nie wspominając o kontroli mediów. Przesunięcie kolejnych sędziów do wydziałów wizytacyjnych oznacza skierowanie tych najlepszych do pracy administracyjnej, a nie orzeczniczej.

- Zamiast wprowadzać kolejne prowizoryczne rozwiązania, lepiej przygotować nową ustawę o sądach - twierdzi sędzia Przymusiński.

- Ustawa musi uprościć procedury. Mamy XXI wiek, a postępowanie sądowe żywcem wzięte z XIX stulecia - uzasadnia karnista profesor Marian Filar. - Co naprawdę wnosi do postępowania odczytywanie na głos na wnioski oskarżonego wszystkich tomów akt albo powtarzanie odczytywania ich, gdy sprawa jest na nowo wznawiana przed sądem wyższej instancji?

Osobnym problemem jest gruntowna reforma prokuratury, bo często przewlekłość zaczyna się już na etapie śledztwa. Dlatego działająca w resorcie sprawiedliwości stała Komisja Kodyfikacyjna Prawa Karnego pracuje nad zmianami, które mają między innymi skrócić postępowanie przygotowawcze maksymalnie do roku. Prokuratorzy jednak oponują. - Jeśli się nie zmieszczę w terminie, to mam wypuścić mafiosa, a może pedofila? - pytał kilka miesięcy temu w rozmowie z „Przekrojem” szef Stowarzyszenia Prokuratorów RP Cezary Kiszka.

Szef komisji profesor Andrzej Zoll chce też zwiększyć odpowiedzialność prokuratora za postępowanie, bo dziś jest ona rozmyta - kto inny prowadzi śledztwo, kto inny pojawia się na rozprawach. W praktyce przedłużaniu procesów zapobiega więc obecnie tylko dobrowolne poddanie się karze. W 2010 roku wydano ponad 280 tysięcy takich wyroków.

### Życie po mrozie

- Wyrok uniewinniający nie cieszy, jeśli zapada po sześciu czy siedmiu latach sądowej szarpaniny - uzasadnia doktor Konrad Maj.

Wie o tym dobrze Ewa Sz., była warszawska policjantka, która po pomówieniach została oskarżona o współpracę ze zorganizowaną grupą przestępczą - miała widzieć, jak jej partner brał łapówkę. Najpierw została zawieszona, w końcu odeszła z policji. Na przewlekłość postępowania skarżyła się między innymi do Strasburga. Otrzymała odszkodowanie ledwo wystarczające na spłatę długów. Po ośmiu latach procesu w lipcu zeszłego roku usłyszała, że jest niewinna. Teraz pracuje w fundacji z niepełnosprawnymi i kończy pisać doktorat (temat: „Rozwój komercyjnego systemu ochrony osób i mienia po transformacji ustrojowej w Polsce w 1989 roku”). O sprawie chce zapomnieć.

Podobnie jak Małgorzata Koźbiał. - Gdy usłyszałam „niewinna”, nawet się nie cieszyłam. Wysłałam z sądu z jedną myślą - żeby już nigdy tam nie wrócić. ●





FOT. YURI KOCHETKOV/EPA/PAP

Zamach na Domodiedowo był najbrutalszym w historii atakiem na lotnisko. Jeszcze w październiku rosyjskie władze o jego dokonaniu podejrzewały Rosjanina Witalija Razdobudźę, który kilka lat temu przeszedł na islam

# Kreml pudruje problem

W reakcji na kolejny zamach Kreml znów bije się w cudze piersi, dymisjonuje kilka płotek i zapowiada zemstę na terrorystach. Zupełnie jakby chciał, żeby ta makabryczna zabawa trwała dalej

RAFAL KOSTRZYŃSKI

**P**odmoskiewskie lotnisko Domodiedowo, 24 stycznia. W hali przylotów wybuchła bomba – ładunek o sile siedmiu kilogramów dotyłu umieszczony w torbie wypełnionej dodatkowo żelastwem, żeby zwiększyć siłę rażenia. Zdetonowanie takiego drafiństwa w zamkniętej przestrzeni wypełnionej ludźmi to gwarancja jatki. Gorący podmuch i latające na wszystkie strony żelastwo zabijają 35 osób i ranią prawie 200.

Od 1999 roku, kiedy to bojownicy z Kaukazu Północnego zaczęli się mścić za wojnę w Czeczenii, to 22. taka rzeźnia w Rosji. Statystyka obejmuje wyłącznie duże rzeźnie. Małych było ponad tysiąc, może dwa tysiące. Dokładną liczbę znają jedynie służby specjalne.

Reakcja jest błyskawiczna. Prezydent Dmitrij Miedwiediew opóźnia wyjazd na Świato-

Forum Ekonomiczne w Davos i zapowiada ukaranie winnych. Następnego dnia pracę traci cztery osoby: trzy z obsługi lotniska i Andriej Aleksiejew, szef departamentu transportu w rosyjskim MSW. Na nim kończy się odpowiedzialność za bezpieczeństwo państwa. Wyżej od niego są już tylko niewinni.

Lotnisko zostaje postawione na nogi. Nie ma pobjazania. Każdy, kto od tego dnia chce wejść do środka, jest prześwietlany.

## Pieniądz może wszystko

Dzień po zamachu w kolejce do wejścia ustawia się fotoreporter portalu Lifenews.ru. W torbie ma aparat i metalowe pudełko po herbacie. W środku baterie, kable i ładowarka do telefonu, na wieczku – żeby nie było wątpliwości – napis „Bomba”.

Domodiedowo przeżyło już kiedyś podobną sytuację – w 2004 roku, po tym jak czeczeńscy terroryści wysadziły się w startujących samolotach. Zaraz później na lotnisku zmniejszono liczbę personelu – za bezpieczeństwo jego ogólnie dostępnych części (hala przylotów) odpowiedzieli milicjanci, którzy dorabiali w ten sposób po godzinach, nie mogli nawet sprawdzać dokumentów. Nie działały wykrywacze metalu, a na całe lotnisko przypadało tylko dwa patrole z psami. Nie to co teraz. Dla całej obsługa uwija się jak w ukropie.

Torba fotoreportera Lifenews.ru piszczy na bramce wszystkimi kieszeniami, ale kontrolerom to nie przeszkadza. Dziennikarza z atrapą bomby wchodzi na teren terminala. – Bo wyrzucenie odpowiedzialnych za bezpieczeństwo na lotnisku jest bez sensu – mówi

„Przekrojowi” Nikołaj Pietrow z moskiewskiego oddziału fundacji Carnegie. – Trzeba ich zreformować, podobnie jak skorumpowaną policję. Ale – dodaje – tę reformę muszą przeprowadzić niezależni eksperci, a nie MSW.

Puszka po herbacie to nic. – W 2002 roku zamachowcy, którzy uprowadzili tysiąc osób w teatrze na Dubrowce, przyjechali do Moskwy z Czeczenii kolumną samochodów pełnych broni i materiałów wybuchowych – przypomina Masza Gessen, rosyjska korespondentka magazynu „US News & World Report”. – Za pomocą łopówek przekraczali punkty kontrolne. Tak samo zrobili dwa lata później ludzie Szamila Basajewa, którzy wtargnęli do szkoły w Bieslanie.

Oba te incydenty skończyły się skandalicznymi akcjami rosyjskich sił specjalnych. Na Dubrowce podczas odbijania zakładników zginęło około 170 cywilów, a w Bieslanie – ponad 300. – W obu przypadkach nie było dochodzenia w sprawie tych zaniechań – mówi nam Walerij Dzucew, kaukaski ekspert z amerykańskiej fundacji Jamestown. – Putin wykorzystał obie te sytuacje do zwiększenia wpływów politycznych. Po Bieslanie zdecydował, że on będzie wybierał gubernatorów obwodów, a nie społeczeństwo. A przecież to nie miało niewspólnego z bezpieczeństwem kraju!

2002, 2004... Mówimy o dość zamierzonych czasach. Ale do dziś nic się nie zmieniło. Autorzy zamachu na Domodiedowo weszli do środka po zapłaceniu łopówki i przytknięcie oka na bagaż. Nikołaj Pietrow uważa, że wina za to spoczywa głównie na rosyjskim wywiadzie. – Przeciwdziałanie zamachom to obowiązek Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Ale jej kierownictwo jest bezpieczne, czuwa nad tym premier Putin.

W latach 1999–2008 szefem FSB był Nikołaj Patruszew. W Rosji doszło wtedy do 14 poważnych zamachów. Od 2008 roku służbami kieruje Aleksander Bortnikow (osiem zamachów). A Patruszew kieruje dziś Radą Bezpieczeństwa Rosji. Żaden z nich nie postawił wywiadu na nogi, choć obaj wiedzieli, że terroryści coś szykują. Przygotowywali zamach na placu Czerwonym w noc sylwestrową, ale bomba wybuchła jeszcze w mieszkaniu zamachowców. FSB wiedziała, że może być druga próba, ale nic z tą wiedzą nie zrobiła.

## Kreml jak Al-Kaida

Dzucew: – Nic nie zrobiła, bo dzięki takim zamachom Putin może dalej umacniać swoją władzę i mówić ludziom: „Widzicie? Tylko ja mogę was ochronić”. Problem w tym, że teraz sytuacja wymknęła mu się spod kontro-

li. Premier staje się ofiarą braku wolnych mediów i dziennikarzy śledczych, którzy będą go informować o zagrożeniach. W dodatku wyhodował sobie na Kaukazie radykałów, których nie może już kontrolować. W 1994 roku, gdy Rosja pacyfikowała Czeczenów, walczyła przeciwko bojownikom o niepodległość. Dziś to już nie są bojownicy, lecz dżihadysty wspierani przez arabskich fundamentalistów.

Sytuację tę streszcza w tygodniku „Time” Fareed Zakaria. „Rosja jeszcze w XIX wieku siłą anektowała Czeczenię i do dziś tłumy jej dążenia niepodległościowe, wypędzając i mordując mieszkańców. Tak stworzyła najbardziej aktywny ośrodek islamskiego radykalizmu. Kreml okazał się w tym bardziej skuteczny niż Al-Kaida” – argumentuje Zakaria.

Władze jednak nie wyciągają z tego wniosków. Zaraz po zamachach premier Putin powtórzył, że zemsta Rosji na terrorystach jest nieunikniona.

– Będzie jak zwykle – wyjaśnia Walerij Dzucew, który pochodzi z Władzkaukazu, miasta w pobliżu Bieslanu. – Zamiast pomóc gospodarzo Kaukazowi, Putin znów zacznie gnębić mieszkańców, wpychając ich w ręce radykałów. Znową będą porwania i tortury.

Rezultat tej strategii jest dość smutny. Gotowych na wszystko watażków jest coraz więcej i są oni coraz bardziej aktywni. O ile w 2008 roku doszło do 800 incydentów zbrojnych na Kaukazie Północnym, o tyle rok póź-

niej liczba ta wzrosła do 1100. Dochodziło do nich nawet w Kabardo-Balkarii, republice dotąd uważanej za względnie bezpieczną.

Pietrow: – Strategia Putina – zlikwidować terrorystów – nie sprawdza się. Dowód? Przemoc cały czas rośnie, bo okazało się, że bojownicy to czasami wierzchołek góry lodowej. Liczą się problemy ekonomiczne i społeczne regionu. Jeśli nie będzie dobrego programu rozwoju dla Kaukazu Północnego, to zawsze miejsce zlikwidowanych terrorystów zajmą kolejni.

Prezydent Miedwiediew pojechał w końcu do Davos i tam przedstawił „program rozwoju” – plan wybudowania w Dagestanie pięciu ośrodków narciarskich. Według planów mają zapewnić pracę 150 tysiącom osób, głównie z Rosji, Austrii, Niemiec i Francji. A że Dagestan nie jest bezpieczny? Już dziś przyjeżdża tam wielu turystów, choć to ryzykowne – przekonywał zebranych w Davos Achmed Biłalow, wiceprezes rosyjskiego komitetu olimpijskiego. – Ludzie są różni, niektórzy lubią ekstrema. Zagrożenie terrorystyczne wkrótce przestanie być wewnętrznym problemem Kremla. W 2014 roku Rosja będzie gospodarzem zimowych igrzysk olimpijskich. Cztery lata później – piłkarskich mistrzostw świata. Jeśli zwalczanie radykałów będzie szło władzom tak jak do tej pory, to te imprezy będą tylko dla fanów wrażeń ekstremalnych.

WSPÓŁPRACA JOANNA WOŹNICZKO-CZECZOTT

## Główny podejrzany – Doku Umarow

**T**o on dosłownie i w przenośni trzęsie dziś Kaukazem Północnym od Morza Czarnego po Kaspijskie. W 1994 roku, gdy ówczesny prezydent Rosji Borys Jelcyn wysłał swoich żołnierzy na pierwszą wojnę w Czeczenii, Umarow był jeszcze zwykłym bojownikiem, który bił się o niepodległość swojego kraju (walczył pod dowództwem Ahmeda Zakajewa, którego wydania w zeszłym roku Rosja bezskutecznie domagała się od Polski). Dwa lata później, gdy walki dobiegły końca, stanął nawet na czele Rady Bezpieczeństwa w rządzie pojednania narodowego Asłana Maschadowa. W 1999 roku, podczas drugiej wojny czeczeńskiej, brał udział w obronie Groznego przed rosyjską ofensywą. Udało mu się wyostać z oblężenia i wraz z oddziałem wiernych mu bojowników ukrył się w wąwozie Pankisi na terenie Gruzji.



Umarow – kiedyś separatysta, dziś fundamentalista

Do Czeczenii wrócił dwa lata później – już jako dowódca połowy, który miał pod sobą tysiąc bojowników. Szybko rozszerzył działalność na inne republiki Kaukazu Północnego: Inguszetię, Dagestan i Kabardo-Balkarię. Na początku kontynuował partyzanckie ataki na rosyjskie

cele wojskowe, jednak szybko zaczął uprawiać zwykły terrorizm. Nie ma dowodów na to, że był zamieszany w pojmanie w 2004 roku zakładników w Bieslanie, ale sam przyznał się do innych ataków, w których zginęły dziesiątki cywilów.

Po śmierci Maschadowa w 2005 roku został najbardziej wpływowym przywódcą wśród miejscowych bojowników i dwa lata później ogłosił się przywódcą samowznajczego „emiratu” obejmującego cały Kaukaz Północny. Wtedy przestał zapewniać, że jego jedynym celem jest walka z rosyjskim okupantem. Ubiegłoroczne zamachy w moskiewskim metrze określił mianem „uzasadnionej zemsty za morderstwo cywilów na Kaukazie”. Jeśli dorzucić do tego deklarację, że Zachód jest wrogiem islamu, a na całym Kaukazie należy zaprowadzić szariat, to staje się jasne, że dziś przemówienia pisze mu Al-Kaida.

RAF



# W imię żony

Pedant ze skłonnością do hazardu i nerwowych ruchów. Mąż Marty Kaczyńskiej od prawie roku gra o wejście do polityki. I choć karta mu nie idzie, to **MARCIN DUBIENIECKI** wciąż jest obecny na pierwszych stronach tabloidów

DONAT SZYLLER, AGATA JANKOWSKA

**M**ało kto wróżył mu karierę – mówi o Marcinie Dubienieckim jeden z jego najbliższych przyjaciół Bartosz Potulski. – Niby jako małałat był błyskotliwy, ale zachowywał się krnąbrnie i beczelnie.

Bezczelność w dorosłym życiu, a zwłaszcza w polityce, nazywana jest przebojowością. Ta cecha Dubienieckiego sprawiła, że 30-latek jest już rozpoznawalny przez widzów i czytelników. Jako pełnomocnik swojej żony Marty Kaczyńskiej wypowiada się o katastrofie smoleńskiej, jako przyszywany bratanek Jarosława Kaczyńskiego komentuje politykę PiS, a nawet karci doświadczonych posłów.

O sobie – nie licząc wywiadu udzielonego „Gali” podczas kampanii prezydenckiej Jarosława Kaczyńskiego – mówić nie chce. Unika też rozmów na prywatne tematy. Przez kilka dni obiecuje nam spotkanie, ale wymawia się natłokiem zajęć, zapewnia, że znajdzie czas, i prosi o przesłanie pytań. Te pozostają bez odpowiedzi, a Dubieniecki przestaje odbierać telefon. W końcu wysłał SMS: „Nie ma sensu, abym odpowiadał. Niech pan napisze, co uważa”.

## Czerwona dusza

Grudzień 1980 roku, Kwidzyn, drugi dzień świąt Bożego Narodzenia i pierwszy dzień życia Marcina Oktawiana Dubienieckiego. Zaciszna ulica, przy której mieszkają jego rodzice, wyróżnia się na tle szarego centrum miasta. Osiedle niskich jednorodzinnych domków zwane jest Amerykanką, bo przypomina przedmieścia zza oceanu.

Głowa domu Marek Dubieniecki był człowiekiem wpływowym. Członek PZPR, pracownik Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Gdańsku, a dokładniej jego II inspektoratu (opracowywał metody walki

z opozycją) oraz wydziału III-1 (nadzorującego uczelnie). Oba były częścią struktur SB.

W nowej Polsce Dubieniecki jest adwokatem i szefem sądu partyjnego SLD na Pomorzu. – Marcin zawsze staje w obronie ojca, gdy ktoś przypomnia, co robił w PRL, gdy drwi i dokucza. Są z ojcem bardzo blisko. Z matką też, potrafi dzwonić do niej kilka razy dziennie – opowiada Marcin Klepuszewski, bliski przyjaciel młodego Dubienieckiego. Jest jednym z nielicznych, którzy zgodzili się porozmawiać pod własnym nazwiskiem.

– Kwidzyn jest mały. Z rodziną Dubienieckich spotykamy się na weselach, u lekarza, na mieście. Po co mam narażać się na pretensje? – tłumaczy inny dawny znajomy. A pretensje mogły się pojawić, bo naszego rozmówcę to, że „czerwony w duszy” Marcin wspiera teraz Jarosława Kaczyńskiego, „dziwi i śmieszy”.

Jednak polityka to ostatnie kilka lat. Wcześniej, a zwłaszcza gdy był nastolatkiem, Marcin zajmował się flirtowaniem i imprezowaniem. – Zawsze miał ogromne powodzenie u dziewczyn. Przystojny, z dobrym gustem, schludny. I wyluzowany – opisuje Bartosz Potulski.

– I nie pił dużo – dodaje Klepuszewski.

– Chłopak o wielkim temperamencie, pogodnej naturze i głowie pełnej pomysłów – chwali Marcina jego wychowawczyni z I LO w Kwidzynie, a jednocześnie ciotka Danuta Dubieniecka.

Sam Marcin wspomina te czasy inaczej. – W liceum wagarowałem straszliwie. Nie znosiłem szkoły. Wyrzucono mnie – opowiadał w wywiadzie udzielonym „Gali” wspólnie z Martą Kaczyńską.

– To nieprawda, żadnego wyrzucania nie było – zaprzeczają i wychowawczyni, i koleżdy. Dyrektor szkoły Witold Iwicki również



Z rodziną na zdjęciu już wychodzi dobrze. Czy Marcin Dubieniecki przy pomocy Marty Kaczyńskiej i córki Martyny przeniesie się z kancelarii adwokackiej do Sejmu?

nie wie o wyrzuceniu. – Skoro nie przyjechał do mnie na dywanik, to znaczy, że nie bój się nicponiem. Nie zapamiętałem go. Widać nie wyróżnił się niczym szczególnym. Ani złym, ani wybitnym – wyjaśnia.

Dubienieckiego (to przyjaciele pamiętają) jedynie przeniesiono do innej klasy. Za karę – bo wspólnie z Potulskim i Klepuszewskim nastraszył jednego z uczniów. 18-letni chłopak zjechał mu drogę samochodem, wysiadł i w ostrych słowach wyluszczył swoją rację. O co poszło? – Już nie pamiętam. To był jakiś goguś. Marcin był najmnij winien. Był tylko kierowcą i nawet nie wysiadł z samochodu. Zresztą do bicia się nie rwał – zdradza Klepuszewski.

Samochód to jaskrawożółty tuningowany fiat panda, którym Marcin kierował w skó-

nych rękawiczkach bez palców. Lubił szybką jazdę i dobrą zabawę. Na całonocne balangi w trójmiejskich klubach stać go było dzięki wygranej w bilard. Mógł ćwiczyć do woli, bo miał w domu kupiony przez rodziców stół.

Marcin tak ojciec skończył prawo. Studiował na Uniwersytecie Gdańskim. Wynajęte mieszkanie, które dzielił z Potulskim, wysprzątane było na błysk. – To pedant jakich mało – opowiada dawny współlokator. Ubrania złożone w kostkę, koszule wyprasowane, w różnym rzędzie wiszące na wieszakach. Zawsze po sobie zmywał, a o skarpetkach wrzuconych pod łóżko nie było mowy. Dokładność Dubienieckiego to także punktualność oraz precyzyjna wiedza na temat zawartości własnego portfela. Otwiera go – według relacji świadków – kilka razy dziennie i przelicza pie-

niądze niezależnie od tego, czy ma tam 20, 50, 100 czy tysiąc złotych. Na zakupach dwa razy się zastanowi, przekalkuluje, zanim wrzuci produkt do koszyka.

W czasie studiów zamilowanie do liczenia pieniędzy Dubieniecki realizował w Powiślańskim Banku Spółdzielczym – był kierownikiem jego filii w Kwidzynie. Ludzie w mieście szeptali, że w znalezieniu pracy miał mu pomóc poseł PO Jerzy Kozdroń, z którego córką Marcin był związany podczas studiów. – W niczym mu nie pomagałem – zaprzecza poseł w rozmowie z „Przekrojem”. – Byłem mu niechętny i nie zgadzałem się na ten związek. Mogę powiedzieć tylko, że chodziło o jego poglądy polityczne.

Znajomi pamiętają, że Marcinowi zdarzało się wtedy prowadzić ostre polityczne dysku-

sje. – Przypominam sobie rozmowy o tym, że stan wojenny był słuszny, a Solidarność to raczej „solidaruchy” kierowane przez bezpiekę. Z tym że w odróżnieniu od PiS Marcin nie uważał, iż agenci działający w szeregach opozycji robili coś złego. Dawni koledzy i koleżanki wspominają nawet mało wyrafinowane żarty Dubienieckiego, który podobno pojemność bagażnika liczył w „popieluszkach”. – Jak duży bagażnik, to zmieści się dwóch księży – precyzuje jeden z rozmówców.

– Ależ to nieprawda! – zaprzeczają zgodnie przyjaciele Bartosz Potulski i Marcin Klepuszewski. – Nie zgadzał się z prawicowymi poglądami, zwłaszcza radykalnymi, ale nie wyrażał się o nich agresywnie, tak jak nie wygłaszał komunistycznych tyrad.

Ostro w prawo poszedł po studiach, gdy spotkał Martę Kaczyńską.

## Milion pomysłów na minutę

Wrzesień 2006 roku, Darłówek, impreza w konwencji kasyna, która kończy szkolenie aplikantów. Aplikant Marcin siedzi przy stole do black jacka. Gra wysoko, wszystko stawia na jedną kartę. Przegrywa. Podnosi głowę i dostrzega córkę prezydenta. Aplikantka Marta Kaczyńska opowie potem w kolorowym piśmie, że był to „grom z jasnego nieba”. Tego samego wieczoru Marcin obiecuje jej, że zostanie premierem. W następnych dniach karmi ją spaghetti carbonara (swoim popisowym numerem kuchennym) i tak oto między młodymi prawnikami iskrzy, choć Marta nie ma jeszcze rozwodu.

Ich córeczka Martyna przychodzi na świat w czerwcu 2007 roku, jest wcześniakiem. Rodzice pobrali się przed jej narodzinami, w kwietniu.

Według znajomych z Kwidzyna Dubieniecki płakał tylko dwa razy w życiu. Raz na pogrzebie licealnego kolegi, który zginął w wypadku. Drugi raz – po narodzeniu się dziecka. – Marcin ogromnie bał się o życie małej i Marty – opowiada Potulski.

Zaskakująco dobrze ułożyły się relacje Dubienieckiego z Lechem Kaczyńskim. Prezydent przyjął go do rodziny. – Mówił o nim wyłącznie dobrze. Ciepło. Opowiadał, że wspaniale zajmuje się jego córką – wspomina Elżbieta Jakubiak, była szefowa gabinetu prezydenta Kaczyńskiego. Dubieniecki zaś wszystkim opowiadał o rodzinnej atmosferze, jaka panuje u Kaczyńskich (czy Jarosław też go polubił, nie wiadomo. Fakt faktem, że nie pojawił się na ślubie młodej pary. Publicznie nie wypowiada się o Dubienieckim, ten zaś nazywa prezesa PiS swoim →



→ stryjem, a raz rzekł o nim pieszczotliwie „buldog”).

Po 10 kwietnia 2010 roku Dubieniecki wypowiadał się najpierw w imieniu żony, a później – również w swoim. – Moje zdanie jest zdaniem mojej żony – zapewniał w jednym z telewizyjnych wywiadów.

– Zawsze sprawał wrażenie, jakby miał ADHD. Milion pomysłów na minutę – opowiada Bartosz Potulski.

Łatwo to zauważyć w publicznych wystąpieniach: Dubieniecki wybiega przed szereg, a po jakimś czasie zmienia zdanie.

● O odszkodowaniach proponowanych rodzinom ofiar katastrofy smoleńskiej

**21 stycznia 2011 roku, „Gazeta Wyborcza”:**

– Kwota 250 tysięcy złotych jest według mnie w ogóle nie do przyjęcia.

**26 stycznia 2011 roku, Radio RMF FM:**

– To opacznie zrozumiana wypowiedź. Nie chciałem się wdawać w dyskusję, czy to jest za mało, czy za dużo.

● O swoich planach politycznych

**Maj 2010 roku, „Polska the Times”:**

– Jestem coraz bliżej myśli, aby zaangażować się w politykę. Jest mi coraz bliżej do Prawa i Sprawiedliwości.

**Grudzień 2010 roku, „Gazeta Wyborcza”:**

– Nie ukrywam, że gdzieś z tyłu głowy mam takie plany. Ale to odległa przyszłość.

**Styczeń 2011 roku, Radio RMF FM:**

– Najprawdopodobniej nie będę startował w wyborach.

● O hipotezie zamachu na prezydencki samolot

**Grudzień 2010 roku, „Gazeta Wyborcza”:**

– Uważam, że mogło dojść do zamachu na prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

**Styczeń 2011 roku, Radio RMF FM:**

– Ja nigdy nie twierdziłem, że do zamachu doszło. Ja powiedziałem, że ten wątek i hipoteza zamachu powinny być priorytetowe w postępowaniu prowadzonym przez prokuraturę.

### Lubi czuć uwagę

– Dubieniecki wprowadza bardzo dużo nerwowości w swoje przekazy. Na pewno nie pomoże mu to w karierze – ocenia Eryk Miste-wicz, ekspert od marketingu politycznego. Nie pomogło choćby to, że gdy Dubieniecki przykuł uwagę mediów, dziennikarze „Gazety Wyborczej” zaczęli badać jego finanse. I odkryli, że w 2009 roku jako prawnik zabiegał o wypłatę milionowych sum wyłudzonych z wrocławskiego SKOK. Pieniądze miała do-

stać reprezentowana przez niego spółka krzak zarejestrowana w domu jednego ze znajomych Dubienieckiego. Przelew zablokowała prokuratura, która bada sprawę. Sam Dubieniecki odmawia komentarzy, zasłaniając się tajemniczą adwokacką.

– Marcin jest młodą osobą, której wydaje się, że może dużo zmienić. To taka młodzieńcza naiwność, która zderza się ze światem dziennikarzy. On daje się podpuścić mediom – tłumaczy Wiesław Kaczmarek, były minister w rządach SLD i według słów Marcina Dubienieckiego jego „serdeczny znajomy”. – Poznaaliśmy się przy przedsięwzięciu biznesowym, które zresztą nie doszło do skutku – minister dość enigmatycznie wyjaśnia stopień zażyłości. – Kilka razy powtarzałem mu: „Pracujesz

### Posłanec PiS Dubieniecki poradził, by podała się do dymisji i spacerowała po mieście z różą w zębach

w kancelarii, jeśli zaangażujesz się w politykę, wszystko stracisz. Najpierw zrób karierę biznesową”. Chyba zapomniał o moich słowach – mówi Kaczmarek.

Zapomniał chyba na tyle, że aby znaleźć się w centrum uwagi, kreował się na pośrednika między dwiema największymi partiami opozycyjnymi. W czerwcu 2010 roku spotkał się z byłym premierem Józefem Oleksym w restauracji Stara Szafa w Warszawie. Pytany przez reporterów „Super Expressu” o to, czy rozmowa dotyczyła szans na poparcie Jarosława Kaczyńskiego przez SLD, potwierdził: „PiS i SLD mają ze sobą dużo wspólnego. Znam się z Józefem Oleksym od lat. I bardzo go szanuję jako polityka. Znam też wielu innych polityków lewicy i nie chcę, by potencjał, jaki obecnie dzisiaj mają, został zmarnowany”.

– To nieprawda – zaprzecza Józef Oleksy w rozmowie z „Przekrojem”. – Nie było takiego tematu. Zresztą cóż to miałoby być za pośrednictwo ze strony Marcina Dubienieckiego? Poznaaliśmy się dopiero po pogrzebie pary prezydenckiej.

Autokreacje Dubienieckiego były jednak skwapliwie podchwytywane, jego nazwisko coraz częściej pojawiało się w serwisach informacyjnych. – Bardzo lubi czuć skupioną na sobie uwagę mediów – zdradza jeden z jego znajomych.

Politycy PiS uważają, że mandat do wypowiedzenia ostrych sądów dał sobie sam.

– W partii nie ma chyba nikogo, kto by mi sprzyjał – mówi jeden z posłów Prawa i Sprawiedliwości. – Czy czujemy się zagrożeni jego koligacjami z Jarosławem Kaczyńskim? Raczej nie. Nie sądzę, by prezes autoryzował jego medialne występy. Nawet mogą go one irytować. Oficjalnie temat wstąpienia Dubienieckiego do partii nie istnieje. – Nie jest członkiem PiS i nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić. Nie planujemy żadnych transferów – zapewnia poseł Adam Hofman, rzecznik PiS.

– Jeśli Dubieniecki chce się znaleźć w partii, musi skupić się na tym, co mówi, a nie na tym, by mówić cokolwiek – uważa inny poseł PiS. – I uważać, o kim mówi – dodaje.

To aluzja do medialnej bitwy, jaką Dubieniecki stoczył jesienią 2010 roku z posłanką Jolantą Szczypińską, szefową PiS na Pomorzu, czyli w okręgu, z którego ewentualnie mógłby startować. Pozzło o wypowiedzi posłanki, której nie podobała przeszłość rodziny Dubienieckich. Zaprozydenta zareagował ostro: „Wzywam panią do zaprzestania destrukcyjnych działań. Pod pani przewodnictwem w tym okręgu partia ta może jedynie się uwsteczniać” – napisał w liście opublikowanym przez „Super Express”. Wezwał Szczypińską do dymisji i poradził, żeby „włożyła różę w zęby” i spacerowała się po Słupsku w towarzystwie księdza” (to nawiązanie do sfotografowanego przez tabloidowych paparazików spaceru posłanki z duchownym). Władze PiS (a więc też Jarosław Kaczyński) nazwały list Dubienieckiego „nieuprzejmymi dywagacjami”.

### Desant na stolicę

– Czas Dubienieckiego minął. Jeśli prezes Kaczyński nie namaścił go tuż po katastrofie smoleńskiej, raczej już tego nie zrobi. Ze zmarłego prezydenta gra na własną rękę a w polityce to nie jest dobra strategia – uważa politolog Wojciech Jąbłoński z Uniwersytetu Warszawskiego.

– Szanse na sukces w obozie PiS zależą tylko od Kaczyńskiego – zgadza się Eryk Miste-wicz. – A on w budowaniu strategii politycznej musi się kierować względami rodzinnymi – dodaje.

Względami rodzinne to jednak karta, którą Dubieniecki stara się grać do końca. Ostatnio znów występuje w tabloidach, szusując o nasza częściową refundację leczenia stomatologicznego i za niską śmiertelność osób po zawałach. Za to Holandia jest na szczycie. Szpitale i przychodnie muszą tam ostro konkurować, dlatego jedy-

# Bajka o recepcie z Zachodu

## Przychodzi baba do lekarza, a lekarz Holender? Choć NFZ się z tego nie śmieje, to wielka krzywda, jaką podobno wyrządziła funduszowi Bruksela, jest tak naprawdę tylko małym psikusem

MARCELINA SZUMER

W ad tą operacją dyskutowano miesiącami. Przeprowadzono ją 19 stycznia – europosłowie przyjęli unijną dyrektywę medyczną. Od 2013 roku każdy obywatel Unii Europejskiej będzie mógł bez pozwolenia rodzimego funduszu zdrowia leczyć się w dowolnym kraju Wspólnoty. Teoretycznie ma być tak, że pacjent wyjedzie na badania, zabieg lub zwykłą wizytę, zapłaci, weźmie rachunek i przedstawi go w NFZ. – To pozwoli Polakom korzystać z usług, które wcześniej były dla nich niedostępne albo do których dostęp był utrudniony przez limity – zapewnia w rozmowie z „Przekrojem” profesor Lena Kolarska-Bobińska, europosłanka, która pracowała nad dyrektywą. Tłumaczy, że nowe prawo nakazuje stworzyć krajowe punkty kontaktowe, w których pacjenci będą mogli uzyskać dane o możliwościach leczenia za granicą. To dokąd jedziemy? Otóż najzdrowsiej jest wybrać się do Holandii.

### Wymarzone do leczenia

Autorzy rocznego raportu Euro Health Consumer Index (brukselskiej firmy konsultingowej Health Consumer Powerhouse) przyjęli 38 kryteriów oceny służby zdrowia. W najnowszym raporcie (za 2009 rok) Polska zajmuje 26. miejsce na 33 w rankingu. Chwała nasza za częściową refundację leczenia stomatologicznego i za niską śmiertelność osób po zawałach.

Za to Holandia jest na szczycie. Szpitale i przychodnie muszą tam ostro konkurować, dlatego jedy-



Spośród unijnych doktorów najczęściej czasu swoim pacjentom poświęcają niemieccy lekarze. Ale leczą przeciętnie

diologa jest wyceniana przez NFZ na 37 złotych. W prywatnym gabinecie kosztuje 80–120 złotych, a w Belgii – 60 euro. Fundusz zwróciłby tylko 37 złotych i nie ma znaczenia, czy pacjent zapłacił 120 złotych, czy 60 euro.

Bądźmy szczerzy: przy takich kwotach zagraniczne wojaże po receptę lub na zabieg są zupełnie nieopłacalne, a krajowe punkty kontaktowe będą świecić pustkami.

Zniechęceni do wyjazdów? Na pewno. Ale czytajcie dalej.

### Fundusz się nie podda

W tym roku budżet NFZ to 60 miliardów złotych. Resort zdrowia już policzył, że nowa dyrektywa może dodatkowo kosztować fundusz od 200 do 800 milionów złotych rocznie.

Polski system opieki zdrowotnej oparty jest na limitach i kontraktach. Szpitale, przychodnie i laboratoria wykonują rocznie tyle zabiegów i analiz, na ile pozwalają im fundusze z NFZ. A jeśli przez dyrektywę pojawią się dodatkowe rachunki, to – jak przekonuje Piotr Olechno, doradca minister Ewy Kopacz i rzecznik prasowy ministerstwa – trzeba będzie obcinać pieniądze na kontrakty.

Dlatego, jak zdradził Olechno, resort nie daje za wygraną. I może okazać się, że jakkolwiek refundacja wcale nie będzie tak prosta, jak w teorii stanowi dyrektywa.

I dlatego my peany na jej cześć odkładamy na półkę obok „Kopciuszka”, a marzenia o zagranicznych lekarzach wsuwamy między „Kota w butach” a „Bajkę o złotej rybce”.

ne, co jest do poprawienia, to zbyt długie (jak na Holandię...) kolejki. Duńczycy (drugie miejsce) mogą się z Internetu dowiedzieć, które szpitale w ich kraju najsukceszniej leczą pacjentów, a mieszkańcy Islandii (trzecie miejsce) mogą liczyć na lekarzy, którzy jeśli nie są w stanie pomóc pacjentowi w kraju, sami zorganizują mu leczenie za granicą. Niemieccy lekarze spędzają przy pacjentach najwięcej godzin ze wszystkich europejskich medyków, choć wyniki w ich leczeniu mają przeciętne. W tym celu są Szwedzi (za nimi: Irlandczycy, Włosi, Norwegowie i Szwajcarzy), którzy mają za to problemy z dostępem do doktora. Choć nie takie jak Portugalczycy, którzy na wizytę u lekarza pierwszego kontaktu mogą czekać i dwa tygodnie (Irlandczycy, Norwegowie i Brytyjczycy dostają się do niego w ciągu jednego dnia).

Ale moment! Zanim zaczniecie pakować się przed wyjaz-

dem, sprawdźcie, co stanie się z rachunkiem, który potem złożycie w NFZ. Bo tę samą usługę medyczną inaczej wyceni lekarz w Monachium, a inaczej urzędnik w Warszawie. I zamiast z pełną kieszą wyjdziecie z funduszu z pustymi torbami.

### Budzimy się ze snu

Po pierwsze – w dyrektywie zapisano wyjątki. Na przykład na dłuższy niż jednodniowy pobyt w szpitalu wciąż potrzebna będzie zgoda rodzimego funduszu, nie dostaniemy też zwrotu pieniędzy za zabieg – na przykład usunięcia ciąży – który w Polsce nie jest objęty koszykiem świadczeń gwarantowanych.

Po drugie – zgodnie z dyrektywą fundusz od 2013 roku miałby płacić nie tylko za wizyty zagraniczne, ale też krajowe w lecznicach, które nie mają kontraktów z NFZ. Aha, skoro tak, to sięgnijmy po kalkulator. Wizyta u „zakontraktowanego” specjalisty kar-



# Tygrysyca trzęsie USA

Gnębieni kryzysem Amerykanie jak w lustrze przeglądają się w bestsellerowej książce pewnej Chinki - mimo że jest lichy napisana i zupełnie o czym innym, niż się wszystkim w Stanach wydaje

MACIEJ JARKOWIEC

**D**zieci trzeba trzymać krótko. Bardzo krótko. Jeśli siedmiolatka mimo wielotygodniowych prób nie chwyta trudnej melodii na fortepian, należy oddać biednym jej ulubione zabawki i przetrzymać ją przy instrumencie do późnej nocy bez obiadu, kolacji i wyjścia na siku. No i koniecznie trzeba dużo wrzeszczeć. Wtedy na pewno chwyci. Takie - przetestowane na własnych córkach - porady wychowawcze zawarła Amy Chua w książce „Battle Hymn of the Tiger Mother” („Bojowa pieśń tygrysyca”, polska premiera - 8 marca), która stała się w USA megahitem dwa tygodnie przed tym, zanim trafiła do księgarń. Fragmenty opublikowane 8 stycznia w „The Wall Street Journal” pod tytułem „Dlaczego chińskie matki są lepsze” rozpały najpierw dyskusję internetową, a potem ogólnonarodową, której temperatura nie spada ani w mediach, ani w domach Amerykanów. Autorka, córka chińskich imigrantów, absolwentka Harvardu, profesor prawa Uniwersytetu Yale - zalicza kolejne występy w popołudniowych talk-show, internauci grożą jej śmiercią, a jej książka łąduje na czwartym miejscu listy bestsellerów Amazon.com i na okładce tygodnika „Time”. Prezydent Barack Obama, choć nie wymienił jej tytułu, odniósł się do niej 25 stycznia w wygłoszonym w Kongresie orędziu o stanie państwa.

## Grunt to dobre tresowanie

Współczesne dzieciaki mają wielu przyjaciół, noszą drogie ciuchy i znają swoje konstytucyjne prawa. To wszystko robi im wodę z mózgu - wydaje im się, że wiedzą, co jest dla nich najlepsze, lepiej od ich rodziców. Taka sytuacja prowadzi do rozkładu całego pokolenia. Jedyna rada - wziąć gówniarzy za twarz, tak jak to się robi w Chinach.

Takie przesłanie płynące z kart „Bojowej pieśni...” (a raczej jej fragmentów, o czym później) to cios w najbardziej czuły punkt dzisiejszej Ameryki. Stan ducha Amerykanów A.D. 2011 doskonale wyraża bowiem okład-

kowy tytuł ostatniego wydania periodyku „Foreign Policy” - „Ameryka upada. Tym razem naprawdę”. Artykuł traktuje nie tyle o imperium chylącym się ku upadkowi, ile o ekspresywnym wzroście potęgi Wschodu, szczególnie Chin i Indii. Wielu Amerykanów budzi się i zasypia, dręcząc się myślami o tym, że chińska gospodarka rozwija się pięć razy szybciej od amerykańskiej, że Chińczycy mają 250 miliardów nadwyżki w handlu z USA, że - jak wołał Obama w orędziu - budują większe elektrownie słoneczne, szybsze komputery i pociągi oraz nowocześniejsze lotniska. Przemówienie prezydenta, które wedle sondaży pozytywnie oceniło 90 procent obywateli, nie traktowało o 10-procentowym bezrobociu i rosnącym w zastraszającym tempie długu publicznym, tylko o wyścigu ze Wschodem

## Amerykańskie wychowanie produkuje hedonizujących maminsynków, a chińskie - automaty do walki z globalną konkurencją

o przyszłość, który Ameryka dziś przegrywa. Hasło „Wygrać przyszłość” padło z jego ust dziewięć razy. Ameryka poniesie klęskę, jeśli nie prześcignie Chin i Indii w innowacyjności i edukacji - przekonywał rodaków Obama. A raczej mówił im - jak zwykle - to, co chcieli usłyszeć, bo już dawno są o tym przekonani.

Tylko jak tu się ścigać, kiedy amerykański model wychowania - co ma ponoć ilustrować „Bojowa pieśń tygrysyca” autorstwa Amy Chua - produkuje hedonizujących maminsynków, a chiński - perfekcyjnie zaprogramowane automaty do wykonywania zadań w trudnym terenie globalnej konkurencji? Nic prostszego. Trzeba po prostu zmienić model wychowania na chiński. Jak odpowiednio za-

programować automat, instruuje tylna okładka „Bojowej pieśni...”: zakaz zabawy na podwórku, nocowania u koleżanek i chodzenia na kółko teatralne; obowiązek gry na pianinie i skrzypcach (po kilka godzin ćwiczeń dziennie); dotkliwa kara (na przykład werbalna: „steś śmieciem!”) za każdą ocenę poniżej piątki (wliczając pięć minus). Chua pisze, że konsekwentna tresura uczy dzieciaki pracowitości i pewności siebie, w ostatecznym rozrachunku dając im radość ze wszystkiego, co robią w życiu.

Tymczasem model zachodni, w którym rodzice pochylają się nad słabościami swoich dzieci i wychwalają je pod niebiosa za każde nawet najmniejsze osiągnięcie, prowadzi do tego, że są słabe psychicznie i nie wiedzą o własne możliwości. W modelu chińskim dzieciaki ma być doskonałe. Koniec kropki. Kiedy Amy Chua dostała od córki laurkę, którą uznała za niedopracowaną, oddała ją z instrukcją: „Następnym razem się postaraj. Nie zasługuję na coś tak nędznego”.

## Chińskie dzieci najmądrzejsze

Takie i podobne ustępy z książki rozgnęły amerykańskich internautów. „To było losne. Świat nie dzieli się na zwycięzców i looserów, jest nieco bardziej skomplikowane”; „W sukcesie według Chua nie ma miejsca na szczęście, miłość i prawdziwe wartości”; „Ta kobieta ma problem z głową, kupujcie jej książki!” - wielu autozwołało się do niej na forum pod artykułem na Chua. Pojawiły się jednak i takie głosy: „Zgadzę się z nią w zupełności. Jeśli znów - jak w latach powojennych - nie zaczniemy uczyć naszych dzieci dążenia do doskonałości, Amerykę czeka rychły upadek. Zupełnie przesadzamy się liczyć w światowej gospodarce”.

Według obrońców Amy Chua za modelem chińskim przemawiają liczby. W międzynarodowych egzaminach sprawdzających wiedzę 15-latków w różnych krajach świata w zeszłym



Amy Chua z powodu jej książki grożono już śmiercią, a kilka par zaferowało, że adoptuje jej córki

roku po raz pierwszy wzięli udział chińscy uczniowie (ze szkół w Szanghaju). Ku zdumieniu ekspertów uzyskali najlepsze wyniki we wszystkich trzech kategoriach: humanistycznej, przyrodniczej i matematycznej. Nastolatki z USA uplasowały się odpowiednio na miejscach 17., 23. i 31. (polskie - na 15., 19. oraz 25.). O wyższości dalekowschodnich metod wychowawczych ma też świadczyć skład etniczny amerykańskich uniwersytetów - mimo że Amerykanie azjatyckiego pochodzenia stanowią zaledwie 4,2 procent populacji USA, zajmują aż jedną czwartą miejsc w najbardziej prestiżowych szkołach wyższych, jak MIT, Stanford czy Harvard.

Dla tych, których wywody autorki książki oburzają, dużo ciekawsze są dane departamentu zdrowia, zgodne z którymi młodzi

Amerykanie azjatyckiego pochodzenia wyprzedzają swoich rówieśników o kilka długości w liczbie popełnianych samobójstw. Taki jest efekt tego, że „zakuwają po 18 godzin dziennie, zamiast jak wszyscy normalni studenci świata urzynać się w trupa w studenckich knajpach”. Imperium może i upada - mówią obrońcy liberalnych metod wychowawczych - ale dlatego, że Ameryka za długo żyła na kredyt, a nie dlatego, że starzy nie każą dzieciakom poprawiać laurki. Swoją nadwyżką w handlu Chińczycy mogą się wypchać, bo Steve Jobs, który dał światu iPoda, i ojciec Facebooka Mark Zuckerberg wychowali się w zwykłych amerykańskich domach. Zamiast ślęczeć nad nimi z batem, rodzice wpoili im, że najcenniejszymi

wartościami są wolność i otwarta głowa. Jeden z internautów zauważa: „Jasne, można dziecko siłą nauczyć, żeby grało na pianinie tak dobrze jak miliard jego sąsiadów. Ale Jimiego Hendriksa tym sposobem się nie doczekasz”. A najcelniej piłkę odbija David Brooks z „New York Timesa”, pisząc w komentarzu pod tytułem „Amy Chua jest mięczakiem”, że prawdziwej rywalizacji, umiejętności negocjacyjnych, rozumienia norm społecznych, dynamiki funkcjonowania grupy i nawigowania w trudnym terenie nieskończonego bogactwa osobowości młody człowiek lepiej nauczy się na imprezach wśród rówieśników niż na lekcjach fortepianu z matką.

## To tylko marketing

Po tym jak córeczka Amy Chua nie dostała kolacji i przez kilka godzin wstrzymywała siku przy fortepianie, „nagle chwyciła”. „Jej dłonie zgrały się, wstrzymałam oddech” - pisze mama - „a ona grała pewnie i coraz szybciej, i coraz rytmiczniej. »Patrz, mammo, jakie to proste!«”.

W „Bojowej pieśni tygrysyca” roi się od takich wzruszających obrazków. Chua powtarza w wywiadach, że jej książka nie jest żadnym poradnikiem, tylko podkolorowanym wspomnieniem. Kończy się zresztą - czego nijak nie sugeruje fragment w „WSJ” - przemianą narratorki. Jedną z jej córek buntuje się i matka zmuszona jest skorygować swoje tygrysy metody. Koniec końców pozwala jej na lekcje tenisa zamiast skrzypiec, randkowanie z chłopakiem i nocowanie u koleżanki.

Tak naprawdę dyskusja, która od kilku tygodni zajmuje Amerykanów, jest efektem zmyślonej wydawniczej sztuczki. Kontrowersyjne fragmenty opublikowane w poczytnej gazecie miały wzbudzić zainteresowanie książką nieznaną nikomu autorki i udało się to z nawiązką. To, że w istocie mamy do czynienia z banalnym pamiętnikiem córki chińskich imigrantów opowiadającym na wskroś amerykańską historię, mało kogo interesuje. Spór o wyższość Zachodu nad Wschodem lub Wschodu nad Zachodem trwa w USA w najlepsze, Amy Chua tłumaczy w telewizji śniadaniowej, że nikt nie zrozumiał, co miała na myśli, „Bojowa pieśń...” sprzedaje się jak ciepłe bułeczki, a jej sukces - poza tym, że pokazuje strach Ameryki przed Chinami - dowodzi przede wszystkim tego, że żyjemy w świecie kompletnie zmanipulowanym przez speców od marketingu. ●

Polskie wydanie książki „Battle Hymn of the Tiger Mother” ukaże się 8 marca nakładem wydawnictwa Prószyński Media





# Zderzenie kobiecych cywilizacji

Choć ze sobą graniczą, Francja i Włochy z kobiecej perspektywy leżą dziś na dwóch różnych planetach – Francja na Wenus, a Włochy na Marsie

ŁUKASZ WÓJCIK

Jakże się pomylił wielki Samuel Huntington ze swoim zderzeniem cywilizacji. 17 lat temu ten wybitny amerykański politolog postawił następującą tezę: na świecie skończyła się wojna ideologiczna między kapitalizmem a komunizmem. Teraz przyszedł czas na wojny kulturowe, na wojny cywilizacji. Do ich zderzenia miało dojść na krwawiących pograniczach. W 1996 roku to zwięzłe twierdzenie Huntington rozpiął na kilkuset stronach książki i opatrzył mapą, na której podzielił świat między cywilizacje. Polska rzutem na taśmę dostała się do zachodniej, tak jak reszta Europy oraz Ameryka Północna, ale bez Meksyku. I to właśnie w europejskiej części tej mapy Huntington najbardziej się pomylił. Nie zauważył bowiem, że na południowych krańcach Starego Kontynentu powstaje odrębna kultura zwana przez złośliwców cywilizacją bunga-bunga.

Można oczywiście w nieskończoność opowiadać o europejskiej wspólnocie kulturowej opartej na greckiej filozofii, rzymskim prawie i oświeceniu. Ale wspólnota kończy się, gdy po jednej stronie granicy, przebiegającej gdzieś pomiędzy San Remo a Niceą, mamy lidera, który publicznie odmawia kobietom rozumu przy aprobacie większości samych zainteresowanych, a po drugiej jest państwo, w którym to kobiety coraz śmielej rozdają karty.

Francja i Włochy poszły ostatnio w przeciwnych kierunkach. Podczas gdy Francuzki krok po kroku opanowują tamtejszą scenę polityczną, we Włoszech mimo kolejnych sekskandali trwa niewzruszony premier Silvio Berlusconi. O ile jednak jego poparcie wśród Włochów da się pokrętnie wytłumaczyć dominującą w Italii kulturą macho (w myśl zasady: podziwiamy, zazdrościmy), o tyle ponad 60-procentowa aprobata postępowania szefa rządu wśród Włosek (najpopularniejsza odpowiedź: „Bo mężczyźni już tacy są” – według badań rzymskiego Uniwersytetu Sapienza) jest dla przedstawiciela zachodniej cywilizacji trudna do zrozumienia. Chyba że uznamy odrębność kulturową panującej we Włoszech cywilizacji bunga-bunga za realną (bunga-

bunga to według internetowego słownika slangu „Urban Dictionary” „erotyczny rytuał z udziałem potężnego lidera i kilku nagich kobiet termin przywieziony z Libii, gdzie Berlusconi bawił się u Muammara Kadafigo).

## Macho-państwo

17 stycznia mediolańska prokuratura dostarczyła parlamentowi oskarżenia przeciwko bliskiemu współpracownikowi premiera Silvio Berlusconiego. Śledczy domagają się zgody posłów na przeszukanie biur szefa rządu – uważają, że mogą tam być dowody na to, że Berlusconi przez pośredników płacił za usługi nieletniej prostytutce Katerinie „Ruby” El Mahroug. Jeśli udałoby się tego dowiedzieć, byłby to koniec kilkunastoletniej kariery włoskiego polityka. Na razie jednak polityka na pozycję Berlusconiego nawet nie drgnęła. – Premier stworzył jedyną w swoim rodzaju macho-państwo – mówi Chiara Volpato, psycholog społeczna z mediolańskiego Uniwersytetu Bicocca. – To nie jest tylko seksistowska retoryka. To system, który blokuje awans społeczny kobietom.

Nestorka włoskiej polityki Emma Bonino w kwietniowym wywiadzie dla brytyjskiego „Guardiana” przyznała, że Włoszki zostały „zupełnie uprzedmiotowione”. – We wszystkich mediach Berlusconiego kobieta jest dodatkiem, ozdobą – tłumaczyła Bonino. – Nie dziwi mnie, że coraz więcej nastolatków nafaszerowanych przez telewizję zastanawia się dziś, czy kobiety w ogóle mają mózg.

Doskonałym produktem tego macho-systemu jest Mara Carfagna, włoska minister do spraw równouprawnienia. Ta była modelka topless, wieloletnia gwiazda programów koncertu Mediaset należącego do szefa rządu, w 2006 roku z dnia na dzień została kandydatką partii Berlusconiego do parlamentu. W 2007 roku to właśnie Carfagnę miała na myśli premier, mówiąc, że gdyby nie był żonaty, od razu poprosiłby ją o rękę. Rok później argentyński dziennikarz ujawnił na granicy mowy telefonicznej, w trakcie której Berlusconi i Carfagna rozważały różne aspekty seksu oralnego. – Minister Carfagna to kwintesencja Włosek w polityce – tłumaczy Volpato. – Albo nas nie ma wcale, albo jesteśmy laleczkami, od których nic nie zależy, a naszym życiowym powołaniem jest szeroko się uśmiechać.

## Córusia tatusia

W drodze z Włoch na Zachód, za Niceą zaczyna się inna cywilizacja. Niby ten sam krąg kulturowy, ale polityka jakby piękniejsza. Feminizację francuskiej sceny politycznej można oczywiście tłumaczyć przypadkowym nagromadzeniem kobiecych talentów. Ale tyle naraz? Cho-



Mara Carfagna,  
włoska minister  
do spraw  
równouprawnienia



Martine Aubry,  
szefowa  
francuskiej Partii  
Socjalistycznej



Marine Le Pen,  
przewodnicząca  
francuskiego  
Frontu  
Narodowego

nej świeckości państwa. Dlatego straciła poparcie katolickich tradycjonalistów, za to zyskała głosy wielu dotychczas niezdecydowanych wyborców.

Od 2003 roku Marine Le Pen nie ukrywa, że chce zostać prezydentem Francji. Schudła ostatnio 11 kilogramów, zmieniła fryzurę i pnie się w sondażach. W najnowszym, wykonanym dla dziennika „Le Figaro”, Front Narodowy uzyskał najlepszy rezultat w historii – 22 procent poparcia. Również w rankingach popularności już dawno prześcignęła ojca. – Otworzyła Front na ludzi – mówi Maurice Fraser, francuski politolog z London School of Economics. – Najlepiej o jej sukcesie świadczy popłoch, w jaki wpadł Nicolas Sarkozy. Prezydent już nie flirtuje z lewicą, bo wie, że na prawicy wyrosła mu poważna konkurentka. To nie córusia tatusia, tylko jego lepsza wersja.

## Kierowniczka słoni

Tatusz nie powinien też wstydić się Martine Aubry, 60-letniej szefowej francuskiej Partii Socjalistycznej. Jacques Delors, wieloletni przewodniczący Komisji Europejskiej, w latach 90. ustąpił nawet córce miejsca w walce o prezydenturę. Aubry jednak nie wystartowała, bo – jak wtedy twierdziła – „polityka to strata czasu”. Zmieniła jednak zdanie i dwa lata temu wygrała z Ségolène Royal walkę o przywództwo w partii. Zresztą zaledwie 102 głosami na 135 tysięcy oddanych. Przegrana oskarżyła Martine Aubry o malwersację przy liczeniu głosów. To dość poważne oskarżenie, biorąc pod uwagę to, że liczyli je dobrzy znajomi obecnej szefowej. Niczego jednak nikomu nie udowodniono.

Krytycy twierdzą, że Aubry (stojąca na czele partyjnej starej gwardii, tak zwanych słoni z Partii Socjalistycznej) jest zbyt uwikłana w lewicowe dogmaty, aby wygrywać wybory. To ona zaproponowała ustawę o 35-godzinnym tygodniu pracy i doprowadziła do jej przyjęcia – co było szczytowym osiągnięciem europejskiego socjalizmu. Dla zwolenników jest jednak lewicową wersją Angeli Merkel. Ponoć w 2002 roku Jacques Chirac był zachwycony, gdy dowiedział się, że to nie ona, lecz bezbarwny Lionel Jospin będzie jego przeciwnikiem w walce o prezydenturę. Teraz martwić powinien się Sarkozy, bo Aubry odświeżyła swoją znajomość z Karlem Lagerfeldem (wysłała jej nowe kreacje), zaczyna się uśmiechać i jeśli do kraju nie wróci Dominique Strauss-Kahn, szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego i potencjalny kontrkandydat w walce o socjalistyczną nominację, to będzie znacznie większym zagrożeniem dla Sarkozyego niż Marine Le Pen.

We Włoszech ze wsparcia przodków skutecznie skorzystała tylko Alessandra Mussolini, choć na krótko. Dziś okupuje ostatnie ławy we włoskiej Izbie Deputowanych, co jest kolejnym dowodem →



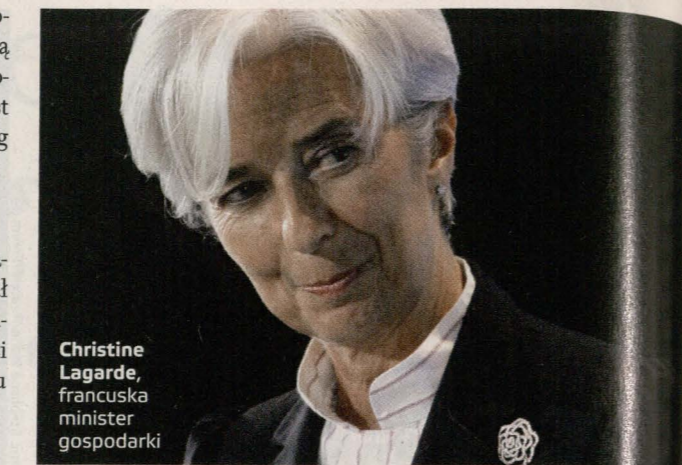
→ na istnienie we Włoszech macho-systemu. Szeregowi członkowie ugrupowań są uzależnieni od swoich szefów, którzy sami układają listy przed wyborami. A w historii włoskiej republiki jeszcze żadna kobieta nie stała na czele. Niechęć wobec pań w partyjnych szeregach jest tak wielka, że liderzy wolą płacić ustawowe kary, niż spełniać wymóg 30 procent kobiet na listach wyborczych. Nikt się z nimi nie liczy.

**Amerykanka w Paryżu**

Prezydent Sarkozy z kolei z nikim tak się nie liczy jak z Christine Lagarde. W ubiegłym roku dziennik „Financial Times” przyznał jej tytuł najlepszego ministra gospodarki w Europie. To ona szarpnęła francuską ekonomię, która z dwuprocentowym wzrostem PKB przewodzi dziś ożywieniu gospodarczemu w Europie Zachodniej. Mimo to wielu Francuzów jej się wstydzi – mówią o niej „Amerykanka”.



Michèle Alliot-Marie, minister spraw zagranicznych Francji



Christine Lagarde, francuska minister gospodarki



Ilda Boccassini, mediolańska prokurator, od lat ściga Berlusconi

55-letnia pani minister doskonale czuje się w zespole, co zapewne jest owocem tego, że przez wiele lat była pływaczką synchroniczną (zdobyła wicemistrzostwo Francji). Przerwała treningi, bo – jak sama twierdzi – „pływanie z nogami do góry nie przystoi minister gospodarki”. Stąd też haniebne we Francji oskarżenia o amerykańskość, bo ma rzadko spotykaną wśród francuskich polityków cechę – potrafi śmiać się z siebie. Na ścianach ministerialnego gabinetu w paryskim pałacu Colberta wisi mnóstwo karykatur Lagarde.

„Amerykanka” w duszy najbardziej jednak daje znać o sobie w pracy. Rok temu z zaciśniętą pięścią przekonywała posłów: „Dość teoretyzowania! Dość myślenia! Podwinić rękawy i do roboty!”. W obliczu kryzysu gospodarczego zdemontowała francuski 35-godzinny tydzień pracy, zbiła deficyt budżetowy i była głównym architektem planu ratowania Grecji, która w kwietniu 2010 roku stanęła nad finansową przepaścią.

Zazdrościcy we Francji tłumaczą, że Lagarde jest tak dobrze odbierana za granicą, bo można ją zrozumieć – świetna znajomość języka angielskiego to obok autoironii kolejną deficytową cechą wśród francuskich kolegów pani minister. Jako studentka przez rok mieszkała w USA, a po studiach, gdy żadna paryska kancelaria nie chciała jej przyjąć (do dziś kobiety pierwiastek występuje tam w ilościach śladowych), zatrudniła się w amerykańskiej kancelarii Baker & McKenzie. W latach 1999–2004 jako pierwsza kobieta w historii objęła stanowisko dyrektora zarządzającego tego prawniczego giganta.

Wystarczył jednak jeden telefon od ówczesnego premiera Dominique’a de Villepin, żeby Lagarde porzuciła pracę za milion dolarów rocznie i za grosze została wiceministrem handlu zagranicznego republiki.

Dziennik „Liberation” uznał ją niedawno za najpotężniejszą kobietę we Francji. Śpi po pięć godzin na dobę, nie pije alkoholu, nie pali, nie je mięsa. Zapytana o źródła sukcesów pań w polityce odparła: „Są lepsze, bo nie są więźniami libido i testosteronu. Kalkulują na chłodno”.

Włoska posłanka Emma Bonino we wspomnianym wywiadzie dla „Guardiana” podkreśla, że brak samodzielnych kobiet we włoskiej polityce jest również prostym następstwem skromnego udziału Włochek we wszelkich sferach życia publicznego, przede wszystkim w biznesie. Ta dziura zaczęła się tworzyć już w czasach rządów faszystów. Kobiety nie mogły wówczas nawet uczyć się filozofii i historii, bo te nauki uważane były przez władze za „zbyt wysokie” dla płci pięknej. Do dziś tylko dwie kobiety były redaktorkami naczelnymi ogólnokrajowych mediów. Jest ich nieproporcjonalnie mniej na uniwersytetach. Nigdy żadna Włoszka nie była nie tylko prezydentem czy premierem – żadne kluczowe ministerstwo nie było jeszcze kierowane przez kobietę. W 2010 roku tylko 45 procent włoskich kobiet pracowało poza domem.

**Moja mała Michèle**

Michèle Alliot-Marie (w skrócie MAM) od listopada jest ministrem spraw zagranicznych Francji. Jako pierwszy polityk w historii Republiki zaliczyła „Wielkiego Szlema” – kierowała wszystkimi najważniejszymi ministerstwami: obrony, sprawiedliwości, spraw wewnętrznych a teraz spraw zagranicznych. Żaden minister francuskiego rządu nie ma lepszych notowań niż Alliot-Marie. Tak jak pływaczka synchroniczna Lagarde MAM w codziennej pracy korzysta z umiejętności, które nabyła kiedyś jako sportsmenka.

Tyle że 64-letnia dziś Alliot-Marie grała w rugby. Niewiele brakowało, by wyleciała ze szkoły, po tym jak przekabaciła żeńską drużynę piłki ręcznej do zmiany dyscypliny na bardziej siłową. W baskońskim Biarritz, skąd pochodzi MAM, rugby jest ważniejsze od futbolu. Z tej dalekiej prowincji wyciągnął ją przyjaciel ojca Jacques Chirac. Gdy pewnego dnia przyjechał do Biarritz, zaimponowała mu młoda, wygadana prawniczka. Szybko ściągnął ją do Paryża i do dziś, nawet publicznie, mówi o niej „moja mała Michèle”.

Sympatia Chiraca to dziś we Francji atut nie do przecenienia. Mimo że odchodził w cieniu skandali, jest teraz najpopularniejszym żyjącym politykiem w kraju. Ale MAM już dawno się usamodzielniała. Gdy w 2002 roku została ministrem obrony, nikt nie dawał jej szans. A ona „kupila” sobie armię podczas jednej wizyty w Afganistanie: zagrała z żołnierzami w rugby i skoczyła ze spadochronem. Thomas Klau z Europejskiego Centrum Stosunków Międzynarodowych twierdzi, że za jej rządów wojsko funkcjonowało doskonale. W 2004 roku to z jej rozkazu francuskie myśliwce w kilka godzin zniszczyły całe lotnictwo Wyrzeża Kości Słoniowej.

Dla swojego biografa Michaela Darmona Alliot-Marie jest francuskim weleniem Margaret Thatcher, co akurat we Francji komplementem nie jest. „MAM jest najbardziej skutecznym politykiem, jakiego znam – pisze Darmon. – Potrafi lojalnie wykonać każde zadanie, co nie oznacza, że nie ma własnego zdania. MAM po ojcu oficerze odziedziczyła zmysł do strategii. Wie, kiedy może uderzyć”.

Jej awans na ministra spraw zagranicznych to pokłosie problemów z poprzednim szefem Quai d’Orsay Bernardem Kouchnerem, z którym Sarkozy nie mógł się dogadać. Francja przewodniczy teraz jedno-

cznie dwóm globalnym grupom: G8 i G20. Sarkozy zupełnie zaangażował się w te spotkania i przyznał, że resztę polityki zagranicznej oddaje w „bezpieczne ręce” Alliot-Marie.

**Czerwona Ilda**

Premier Silvio Berlusconi w „bezpieczne ręce” eksmodelki Mary Carfagny może co najwyżej oddać ministerstwo równouprawnienia, które w praktyce nie ma żadnych kompetencji. – Włoski system polityczny zastygł i nie ma w nim już miejsca dla pań, nie wspominając o emigrantach – mówi Chiara Volpato. Co gorsza, na horyzoncie nie widać żadnej kobiety, której talent polityczny mógłby rozbić tę skostniałą macho-strukturę.

Poza jednym wyjątkiem. Głównym autorem aktu oskarżenia w sprawie seksualnych ekscesów Berlusconi jest Ilda Boccassini, która ze względu na swoje przekonania polityczne zwana jest też Czerwoną Ildą. To jedna z najbardziej doświadczonych śledczych we włoskim wymiarze sprawiedliwości. W latach 80. zabłysła w trakcie procesów włoskiej mafii, a już od ponad dekady ściga Berlusconi. Wielokrotnie atakowana przez media premiera dziś jest bliska celu – oskarżenie w sprawie nieletniej prostytutki „Ruby” jest doskonale udokumentowane.

Włoscy eksperci twierdzą, że jeśli parlament zgodzi się na przeszkolenie rządowych biur (co jest prawdopodobne), to będzie koniec Berlusconi. Byłaby to przewrotna puenta tej historii – samotna kobieta prokurator doprowadza do upadku cywilizację bunga-bunga. I jednocześnie doskonały prezent dla Włosek z okazji 150. rocznicy powstania republiki, która wypada już w marcu.

**WYJĄTKOWY KONCERT WALENTYNKOWY  
THANK YOU FOR THE MUSIC  
WIELKIE PRZEBOJE GRUP**



**14.02. WARSZAWA** GODZ. 19.00  
**Sala Kongresowa**

Bilety: [www.eventim.pl](http://www.eventim.pl), [www.ticketpro.pl](http://www.ticketpro.pl), [www.ticketonline.pl](http://www.ticketonline.pl), [www.ebilet.pl](http://www.ebilet.pl), kasa biletowa Sali Kongresowej, wybrane salony empik, Media Markt i Saturn oraz sieć RUCH





# Przeszczep ze złudzeniami

Ministerstwo Zdrowia podwaja wydatki na transplantologię. Ale więcej pieniędzy na przeszczepy jak dotąd nie oznaczało większej liczby zabiegów

**N**akłady na transplantologię rosną systematycznie: w 2009 roku było to niespełna 12 milionów złotych, w ubiegłym roku – niemal 20 milionów. Teraz Ministerstwo Zdrowia zapowiedziało, że od 2011 roku, przez najbliższe 10 lat, będzie przekazywać na ten cel po 45 milionów złotych. A jednak statystyki przeszczepów nie rosną. W Polsce w 2000 roku narządy pobrano od 410 osób, dziewięć lat póź-

niej od zaledwie 420. – Bo pieniądze to nie wszystko – mówi „Przekroju” Zbigniew Włodarczyk, profesor Collegium Medicum UMK i kujawsko-pomorski konsultant do spraw transplantologii. – Aby móc przeszczepiać narządy, trzeba je mieć – dodaje.

W ubiegłym roku udało się przeprowadzić 1347 przeszczepów, jednak w grudniu w kolejce czekało jeszcze 1,5 tysiąca chorych potrzebujących nerki, 232 potrzebujących serca,

170 – wątroby, 29 – płuca... Być może dzięki podwojeniu kwot na przeszczepy kolejki w końcu się zmniejszą. Za dodatkowe pieniądze większa liczba szpitali ma zatrudnić koordynatorów przeszczepów – szukają oni dawców narządów i zgłaszają możliwość ich pobrania oraz koordynują działania związane z pobraniem. W tej chwili w Polsce mamy 118 takich specjalistów, wkrótce ma ich być 200.

MAŁGORZATA ŚWIĘCHOWICZ

## SUBKULTURY

### Nieustraszeni naśladowcy wampirów

**P**o sadze „Zmierch” Stephenie Meyer i serialu HBO „Czysta krew” coraz więcej Amerykanów nie ogranicza się wyłącznie do oglądania filmów, czytania książek, a nawet przebieranek. I choć naśladowcy wampirów działali już wcześniej, to teraz – według badań socjologa D.J. Williama z Idaho State University – subkultura krwopijców zdobywa coraz szersze rzesze praktyków. – Na co dzień mają normalną pracę. Wieczorem spotykają się w klubach, nacinają sobie skórę i ssą krew – mówi Williams. Próbowal uświadomić im, że pijąc krew innych ludzi, mogą zarazić się wirusem HIV. Jednak członkowie wampirycznej subkultury choroby się nie boją i nad bezpieczeństwem bardziej cenią sobie mroczne rytuały. **WOJ**



## RACZKOWSKI PONOWNIE



## WYRĘBY

### Co NATO na drzewa?

**H**amid Karzaj, prezydent Afganistanu, jest oburzony na wojska NATO, które – jego zdaniem – zamiast walczyć z talibami, kradną drewno z jego kraju. Według prezydenta żołnierze mieli nielegalnie (i nie wiadomo po co) wyciąć ponad cztery tysiące drzew różnych gatunków w prowincji Ghazni, za którą odpowiadają Polacy. Lasy – głównie iglaste – zajmują niewielką powierzchnię Afganistanu. Najczęściej można tu spotkać cedry i sosny, rzadziej dęby. „To zbrodnia przeciwko własności publicznej. Poza tym wycinanie lasów niszczy środowisko” – czytamy w oświadczeniu prezydenta. – Przyjrzelśmy się problemowi i nie znaleźliśmy dowodów na poparcie tego zarzutu – mówi John Dorrian, rzecznik Międzynarodowych Sił Wspierania Bezpieczeństwa (ISAF). **WOJ**



## EMERYTURY

### Minister się oburzyła



**J**olanta Fedak, minister pracy i polityki społecznej, wystąpiła do Komisji Nadzoru Finansowego o skontrolowanie legalności kampanii „Obronę emeryturę”. W telewizyjnych spotach bowiem niezadowoleni z planowanych reform emerycy oskarżają rząd, że okrada ich z pieniędzy. W ramach kampanii uruchomione też zostały profile na Facebooku i stronie Obroń emeryturę.pl, na której można znaleźć informacje, jak zmieniać się emerytury, jeśli państwo odbierze pieniądze OFE, i podpisać list protestacyjny do premiera (do ostatniego piątku zrobiło to już ponad 75 tysięcy osób). Kampanię społeczną prowadzi Business Centre Club i Izba Gospodarcza Towarzystw Emerytalnych. Minister Fedak uważa, że KNF powinna sprawdzić, czy pieniądze na nią pochodzą z budżetów przeznaczonych na reklamę i promocję. – Zjemy w demokratycznym państwie i każdy może mówić, co chce. Skutkiem ubocznym jest też opowiadanie bzdur, a to, co twierdzą autorzy tej reklamy, to bzdury – powiedziała minister Fedak w rozmowie z „Przekrojem”. – A jeśli ktoś w reklamie mówi nieprawdę, prawo pozwala na jej sprostowanie – tłumaczy. Jeśli jednak komisja nie dopatry się niczego złego w kampanii? – Zobaczymy – odpowiada minister i dodaje, że skoro Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów bada zawartość masła w masle, to może zbada też zawartość prawdy w tej reklamie.

Co na to organizatorzy kampanii? – Na razie nie mamy nawet czego komentować. Do nas zadane pismo z resortu nie wpłynęło. O tym, że istnieje, dowiedzieliśmy się ze strony internetowej ministerstwa – mówi Marek Wilhelm, rzecznik izby. **MSZ**

## HIGIENA

### Śmierdzą, ale nie szkodzą



**D**żinsy wystarczy prać raz na 15 miesięcy – stwierdziła po swoim eksperymencie Rachel McQueen, która na University of Alberta (Kanada) wyklada ekologię i jest ekspertką od tkanin. Student Josh Le nosił jedną parę spodni bez prania od września 2009 roku do grudnia 2010 roku. Później je uprał i chodził w nich przez dwa

tygodnie. McQueen porównała liczbę bakterii na spodniach po 15 miesiącach i po 14 dniach. Różnica była niewielka. Josh Le narzekał jedynie, że dżinsy śmierdziały. Żeby złączyć zapach, wietrzył spodnie, po czym pakował je do trzech reklamówek i wkładał do lodówki. Le ma już nowe spodnie. Chce je nosić bez prania przez dwa lata. **WOJ**

## INWIGILACJE

### Musieli się dostosować

**R**ytyjscy policjanci i policjantki sypiały z członkami organizacji, które inwigilowali – ujawnił „Guardian”. Sprawa dotyczy funkcjonariuszy National Public Order Intelligence Unit (NPOIU) oraz Special Demonstration Squad (SDS). Agenci pracowali w ten sposób głównie lewicowe grupy ekologów i anarchistów. Tłumaczy, że to rozwiązanie środowiska, w których seks poza-

matżeński jest normą. – Nasza abstynencja mogła budzić ich podejrzania – bronią się policjanci. Mark Kennedy spał z trzema kobietami jednocześnie. – Wszystko dla dobra śledztwa – przekonuje.

– Wiadomo, że po seksie można wyciągnąć z kobiety o wiele więcej informacji – dodaje anonimowo były funkcjonariusz SDS, który zwiedził sypialnię przynajmniej dwóch członków Frontu Wyzwolenia Zwierząt. Inwigilowane organizacje są zbulwersowane wykorzystywaniem kobiet przez policjantów. Zapowiadają skierowanie sprawy do sądu. **WOJ**

## WOLNOŚĆ SŁOWA

### Bloger z zakazem pisania

**S**ąd zakazał blogerowi z Mosiny publikowania artykułów, bo miał znieważać panią burmistrz. Łukasz Kasprowicz jest też dziennikarzem lokalnych „Faktów Mosińsko-Puszczykowskich”. A na dodatek miejskim radnym, w obywateli do urzędującej w Mosi-

nie burmistrz Zofii Springer. I to jej się naraził, publikując na swoim blogu serię krytycznych artykułów. W zamian pani burmistrz oskarżyła blogera z art. 212 kodeksu karnego o znieważenie (przepis od lat budzi kontrowersje prawników, bo przewiduje nawet karę więzienia za obrażenie kogoś w mediach). – Nikogo nie chciałem obrazić, jedynie głośno stawiłem pytania o styl sprawowania władzy w moim mieście – zapewnia nas Kasprowicz, który jest zdumiony tak surowym wyrokiem sądu: zakaz publikacji jakichkolwiek tekstów prasowych w jakiegokolwiek formie przez rok, do tego 300 godzin prac społecznych. Zdziwiona wyrokiem, i to mocno, jest również Helsińska Fundacja Praw Człowieka. Jej zdaniem sąd wysłał niezbyt optymistyczny sygnał do dziennikarzy i blogerów z lokalnych mediów, by przypadkiem nie krytykowali władzy, bo mogą być za to ostro ukarani. **ANA**



Rozmowy o mądrzejszym świecie



## Inteligentne chmury w mądrzejszym świecie

Jak pogodzić oszczędność energii, konsolidację zasobów, bezpieczeństwo informacji oraz ich dostępność we właściwym czasie i miejscu?

Na szczęście rozwiązanie jest w zasięgu ręki. W ramach modelu zwanego „przetwarzaniem w chmurze” moc obliczeniowa, pamięci masowe i aplikacje są udostępniane jako usługi w sieci. Pozwala to na zapanowanie nad ciąglym przyrostem danych i stworzenie inteligentnego mechanizmu zarządzania systemami.

Dzięki współpracy z IBM, coraz więcej instytucji wykorzystuje model przetwarzania w chmurze do optymalizacji działania pod kątem określonych celów społeczno-ekonomicznych. Ponadto IBM udostępnia obszerną wiedzę, którą można z powodzeniem wykorzystać w tworzonych systemach technologicznych. A wszystko dzięki zbierającym się na horyzoncie inteligentnym chmurom...

Razem zbudujemy mądrzejszy świat.  
Dowiedz się więcej na:  
[ibm.com/swiat/pl/chmura](http://ibm.com/swiat/pl/chmura)



IBM, logo IBM, ibm.com są zarejestrowanymi znakami towarowymi lub znakami towarowymi International Business Machines Corporation w Stanach Zjednoczonych i/lub innych krajach. Aktualna lista znaków towarowych IBM dostępna jest na [www.ibm.com/legal/copytrade.shtml](http://www.ibm.com/legal/copytrade.shtml).  
© Copyright IBM Corporation 2011. Wszelkie prawa zastrzeżone.





# Błąd to błąd i kropka

Piloci Tu-154 nie zamierzali lądować na lotnisku Siewiernyj. Do katastrofy doszło, bo mieli trzy różne informacje i wszystkie trzy błędne, ale wzajemnie się potwierdzające. Major **MICHAŁ FISZER** o najbardziej prawdopodobnych przyczynach smoleńskiej tragedii

**Dlaczego tupolew się rozbił?**

- Przede wszystkim to było źle wybrane lotnisko.

**Przez kogo?**

- Dziś trudno do tego dojść.

**Zawsze lądowaliśmy na tym lotnisku.**

- I szczęśliwie zawsze trafiała nam się dobra pogoda. Mniej więcej pół roku przed katastrofą nastąpiła tam poważna zmiana. Siewiernyj opuścił pułk lotnictwa transportowego. To spowodowało zabranie z lotniska części sprzętu nawigacyjnego. Zostały tylko radiolatarnie, dalsza i bliższa, i radiolokator systemu lądowania. Moim zdaniem nieskalibrowany.

**Co to znaczy?**

- Kalibracja takiego radaru polega na tym, że po jego uruchomieniu przy dobrej pogodzie nad znanymi punktami terenowymi przelatuje specjalny samolot z odpowiednim wyposażeniem. Operator radiolokatora określa, czy ten samolot na jego wskaźniku jest w tym samym miejscu, w którym znajduje się w istocie. Jeżeli pojawiają się rozbieżności, operator radiolokatora wraz z technikiem regulują urządzenie.

**Jest pan pewien, że tego skalibrowania nie było?**

- Pewien nie jestem, ale daję do myślenia to, że do oblotu radiolokatora i jego sprawdzenia - wykonanego po katastrofie - Polacy w ogóle nie zostali dopuszczeni. Dodatkowo na ekranie radiolokatora naniesiono o mniej więcej pół stopnia zawyżoną ścieżkę schodzenia. Zamiast 2 stopni 40 minut było 3 stopnie 10 minut. W raporcie MAK stwierdza się, że mieści się to w granicach tolerancji, ale nie wzięto pod uwagę, iż operator prawdopodobnie błędnie odczytywał położenie samolotu względem ścieżki.

**Czyli że jeden błąd nakładał się na drugi?**

- No tak. A w ogóle to Polacy nie mają uprawnień do współpracy z radiolokatorami rosyjskimi i z rosyjskim operatorem, natomiast Rosjanie nie mają uprawnień do współpracy z załogą wyszkoloną według standardów ICAO i NATO. Inaczej mówiąc - obie grupy ludzi nie są ze sobą kompatybilne. W raporcie MAK zastosowano taki wybieg, że skoro nasza załoga nie poprosiła o współpracę radiolokatora, to oznacza, że ta załoga nie brała udziału w procesie naprowadzania samolotu, w związku z czym nie ma żadnego znaczenia, czy informacje z niej były prawdziwe, czy nie. Jest to rozumowanie naciągane, bo Il-76, który próbował lądować przed Tu-154, też o to nie prosił, a był naprowadzany.

**Rosjanie jednak byli u siebie i byli załogą wojskową. Chyba nie musieli prosić?**

- Musieli. Procedura jest jedna. Chociaż rzeczywiście prośbę o współpracę często się pomija, traktując ją jako pewną oczywistość. MAK jednak tego pretekstu się uczepił, chociaż gdyby obsługa radiolokatora uważała, że nie bierze udziału w lądowaniu, to siedziałaby cicho. Tymczasem oni rzadko, bo rzadko, ale jednak się do Tu-154 odzywali.

**No dobrze, to zostawmy już ziemię. Co się działo w powietrzu?**

- Podejrzewam, że załoga tupolewa popełniła wiele błędów w sztuce, które spowodowały, że nie miała pełnej świadomości sytuacji. Te błędy doprowadziły do, można powiedzieć, wstydlivej katastrofy, bo nazywanej „kontrolowanym zderzeniem z terenem”. Kontrolowanym w tym sensie, że samolot i wszystkie jego urządzenia są sprawne, a maszyna wbija się w ziemię.

**Jakie to były błędy?**

- Zaczniemy od tego, że moim zdaniem oni wcale nie chcieli lądować. Uważam, że chcieli zejść do wysokości, odejść na drugi krąg i zameldować prezydentowi, iż nie da się wylądować. O tym, że nie chcieli



*„Załoga tupolewa popełniła wiele błędów w sztuce, które spowodowały, że nie miała pełnej świadomości sytuacji. Te błędy doprowadziły do, można powiedzieć, wstydlivej katastrofy, bo nazywanej „kontrolowanym zderzeniem z terenem”*

MICHAŁ FISZER



→ lądować, świadczyłoby to, iż prawie do końca mieli włączony automatycznego pilota. Stąd też zapewne wzięto się zboczenie z kursu. Automat musiał mieć wprowadzone błędne współrzędne lotniska.

**Kto mógł wprowadzić błędne współrzędne?**

– Przed startem z Okęcia współrzędne tego lotniska przekazane nam przez Rosjan zostały wprowadzone do pamięci komputera. Z tym że załoga wiedziała, że nie jest w osi pasa, bo miała do dyspozycji wskazania radiolatarni...

**...ale było im to obojętne, bo mieli przecież odejść na drugi krąg.**

– Tak mi się wydaje. Z tego samego powodu nie utrzymywali odpowiedniej prędkości.

**Lecieli za szybko?**

– Jak na lądowanie zdecydowanie za szybko. Gdyby chcieli lądować, przejęliby ręczne sterowanie, nie podchodziliby z tak ciasnego kręgu, tylko z dużej odległości ustawiliby się precyzyjnie według radiokompasu na ścieżce, słuchając komend nawigatora, podjęliby zniżanie i starannie pilnowaliby prędkości, kursu, wysokości i tak dalej, żeby wyjść jak najbliżej pasa i w jego osi. Wtedy, nawet gdy zobaczy się pas w ostatniej chwili, to jest on na wprost i można na nim wylądować. Natomiast oni to zrobili z ciasnego kręgu, automat prowadził samolot, a oni jedynie regulowali kąt pochylecia maszyny, ale nie sterami, bo wtedy wylądowałoby to autopilota, tylko takim pokrętle na autopilocie. To jest dość niedokładny instrument, który mógł też spowodować szybsze zniżanie się tupolewa. O tym, że nie podchodzili do lądowania, świadczy także brak typowej w takich sytuacjach checklisty.

**Czyli całej serii komend.**

– Tak, komend dzielących obowiązki między członków załogi w kabinie podczas lądowania. Moim zdaniem piloci podeszli do tego tak: przelecimy, odejdzemy, powiemy, że się nie da, i przynajmniej nikt nie będzie miał pretensji, że nie próbowaliśmy.

**Czyli całej serii komend.**

– Tak, komend dzielących obowiązki między członków załogi w kabinie podczas lądowania. Moim zdaniem piloci podeszli do tego tak: przelecimy, odejdzemy, powiemy, że się nie da, i przynajmniej nikt nie będzie miał pretensji, że nie próbowaliśmy.

**W tym samym czasie kontrolerzy też oczekują, że piloci podejmą decyzję o odejściu, bo wtedy nikt im nie będzie zarzucał, iż nie pozwolili wylądować polskiej delegacji i polskiemu prezydentowi. Tyle że ani kontrolerzy, ani nasi piloci nie wiedzą, na jakiej wysokości znajduje się samolot.**

– Tak. Nawigator czytał wysokość z radiowysokościomierza, którego nie powinno się w tym momencie używać, bo on wskazuje wysokość do ziemi, a nie do początku pasa, a wiadomo, że ukształtowanie terenu pod samolotem może być różne. Zresztą było różne. Piloci rozmawiają o jarze, a nawigator, który miał wylatane 59 godzin na tego typu samolocie, chyba nie kojarzył, o czym mówią.

**W dodatku radiowysokościomierz jest wyzerowany, czyli pokazuje nieprawdziwe dane. Kto go przestawił?**

– Tego nie wiem. Prawdopodobnie było tak, że załoga chciała wyłączyć ostrzeżenie TAWS [Terrain Awareness and Warning System – system ostrzegania pilotów o zbliżającej się powierzchni gruntu – przyp. red.], które na takim nieoficjalnym i niewprowadzonym do komputera lotnisku zawsze alarmuje, tak naprawdę nikogo nie ostrzegając, ale trochę przeszkadzając. Według mnie ktoś z załogi nacisnął nie ten przycisk, tylko przycisk zerujący wysokościomierz do ciśnienia standardowego.

**Czyli do takiego, jakie powinno być, kiedy leci się wysoko?**

– Tak. W korytarzach powietrznych wszystkie samoloty mają identycznie ustawione wysokościomierze. Na 760 milimetrów słupka rtęci. Ale kiedy zbliżają się do lotniska, to muszą operować ciśnieniem panującym na tym lotnisku?

– Tak, ponieważ wtedy wysokościomierz musi mierzyć wysokość do poziomemu pasa startowego, nie może mierzyć do innego punktu. Ta wartość była zresztą prawidłowo podana z ziemi, tylko potem ktoś to wyzerował. Co to oznaczało dla kapitana?

– Kapitan miał przed oczami główny wysokościomierz baryczny, jest on, który może pokazywać wysokość i w metrach, i w stopach, w zależności od tego, jak jest przełączony. Pozostałe pokazyują wysokość tylko w stopach lub metrach. Po tym zerowaniu kapitan otrzymał informację, że lecą o jakieś 160 metrów wyżej niż w rzeczywistości.

**Skoro są znacznie niżej i rzeczywiście TAWS nie został wyłączony, to dlaczego przestał wyc?**

– TAWS milczy z tego samego powodu. To jest urządzenie, które przysyła z informacji tego samego wysokościomierza. Czyli mamy taką sytuację: pilot widzi na przyrządach, że leci nawet trochę wyżej, a melduje mu nawigator. Nawigator czyta faktyczną wysokość do ziemi, a wieża mówi, że są na ścieżce. Czyli wszystko im się zgadza – mają też

różne informacje i wszystkie te błędne, ale wzajemnie się potwierdzające. Kiedy nawigator czyta, że są na wysokości stu metrów, i kapitan pada komenda pierwszego pilota „odchodzimy”, a potem potwierdza to drugi pilot, to oni nie są tak naprawdę na stu metrach powyżej wysokości pasa startowego, jak sądzono, ale sto metrów nad jarem.

**Ale nie odchodzą.**

– Nie odchodzą, bo zamiast odejść ręcznie, czyli wyłączyć autopilota, zwiększyć obroty silników do maksymalnych, poczekać, aż wejdą na obroty, zaczną rosnać prędkość i ściągać wolant na siebie, i wtedy

– nawet z tej błędnie odczytywanej wysokości – ładnie i płynnie odejść na drugie zajście, to oni, mając świadomość tego, że są w automacie, najprawdopodobniej wciskają przycisk „uchod”. Tyle że nic się nie dzieje. Przez chwilę jest to normalne, bo zwykle autopilot przez moment przelicza sobie parametry lotu. Muszę zastrzec – próba odejścia w automacie to tylko moje podejrzenie, ale to chyba jedyne wytłumaczenie tej sytuacji.

**I dalej nic się nie dzieje.**

– Przypuszczalnie jeszcze raz nacisnęli ten przycisk. I w tym momencie jest już zdecydowanie za późno, ale pierwszy pilot łapie za ster, ściąga wolant, zrywa autopilota, chociaż nie ma jeszcze obrotów, samolot zadziera nos do góry, skrzydła tracą siłę nośną. Dopiero teraz kapitan pcha trzy manetki silników do przodu, silniki zaczynają nabierać obroty i... Jak sądzę, w tej samej chwili zobaczyli ziemię. Potem było to uderzenie w brzozę, utrata części skrzydła, obrót na plecy i koniec.

**To jest tylko hipoteza.**

– Tyle że bardzo prawdopodobna. Z tego, co wiem, eksperyment, który będzie robiony za pomocą drugiego Tu-154, ma potwierdzić, że na tym zakresie pracy autopilota funkcja „uchod” nie działa. W warunkach takich jak wtedy w Smoleńsku nie da się odejść w automacie, co –

mówią piloci znający ten samolot – wynika z instrukcji techniki pilotowania tej maszyny. Przy okazji może na taśmie rejestratora kabinowego znajdzie się ślad po tych kliknięciach. Mniej więcej wiadomo, jakiego dźwięku krakowscy specjaliści mają szukać.

**Pamięta pan katastrofę casy? Kiedy czyta się oba raporty – MAK i ten z wypadku casy – widać zaskakująco dużo zbieżności.**

– Ta katastrofa była gorsza, czyli bardziej kompromitująca. Załoga casy w ogóle nie patrzyła na przyrządy, tylko szukała wzrokiem ziemi. A tak nie wolno. W przypadku tupolewa doszło do serii zbiegów okoliczności. Był też brak koncentracji wynikający z tego, że oni wcale nie chcieli lądować. Było zawrzenie automatycznemu pilotowi, a przy pilotowaniu ręcznym pilot czuje samolot całym sobą – tak jest lepiej latać. No i był też brak doświadczenia i wyszkolenia, o czym najlepiej świadczy przypadkowe przestawienie wysokościomierza, i brak wiedzy o tym, jak działa funkcja „uchod” – jeśli ta wersja zdarzeń się potwierdzi.

**Te dwie katastrofy, zresztą niejedynie w ostatnich latach, wystawiają złe świadectwo polskiemu lotnictwu wojskowemu.**

– Tu też nie ma jednej przyczyny zła. Przede wszystkim nastąpiło zerwanie pokoleniowe, zwłaszcza w lotnictwie transportowym. Młodzi nie za bardzo więc mieli od kogo się uczyć.



Michał Fiszer

48 lat, major rezerwy, dziennikarz, ekspert wojskowy. Jako nastolatek latał na szybowcach w Aeroklubie Łódzkim, potem skończył dęblińską Wyższą Szkołę Oficerską Sił Powietrznych. Był pilotem myśliwców i samolotów szturmowych, między innymi w pułkach w Mirosławcu i w Świdwinie. Łącznie wylatał ponad tysiąc godzin.

Brał udział w misjach wojskowych w byłej Jugosławii, Iraku i Kuwejcie. Obecnie jest na emeryturze, pracuje jako dziennikarz i wykładowca w Collegium Civitas. W 2009 roku obronił doktorat w Akademii Obrony Narodowej. Jest jednym z popularniejszych ekspertów wojskowych występujących w mediach.

**Starsi odchodzili z powodu pieniędzy?**

– Nie tylko. W latach 90. był taki klimat, by ci, którzy na przykład kończyli studia podyplomowe na akademiach w Związku Radzieckim, jak najszybciej przekazali pałeczkę młodym. Stosowano wtedy różne metody zachęcania doświadczonych pilotów do odejścia, na przykład rzadziej ich awansowano. Ciągłe też pojawiały się pogłoski o niekorzystnych zmianach w ustawie emerytalnej, czasami zresztą nie były to tylko pogłoski. Przed każdą taką zmianą lub po każdej plotce o niej następowała fala odejść. Były miesiące, że z pułku takiego jak ten w Mińsku Mazowieckim w jednym czasie do cywila odchodziło siedmiu–ośmiu doświadczonych pilotów. To dlatego z prezydentem musiał latać pilot, który miał wylatane 3,5 tysiąca godzin, podczas gdy w liniach lotniczych wymaga się 5 tysięcy. W wielu krajach VIP-ów może przewozić tylko ktoś, kto ma około 10 tysięcy godzin za sterami i od 45 do 50 lat, a to dlatego, że taki człowiek ma więcej rozsądku, mniej ambicji, mniej ulega wpływom, naciskom, swoje już przeżył i nikomu nie chce zaimponować.

**Bez starszych kolegów nie da się dobrze wyszkolić pilotów?**

– Da się, ale tu też sporo się zmieniło. Stare surowe reżimy i system ciągłych egzaminów uznano za przeżytek poprzedniej epoki. Uznano, że pilot jest sam za siebie odpowiedzialny, sam musi się przygotować do lotu. Zresztą zachęcali nas do tego nasi zachodni partnerzy. Pamiętam, jak przyjechał do nas brytyjski marszałek lotnictwa, dowódca Royal Air Force, i w rozmowie z generałem Dziakiem powiedział, że za komuny to ci piloci byli ciągle pod presją, nieustannie ich kontrolowano, sprawdzano, nie zostawiano im swobody działania i że tak nie można, że w NATO działa się inaczej, pilot jest człowiekiem, który sam za siebie odpowiada, sam odpowiada za swoje przygotowanie, nie wolno go bez przerwy kontrolować.

**Ale jak ma ćwiczyć, jeżeli nie ma symulatorów?**

– A to jest kamyczek trochę do pańskiego ogródka i opinii publicznej. Jednym z działań podjętych po katastrofie casy, planowanym już wcześniej, ale wtedy przyspieszonym, był zakup lekkich samolotów transportowych Bryza. To są maszyny, które w znacznej mierze służą do szkolenia pilotów transportowych.

**Taka bryza rozbiła się na Wybrzeżu.**

– Tak, latała w barwach Marynarki Wojennej, czyli nie podlegała Siłom Powietrznym. Z drugiej strony to też ciekawa sprawa, że mamy różne rodzaje sił zbrojnych, czyli różne dowództwa, ale ten sam rodzaj lotnictwa, czyli lotnictwo transportowe, i wszędzie te same problemy. Ale wróć do kupna bryz. To miało być 12 samolotów, generał Andrzej Blasik (ówczesny dowódca Sił Powietrznych) uparł się, żeby miały naprawdę najlepsze wyposażenie, czyli takie, jakie znajduje się też w dużych samolotach transportowych. W ramach pakietu miał zostać zakupiony również symulator lotów, urządzenie trzykrotnie droższe od samego samolotu. Przez ostrą nagonkę medialną, w której wyciągano cenę, sugerowano możliwość korupcji, zamówienie zmniejszono do ośmiu maszyn, a z symulatora w ogóle zrezygnowano. I w Polsce nadal nie ma żadnego takiego urządzenia dla samolotów transportowych. Po Smoleńsku zapewne zostaną wydane zalecenia o szkoleniu na symulatorach, znowu jednak nikt nie da na to pieniędzy i znowu zdarzy się wypadek, i znowu ktoś powie, że nic nie zrobiono. I to jest to błędne koło właśnie.

**Słyszał pan opinie, że cała odpowiedzialność za katastrofę spada na stronę rosyjską?**

– Dla mnie to jest jakiś folklor, który nie ma żadnego znaczenia. Ocena faktów nie wynika z poglądów politycznych. Jeżeli ktoś popełnia błąd, to popełnia błąd i kropka.



# Witajcie w całkiem nowej epoce

Co zdarzy się jutro? Co określi nasz świat? Spróbujmy spojrzeć w szklaną kulę, by ujrzeć w niej 10 najważniejszych trendów właśnie rozpoczętej dekady

TEKST OLAF SZEWCZYK

ILUSTRACJE TOMASZ KARELUS/STUDIOILUSTRACJI.COM

Nie mamy złudzeń. Każdy, nawet najbardziej ceniony futurolog strzela kulą w plot. Bywa, że częściej, niż trafia. Toffler, Fukuyama, Huntington i Barber wygłaszali prorocтва, które dziś – w czasach, których dotyczyły – brzmią jak dowcip lub zapis majaczeń w malignie. Świat jest równaniem o zbyt wielu zmiennych, by dał się precyzyjnie przewidzieć. Co więcej, tempo przemian jest coraz szybsze, w ciągu najbliższej dekady wydarzy się więcej niż w minionej. To dodatkowo utrudnia prognozy.

Pewne kierunki dryfu cywilizacji – bo przecież nie kursu, ten okręt nie ma już żadnych sterników – wydają się jednak bardziej prawdopodobne niż inne. Zaryzykujemy zatem i my tę zabawę. Spróbujmy nakreślić mapę istotnych prądów i przełomowych zdarzeń obecnej, dopiero co narodzonej dekady. Takich, które zmieniają nasze życie od razu, jak i tych, które w najbliższych latach prawdopodobnie ledwie zakiełkują, ale w dalszej przyszłości wstrząsną w posadach światem. Jako że współczesna kultura tworzy jak nigdy wcześniej system naczyń połączonych, najważniejsze według „Przekroju” przyszłe nurty i zjawiska z zasady nie będą wobec siebie osobne. Przewidujemy, że połączą je wzajemne zależności.

Charakterystyczna cecha naszych czasów: niemal każda istotna zmiana cywilizacyjna ma korzenie w naukowym odkryciu, w rewolucyjnej technologii. Politycy, przywódcy religijni, filozofowie, charyzmatyczni artyści nie dysponują dziś taką mocą sprawczą jak kiedyś. Tak jak każdy z nas płynie z nurtem historii, rwącym jak nigdy dotąd. Od czasów rewolucji przemysłowej coraz wyraźniej widać, że to w laboratoriach, a nie w parlamentach wykuwa się jutro. Telefonii komórkowej i Internet zmieniały nasze życie bardziej niż jakakolwiek idea zrodzona na przełomie wieków, bardziej niż jakakolwiek decyzja polityczna. A to dopiero prelude nadchodzących przemian, które dokumentnie odmienią oblicze świata.

Spróbujmy zatem zerknąć, co się czai tuż za horyzontem.

## Rasizm i segregacja kastowa

Jeszcze wczoraj wierzyliśmy w hasła Ery Wodnika przefiltrowane przez mocniej od hipisów stąpających po ziemi ideologów liberalizmu: te o równości i coraz powszechniejszym dostępie do wszelkich dóbr. Owe benefity miały być naturalnym wynikiem postępu. Wiemy



już, że to mrzonka; rozwarstwienie społeczne związane z kumulacją kapitału jest coraz większe, ekonomiści nie widzą szans na zatrzymanie tego trendu. Prawdziwy koszmar jednak dopiero nas czeka. Zafunduje go nam genetyka.

10 lat temu opracowaliśmy mapę ludzkiego genomu – na tym jednak nie koniec. Od 2008 roku trwają prace w ramach inicjatywy The 1000 Genomes Project, której celem jest klasyfikacja wszystkich wariacji ludzkiego DNA. Zidentyfikowaliśmy ich dotąd około 10 milionów, przed nami prawdopodobnie 60 milionów kolejnych. Zrozumienie różnic jest kluczowe, by móc pokonać wiele chorób, wobec których dziś jesteśmy bezradni. Szczyt myślenia – coż w tym złego?

Zgoda, początki będą niewinne. Lekkie korekty tu i tam, by zmniejszyć ryzyko raka, zapobiec genetycznie uwarunkowanym ułomnościom i schorzeniom. Ale potem zaczniemy niepszać – bo jak tu się oprzeć pokusie? – co się da. Inteligencję, odporność, wytrzymałość, predyspozycje do długowieczności. Upiór eugeniki wyjdzie z szafy i już do niej nie wróci, bo lepiej urodzeni w trosce o potomstwo będą szukać megalomani. Medycyna ekstremalna jest tania, tylko najbogatszy stać na autokorekty i udoskonalonych potomków. I nie ma sensu się łudzić, że dla całej reszty oznacza to co najwyżej kolejny powód do zazdrości, jak wakacje na Bermudach. Ponieważ skala jest zawsze ruchoma, wobec tych genetycznie poprawionych my, bardziej normalni, będziemy się rzeczy gorsi. Jak Morloki wobec Ełłów z wizji przyszłości Herberta G. Wellsa. Różnice, najpierw niewielkie, stopniowo będą się rozrastać. Segregacja społeczna – po raz pierwszy w historii rasizmu – zostanie wyłuszczone z rzeczywistości przewagami biologicznymi i lepiej urodzonych.

Podstawowy biologiczny imperatyw każdego zwierzęcia, a zatem i człowieka – zapewnić swoim genom największe szanse na przetrwanie – nie stał dotąd w historycznej sprzeczności z etyką. Przeciwnie: przyzwoitość dawała szansę na zezbranie korzyści z rozgrywania społecznych gier o sumie niezerowej (ja dziś nakarmię głodnego Iksa, jutro może Iks w rewanżu nakarmi głodnego mnie – odnosząc się do siebie życzliwie, zwiększamy swoje szanse na przeżycie). Pieniądz, choć coraz ważniejszy nie był decydujący. Bogacz mógł odejść z tego świata wcześniej od biedaka lub przeczekać czasach, gdy będzie można kupić gwarancję zdrowia, talentów i długowieczności

dla siebie, a zwłaszcza dla dziecka, kurs etyki wobec pieniądza może ulec istotnej zmianie. Pieniądz, za który kupimy wyhodowaną w laboratorium nową wątrobę lub dokonamy retuszu genów, niestety zyska na znaczeniu. Przyzwoitość straci jako inwestycja o mniejszych szansach na wymierny profit.

## Renesans religii, zmierzch Kościołów

Wzrost poziomu życia, post-oświeceniowa wiara w postęp jako drogę do doczesnego raję była główną przyczyną sekularyzacji społeczeństw krajów rozwiniętych. Gdy pryśnie ten mit i stanie się jasne, że większość z nas jest skazana na relatywnie krótki i podły żywot Morloków, poza arkadią Ełłów, powrócą stare lęki. Najbardziej zaboli poczucie winy, że nie byliśmy w stanie zapewnić dzieciom równych szans – nasze ubóstwo przesądzi w stopniu większym niż kiedykolwiek w historii o ich dożywotnie gorszej pozycji. A gdy na tym świecie brakuje nadziei, pozostaje tylko wiara w nagrodę po śmierci. Renesans religii nie oznaczać będzie jednak renesansu instytucjonalnych Kościołów. Hierarchiczne, skompromitowane licznymi skandalami, proponujące rozdetą formę bez treści są relikwami minionego świata. Nie będzie do nich powrotów. Rozkwitną natomiast małe wspólnoty wiernych szukające sacrum bez pośrednictwa kapłana, gwarantujące poczucie bliskości i przynależności – towary coraz bardziej deficytowe w coraz bardziej bezwzględny świat. W Europie to już się tli, w najbliższych latach zyska rangę powszechnego trendu.

## Racjonalny wegetarianizm

Dwa tygodnie temu w tekście „Zwierzę też człowiek” przewidywaliśmy, że w nadchodzącej przyszłości prawa zwierząt – dziś traktowanych nie jak istoty odczuwające strach, cierpienie i współczucie, ale jak surowiec – zaczną być wreszcie bardziej respektowane. Jednak nie to nawet okaże się głównym powodem coraz

powszechniejszej rezygnacji z jedzenia mięsa, ale przymus ekologiczny i ekonomiczny. Na wyprodukowanie kilograma mięsa trzeba zużyć od kilkudziesięciu do stu razy więcej wody niż na wyprodukowanie kilograma żywności roślinnej o wysokiej wartości odżywczej (zboża, strączkowce), a woda pitna wyrosta przecież na najbardziej deficytowy towar przyszłości. Większe w przypadku hodowli – w porównaniu z uprawą – jest także zużycie energii i zanieczyszczenie środowiska (odchody). Co gorsza, karczowanie lasów pod pastwiska jest jedną z głównych przyczyn wymierania licznych gatunków roślin i zwierząt. A to grozi rozregulowaniem całego ziemskiego ekosystemu i ostatecznie zagładą także naszej rasy.

Niewykluczone, że z czasem opakujemy technologię taniej laboratoryjnej produkcji tkanki mięsnej do celów spożywczych, ale odwrót od skrajnie niewydajnej tradycyjnej hodowli zwierząt rzeźnych wydaje się przesądzony.

## Energia Słońca zmienia świat

Odejście od paliw kopalnych jest nieuchronne i nastąpi jeszcze przed wyczerpaniem się ostatnich złóż. Nie mamy wyjścia – musimy powstrzymać efekt cieplarniany, inaczej wyginieemy. Coraz wydajniejsze i tańsze ogniwa słoneczne dają nadzieję, że wreszcie zaspokoimy lwią część zapotrzebowania na energię dzięki hojności naszej gwiazdy. Co ważne, najbardziej nasłonecznione i jeszcze niezagospodarowane tereny, optymalne lokalizacje planowanych słonecznych farm – pustynie, sawanny – znajdują się z reguły w ubogich rejonach świata.

Dla Afryki perspektywa pozyskiwania taniej energii i profitów z jej transferów do Europy oznacza przede wszystkim szansę na przetrwanie, w przyszłości zaś na głębokie zmiany na każdym polu. A przecież nie tylko elektrownie słoneczne są w planach. W ubiegłym roku rząd USA wyasygnował 122 miliony dolarów na kalifornijski ośrodek badawczy Joint Center for Artificial Photosynthesis. Jak sama nazwa wskazuje, jego celem jest →





→ opracowanie technologii sztucznej fotosyntezy. Ideą jest zamienianie energii słonecznej w inne, łatwe do przechowywania formy. Na przykład rozbijanie dwutlenku węgla i wody na cząsteczki.

Wyobraźmy sobie, jak dysponowanie opisanymi powyżej technologiami mogłoby zmienić Afrykę Północną. Byłby to dlań pierwszy tak istotny impuls ekonomiczny od czasu boomeru naftowego, a przy tym bezprecedensowo egalitarny, bo dotyczący także krajów pozbawionych roponośnych terenów. Poprawienie sytuacji ekonomicznej i wzrost prestiżu najpewniej osłabiłyby antyeuropejskie i antyamerykańskie resentymy oraz radykalizmy religijne i polityczne w tym rejonie. W efekcie opadłaby fala emigracji ekonomicznej z ubogiego Południa do krajów bogatej Północy, a islam zyskałby podobną szansę na otrząśnięcie się z fundamentalizmu, z jakiej wieki temu skorzystało chrześcijaństwo w Europie. Im bardziej rośnie stopa życia i zadowolenie z doczesnego żywota, tym mniej do gadania mają fanatycy.

## Triumf totalitarnych Chin, czyli zmierzch idei greckiej demokracji

W Amerykanach i Europejczykach narasta dziś lęk przed rosnącą potęgą ekonomiczną Chin. I słusznie. Ale nie tego powinniśmy się obawiać najbardziej. Jeszcze gorsze jest to, że Chiny udowodniły właśnie pełną symbiozę totalitaryzmu i ofensywnego, konkurencyjnego kapitalizmu. Do niedawna na Zachodzie uważano, że od pewnego momentu kontynuacja wzrostu gospodarczego możliwa jest tylko w warunkach liberalnej demokracji. „Zamordyzm” bowiem jakoby nie sprzyja inwencji twórczej kwitnącej najbujniej w kulturze respektującej prawo jednostki do samostanowienia – przykładem wyrosła na gruncie mentalności hipisowskiej słynna Dolina Krzemowa, kuźnia technologii komputerowych. Już dziś jednak widać, że efekt progu Doliny Krzemowej, który w USA prorokowano Chinom z wiarą i nadzieją w głosie, najprawdopodobniej w Państwie Środka nie nastąpi. Chiny, wykupując osłabione kryzysem światowe koncerny, jak Volvo, przede wszystkim nabywają nowoczesne technologie. Prawdopodobnie odnoszą duże korzyści ze szpiegostwa przemysłowego. *Last but*

*not least* coraz więcej Chińczyków zdobywa dyplomy prestiżowych zachodnich uczelni, wybitni światowi specjaliści przyjmują intratne posady w laboratoriach i uczelniach Państwa Środka, rośnie liczba patentów zgłaszanych przez obywateli tego kraju.

Co gorsza, większa kontrola klasy rządzącej nad społeczeństwem, umożliwiająca nierespektowanie praw pracowniczych, zdaje się wręcz sprzyjać chińskiemu przemysłowi. Pomaga obniżyć koszty, a to oznacza większą konkurencyjność na światowym rynku.

Wyrastająca z tradycji greckiej demokracji, przychylna przywilejom pracowniczym kultura euroamerykańska chyli się ku upadkowi. Bezrobocie rośnie, umacnia się pozycja pracodawcy. To wszystko nie wróży dobrze zatrudnionym. Zdesperowani presją ze strony chińskiej konkurencji, a poniekąd skuszeni tamtejszym przykładem właściciele firm gdzie tylko mogą, dokręcają śrubę personelowi. Grozi nam ogólnoswiatowy dryf w stronę iście orwellowskiej dystopii: uwiad demokracji i idei liberalnych z autonomią jednostki na czele.

## Starcie imperiów kulturowych

Tak jak większość państw świata jesteśmy daleką prowincją imperium amerykańskiej popkultury. Jest to wpływ tak głęboki i trwały, że niemal go nie zauważamy. A przecież wychowaliśmy się na hollywoodzkich westernach, słuchaliśmy Gershwin, Doorsów i Madonny, czytaliśmy Twaina i Hemingwaya. Siła, z jaką kultura USA promieniowała przez lata na świat – na szczęście dla nas wywodząca się z Europy – zależała w istotnej mierze od militarnej i ekonomicznej pozycji tego państwa. Słabnąca w oczach Ameryka przy rosnącej pozycji Chin oznaczać musi zmianę stre-



fy wpływów. Po części jest to widoczne. Najbardziej, co naturalne, w państwach przylegających do granic Państwa Środka krajów Azji, jak wykupywanie i dzierżawiona na północnym i wschodnim wybrzeżu Birma. Głęboko w chińskiej sferze wpływu jest nawet odległa Australia. Ale już i w Europie, powoli pada zależność od obcych inwestycji. Australia. Ale już i w Europie, powoli pada zależność od obcych inwestycji.

Rosja jest dziś słaba zarówno militarnie, jak i gospodarczo, a malejące znaczenie ropy naftowej w światowej ekonomii osłabi ją jeszcze bardziej. Największym dramatem tego kraju jest ujemny przyrost naturalny, za który obwinia się głównie alkoholizm i aborcje. Jeszcze w 1995 roku populacja Rosji liczyła 148 milionów obywateli. Dziś ta liczba wynosi 142 miliony. To tak, jakby w ciągu półtora dekad z mapy Rosji zniknęła metropolia większa niż Petersburg (4,6 miliona mieszkańców). Jeśli utrzymają się obecne tendencje demograficzne, według prognoz ONZ w roku 2050 populacja Rosji może spaść do poziomu 89 milionów. A najszybciej wydłubają się właśnie tereny azjatyckie, na które z kolei chętnie emigrują obywatele Państwa Środka. Według nieoficjalnych danych w Rosji żyje już, głównie na ziemach przygranicznych, około 10 milionów Chińczyków. Kibicujmy Rosji. Nasi bracia Słowianie nie trzymają się mocno.

## Jajko szuka nowego koszyka

Nieco poza sceną, w cieniu, trwa wyścig o podobój kosmosu – i ta dekada przyniesie rozstrzygnięcie. To pierwsza taka rywalizacja od czasu zmagania Amerykanów z Rosjanami pod wodzą Siergieja Korolowa ukoronowanych i zamkniętych na lata programem „Apollo”. Dziś ścigają się głównie potęgi Azji – Chiny i Indie, sweje ambicje ma jednak także Japonia. Celem jest zarówno prestiż, jakże przydatny w prowadzeniu polityki zagranicznej (lata ekspansji ZSRR i USA pokrywały się z latami spektakularnych sukcesów tych krajów w kosmosie), jak i korzyści z eksploatacji złóż pozaziemskich. Księężyc to bogate źródło superwydajnego paliwa przyszłości: izotopu hel-3, a także rzadkich na Ziemi pierwiastków niezbędnych w nowoczesnym przemyśle elektronicznym. Od kiedy we wrześniu 2009 roku indyjski satelita Chandrayan-1 odkrył na powierzchni Księżyca wodę, znów poważnie za-

wykonawcami? Czy chińska tradycja wpływa nie na świat mody odzieżowej, czego pierwszym zwiastunem był strój Neo w „Matrixie”? Niewykluczone.

## Polubimy Rosję

Wzrost znaczenia Chin i nasz rosnący wobec nich respekt podszyty realnym lękiem o przyszłość pozycji Starego Kontynentu sprawiają, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej związane z Rosją trudną historią zmieniają swój stosunek do niej. Przestaniemy postrzegać wschodniego niedźwiedzia jako potencjalnego agresora o imperialnych ambicjach. Dostrzeżemy, że jest strefą buforową między Europą a azjatyckim smokiem. Krajem osadzonym



często rozważać szansę założenia tam stałej bazy.

Głównym hamulcem jest trudność w oderwaniu się od Ziemi. Stymulowany przez rząd USA i NASA rozwój prywatnych firm planujących wyniesienie człowieka na orbitę daje nadzieję na istotne obniżenie kosztów takich eskapad. Niektórzy liczą też na badania podjęte w 2008 roku przez Japońskie Stowarzyszenie Winda Kosmicznej. Idea takiego transportu wywodzi się jeszcze z myśli rosyjskiego naukowca polskiego pochodzenia Konstantego Ciolkowskiego żyjącego na przełomie XIX i XX wieku. Winda wykorzystywałaby lekką, wytrzymałą i elastyczną linę biegnącą z Ziemi ku niebu z przeciwwagą zawieszoną na drugim końcu.

Jak powiedział profesor Stephen Hawking podczas jubileuszu 50-lecia NASA, to już najwyższy czas, by pomyśleć o kolonizacji kosmosu. Trzymanie wszystkich jajek w jednym koszyku, zwłaszcza zagrożonym różnorodnymi kataklizmami, nie jest dobrym pomysłem.

## Nakładka na rzeczywistość

Internet dzięki szybkości transferu danych w już raczkującej technologii komórkowej 4G i kolejnych, które ją zastąpią, stanie się wszechobecny. I wystarczająco wydajny, by statyczne plansze uzupełniać bez czkawki ruchomymi obrazami (wideorozmowy, telewizja w komórce, filmy HD oglądane na bieżąco, bez potrzeby uprzedniego pobierania danych). Dostęp do informacji nie będzie już problemem. Kolejny etap to sposób ich prezentacji – dane, które są nam przydatne, będziemy otrzymywać automatycznie lub natychmiast po ich zażądaniu. Pierwsze jaskółki rozszerzonej rzeczywistości (Augmented Reality) już dziś szybują po ekranach smartfonów: zarówno iPhone'ów, jak i telefonów z systemem operacyjnym Android. Pora na obiad, a my pierwszy raz gościmy w obcym mieście? Kierujemy kamerą aparatu

w głąb ulicy i już po chwili widzimy na tle budynków „dymki” z informacjami, gdzie mieści się knajpka, co w niej serwują, co poleca szef kuchni, jaką dziś kusi promocją, co sądzą o poziomie obsługi jej bywalcy. Którędy do metra? Strzałka wskaże drogę. W której księgarni kupimy „Buszującego w zbożu”, bo akurat przypiliło? Czerwony filar światła nad dachami oznaczy bez pudła najbliższą lokalizację.

Wyciąganie z kieszeni smartfona lub tabletu to przejściowa niewygodność. W planach są okulary, a w dalszej przyszłości szkła kontaktowe wyświetlające nakładkę AR widoczną tylko dla nas, z menu obsługiwanym ruchami żrenicy (tę technologię wykorzystuje już dziś armia w hełmach pilotów bojowych). Rzecz jasna, z furtką do sieci WWW i serwisów społecznościowych, abyśmy mogli zawsze trzymać rękę na pulsie.

## Na progu Osobliwości

Według wynalazcy i futurologa Raymonda Kurzweila nasza cywilizacja zbliża się do punktu przełomu zwanego za Vernonem Vinge'em Technologiczną Osobliwością (Technological Singularity) lub po prostu Osobliwością. Od tego momentu rozwój stymulowany sztuczną inteligencją, skuteczniejszą od ludzkiej i nieustannie samodoskonalącą się, niebawem przyspieszy. Ma to nastąpić jeszcze w tym półwieczu, ale pierwsze oznaki zbliżającej się Osobliwości zdaniem Kurzweila można już zaobserwować: tempo zmian, wprowadzanie kolejnych odmieniających nasze życie technologii z każdą dekadą jest coraz szybsze. Kolejnym oprócz narodzin cyfrowego umysłu wyznacznikiem Osobliwości jest szeroko pojmowany transhumanizm – porzucenie obowiązującej dotąd definicji człowieczeństwa odwołującej się do wyróżników biologicznych. Do transhumanizmu możemy zaliczyć przewidywane próby genetycznego ulepszania człowieka, a także cyborgizację, czyli integrację człowieka z maszyną – po to, by zwiększyć jego możliwości fizyczne lub umysłowe. Wśród licznych koncepcji kształtowania postczłowieka wymienia się też chemiczne modulowanie pracy mózgu (stymulowanie inteligencji, zdolności do zapamiętywania i tak dalej), a nawet radykalną zmianę jego biologii, aby na przykład umożliwić życie w oceanach.

Cokolwiek z tego się wydarzy, trudno będzie mówić o wyręczeniu ewolucji – tak głębokie ingerencje oznaczają de facto narodziny nowego gatunku.



# Lady GaGa światowej nauki

**HANS ROSLING**

przypomina mola książkowego, ale to pozory. Jeśli nie porwie was swoimi pasjonującymi analizami statystycznymi, zdejmie koszulę i połknie miecz

**MILENA RACHID CHEHAB**

**H**ans Rosling nie zdawał sobie sprawy z ogromu swojej popularności, dopóki w grudniowych rankingach oglądalności na YouTube nie przegonił Lady GaGi. Było to tym bardziej niezrozumiałe, że filmy, które obaliły królową popu, poświęcone są... analizie statystycznej. Fakt, niepozorny 62-letni Szwed dysponuje tajną bronią – niezwykle talentem do spektakularnych wystąpień. A w dodatku przekazuje informacje, które zaskakują wszystkich.

## Hans na tropach konzo

Jego historia zaczęła się od wielkiego zdziwienia. To było dawno, dawno temu, jeszcze w 1972 roku, kiedy jako 24-letni student medycyny postanowił zrobić sobie przerwę w nauce i przez rok jeździł po świecie autostopem. Przy tej okazji zupełnie przypadkiem odkrył, że podział na kraje rozwinięte i Trzeci Świat to fikcja. – Trafiłem na studia medyczne w Bangalurze. W Uppsali byłem jednym z najlepszych, a tu się okazało, że jestem głupi. Hinduscy studenci mieli dużo większą wiedzę ode mnie. Na początku myślałem, że to nie fair – przecież oni są z biednego kraju, jak to więc możliwe, że ich nauka stoi na wyższym poziomie? Potem zrozumiałem, że świata nie można dzielić tak prosto – opowiada „Przekrojowi” profesor Rosling. – Podział to kwestia stereotypów, a nie faktów.

Widocznie jednak Rosling taki głupi nie był, bo nie minęło 10 lat, jak na dobre zapewnił sobie miejsce w historii medycyny. Pracował wtedy z żoną Agnetą w Mozambiku. Miejsce ludność nagle, z niewiadomych przyczyn zaczęła zapadać na chorobę tropikalną zwaną



Szwed w krainie bąbelków, czyli Hans Rosling podczas jednej ze swoich demograficznych prezentacji

konzo objawiającą się paraliżem kończyn. Badania tej przypadłości zajęły państwu Roslingom kilkanaście lat, a ich wynikiem było odkrycie, że masowemu występowaniu konzo winna była klęska głodu spowodowana suszą – ludzie jedli niewystarczająco dojrzały maniok, który w takiej postaci zawiera duże ilości cyjanku powodującego paraliż.

Gdy Hans Rosling bronił pracy doktorskiej opartej na swoim afrykańskim odkryciu, w jego życiu zaszła jeszcze jedna ważna zmiana – otóż pewien pacjent nauczył go trudnej sztuki polykania mieczy. Wbrew pozorom ta umiejętność może być bardzo przydatna w życiu współczesnego naukowca.

Ale po kolei. Gdy Rosling wrócił z Afryki do Szwecji, był już znanym ekspertem międzynarodowych instytucji, takich jak Światowa Organizacja Zdrowia czy UNICEF, i wspólnie z twórcą szwedzkiego oddziału Lekarzy bez Granic. Zyskał sławę jako charyzmatyczny wykładowca uniwersytecki. Prowadził bardzo popularne wśród studentów wykłady ze zdrowia publicznego, podczas których dawał próbkę tego, co później pojawiło się w popularnych na YouTube filmach. Dość szybko stał własną katedrą w prestiżowym Instytucie Karolinska. Napisał też ważny podręcznik „Zdrowie globalne”, w którym na prawo i lewo posiłkował się statystykami (co potem stało się

jego znakiem rozpoznawczym). W branży był już kimś, ale poza medycznym światkiem nadal mało kto o nim słyszał. To był pierwszy raz, gdy był bardziej znany od Lady GaGi – głównie dlatego, że późniejsza piosenkarka miała wówczas problemy nawet z byciem rozpoznawalną w swojej podstawówce. Jednak prawdziwa sława dopiero miała nadejść.

– Najpierw byłem głupi i powiedziałem „nie”, bo nie chciałem brać udziału w czymś tak komercyjnym. Potem jeszcze raz zarzekłem się, że „nie i nie”, aż w końcu zmądrzałem. – Rosling wspomina spotkanie w 2006 roku z June Cohen, współorganizatorką kulturowej konferencji TED (skrót od Technology, Entertainment, Design), na której ciekawi ludzie prezentują swoje jeszcze ciekawsze pomysły. Szwedzki naukowiec nazywa TED „połączeniem forum w Davos z Hollywood”. W końcu przyjął zaproszenie, a filmy z jego wystąpienia zaczęły krążyć po sieci. Zachwycał się nimi wszyscy – od przedstawicieli świata nauki i show-biznesu po Billa Gatesa, który uznał Roslinga za najlepszego mówcę świata.

## Nieosiągalne jest możliwe

Co takiego zaprezentował Rosling podczas TED? Zaczął od prezentacji wyników badania, które przeprowadził na zajęciach ze studentami, a później powtórzył wśród profesorów medycyny z Instytutu Karolinska.

Oto zestawiał pięć par państw i poprosił badanych, by wskazali, w którym kraju z każdej pary występuje wyższa śmiertelność dzieci – wskaźnik nieźle oddający ogólny poziom rozwoju państwa. Owe pary to Pakistan-Wietnam, Sri Lanka-Turcja, Polska-Korea Południowa, Malezja-Rosja i Tajlandia-RPA. By nie utrudniać zadania, kraje dobrał tak, by śmiertelność w jednym była co najmniej dwukrotnie wyższa niż w drugim.

Rezultat badania był dość zatrważający – studenci uzyskali średni wynik 1,8 punktu na 5 możliwych. Zdaniem Roslinga to wina polegania nie na wiedzy, lecz na ogólnie przyjętych stereotypach myślowych. – Zdałem sobie wtedy sprawę, że moi studenci, choć uczą się na prestiżowej uczelni, wiedzą o świecie znacznie mniej niż szympansy. Gdyby bowiem dać im do wyboru dwa banany symbolizujące dwa kraje z każdej pary, to wybierając je zupełnie losowo, małpy udzieliłyby poprawnych odpowiedzi w połowie przypadków! Aż głupio to przyznać, ale profesorowie przyznający Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny uzyskali w moim badaniu wynik tylko minimalnie lepszy od szympansov – uśmiechnął się szwedzki naukowiec.

Dalszy ciąg TED-owej prezentacji to wielki wynalazek Roslinga – Trendalyzer, program do prezentacji danych statystycznych, który opracował wraz z synem. System przetwarza trudne do zrozumienia liczby na atrakcyjną postać diagramów przypominających pęcherzyki umieszczone na klasycznych osiach typowych wykresów. Nietypowe w Trendalyzerze jest to, że „pęcherzyki” puchną i maleją oraz przesuwają się jednocześnie po całym wykresie, obrazując zmiany zachodzące w czasie. Gdy więc Rosling analizuje, jak ma się średnia długość życia do dochodów na przestrzeni 50 lat, to w Trendalyzerze widać wyraźnie, że kraje azjatyckie i afrykańskie stopniowo dryfują (niczym bąbelki w napoju gazowanym) w kierunku euro-amerykańskiego modelu długowiecznej rodziny z małą liczbą dzieci. Na takim ruchomym wykresie widać wyraźnie zmiany w polityce rodzinnej Chin czy konsekwencje pojawienia się HIV w latach 80.

– Gdy w mediach analizowane są dane statystyczne, rzadko porównuje się je na tak dużej przestrzeni czasu, bo to mało atrakcyjne: media wolą na przykład powiedzieć, że w Polsce w ostatnich miesiącach wzrosła inflacja, niż ogłosić, iż w ciągu ostatniego 20-lecia poprawiło się wam kolosalnie. A przecież patrzenie z większego dystansu daje dużo szersze pole widzenia – podkreśla Rosling.

Posiłkując się wynikami dotyczącymi poziomu zdrowia czy liczby zgonów dzieci, udo-

**Hans Rosling jasno wykazał, że profesorowie przyznający Nagrodę Nobla wiedzą o świecie tylko niewiele więcej niż szympansy**

wadnia na przykład, że jego szwedzka prababcia żyła na takim poziomie jak dziś mieszkańcy Sierra Leone. Gdy rodziła się prababcia, Szwecja była Mozambikiem, a czasów babci – Ghaną, za czasów mamy – Egiptem, a w roku urodzenia Roslinga jego kraj był na podobnym poziomie co teraz Meksyk.

Rosling nie uważa jednak, że patrzy na świat przez różowe okulary. – To nieprawda, że jestem bezkrytycznym optymistą, jak niektórzy mi zarzucają. Zdam sobie sprawę, jak wielu ludzi umiera z powodu głodu czy łądowych do wyleczenia chorób. Chodzi mi o to, że wiarygodne dane statystyczne nie mówią, iż ze światem jest wszystko w porządku, tylko

że kiedyś było gorzej. Na przykład Afryka, czego nie widać na pierwszy rzut oka, zrobiła ogromny postęp. Przecież jeszcze dwa pokolenia temu żyło się tam jak w średniowieczu, a poziom, który Europa osiągnęła po kilkuset latach w XIX wieku, tam osiągnięto w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. Nie można tego nie dostrzegać – podkreśla profesor Rosling.

Pierwsza prezentacja Trendalyzera podczas TED zrobiła takie wrażenie, że program z miejsca kupił za grube miliony Larry Page, współzałożyciel Google'a. Grubość milionów pozostaje tajemnicą, ale Rosling z synem i synową zdołali za nie założyć i przez lata utrzymywać fundację Gapminder zajmującą się zbieraniem i analizą danych statystycznych.

Występ Szweda tak się podobał, że organizatorzy konferencji TED zaprosili go jeszcze trzykrotnie. Ale Hans Rosling nie ma złudzeń, że jego wykłady, choć istotne z punktu widzenia nauki, nie zrobiłyby takiej furory, gdyby nie sposób, w jaki są wygłaszane. Zachwycceni fani piszą często do profesora, że połączył to, co najbardziej kochają, z tym, czego nienawidzą, czyli *stand-up comedy* i statystykę. Wystarczy na minutę włączyć film z wykładem, na którym naukowiec niemal tańczy ze statystycznymi bąbelkami, by przekonać się, co mają na myśli. Żeby widowisko się dopełniło, trzeba doczekać do ostatnich sekund. Pod koniec jednego z 18-minutowych wykładów profesor Rosling postanawia udowodnić, że „nieosiągalne jest możliwe” – rozpina więc kraciatą koszulę, spod której wylania się gustowny czarny podkoszulek bez rękawów ozdobiony cekinami. Kilkusetosobowa sala zanosi się od śmiechu, gdy prowadzący rzuca: „Poproszę mój miecz”. Wtedy zapada cisza. Rosling powoli polyka miecz, po czym wyjmując go i z wdziękiem wraca do puenty o światowym ubóstwie.

– Zawsze chciałem być aktorem, ale niestety nie miałem za grosz talentu. Umiem zagrać tylko siebie – wyznaje Szwed, który nie ustaje w wysiłkach, żeby nie tylko popularyzować „wiedzę opartą na faktach”, ale i rozwijać Gapmindera. Ponieważ narzędzie to wymaga ciągłego karmienia danymi statystycznymi, naukowiec chce wokół niego stworzyć ruch podobny do tego, który napędza Wikipedię. Wie, że aby tego dokonać, w oprawie artystycznej musi wkładać przynajmniej tyle wysiłku, ile w kwestii merytorycznej. Na razie idzie mu nieźle. Jego wielbicielom możemy zdradzić, że wkrótce Rosling superstar ubogaci kolejną pogadankę o problemach demograficznych, zionąc ogniem. Podobno „polykanie mieczy to przy tym naprawdę łatwizna”.



# Czas ukryty pod lodem



Za chwilę, za kilka dni otworzymy niezwykłą przesłankę z przeszłości. To tak, jakby w bursztynie znaleźć żywego owada

OLAF SZEWCZYK

To jedna z najbardziej fascynujących podróży w czasie, w jakie kiedykolwiek wyruszyliśmy. Być może nawet ta „naj”. Gdy oglądamy sensacyjne zdjęcia rekordowo odległych gwiazd po raz pierwszy dostrzeżonych okiem teleskopu – owszem, czujemy czasem dreszcze. Ze względu na ograniczoną prędkość światła i bezmiar przestrzeni, którą musi ono przebyć, by wreszcie spocząć na źrenicy kamery, są te fotografie niczym innym jak obrazami zamierzczonej przeszłości. Ale to obcy nam świat, abstrakcyjnie daleki. Nie możemy go dotknąć inaczej niż myślą i wzrokiem, nie wprawia serca w synkopowany rytm.

Co innego trwająca właśnie ekspedycja do znajdującego się na Ziemi jeziora sprzed 14 milionów lat, zamrożonego pod lodem i w czasie. To nie mgliste widmo z epoki miocenu – to realny artefakt, którego możemy dotknąć. Pobrać z niego próbki. Zbadać. Czy znajdziemy tam formy życia, które gdzie indziej wyginęły miliony lat temu? A może wyewoluowały w formy, których istnienia nawet nie podej-

rzewaliśmy? Wszystko jest możliwe, czekamy w napięciu na finał.

Jezioro nazywa się Wostok, tak jak rosyjska antarktyczna stacja badawcza, pod którą spoczywa na głębokości czterech kilometrów. Jest największym z ponad 140 odkrytych dotąd subantarktycznych jezior. Długie na 250 kilometrów, w najszerszym miejscu liczy 50 kilometrów. Jego średnia głębokość wynosi 344 metry, ale sięga i 800 metrów.

Od kiedy nad Wostokiem zamknęła się pokrywa lodu, jest hermetycznie odcięty od reszty ekosfery. Chroniony czterokilometrową pierzyną przed mrozem na powierzchni, podgrzewany ciepłem bijącym od płynnego jądra planety utrzymuje średnią temperaturę -3 stopni Celsjusza. Woda pozostaje w stanie płynnym dzięki wysokiemu ciśnieniu, nacierając na nią przecież masy lodu.

Gdy piszę te słowa, rosyjscy glaciolodcy wciąż wiercą, właśnie przeżyli się przez 3700. metr. Nie jest łatwo. Przy tak pionierskim wyzwaniu musiały pojawić się problemy, których nie

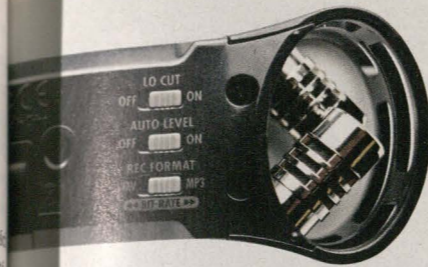
sposób było przewidzieć. Lód na tej głębokości ma inne właściwości fizyczne niż ten, którym podekscytowani naukowcy już chłodzą szampana.

Woda jest blisko, członkowie ekspedycji każdego dnia mogą zmoczyć wiertło. Być może czytają Państwo ten tekst, to już się stało. Jest tak, wkrótce poznamy wstępne wyniki badań. Warto pozostawać na nasłuchu. Nigdy nie byłoby tak niezwykłej sytuacji; rezultaty mogą przynieść niejednego precedens.

Mamy nadzieję dowiedzieć się wiele o zmianach klimatycznych w odległej historii Ziemi. W napięciu na wyniki badań czekają też biolodzy. Uważa się, że wody zahibernowanego jeziora są bardzo nasycone tlenem – jego stężenie może być kilkadziesiąt razy większe niż w wodzie jezior znajdujących się na powierzchni. Jakie mikroorganizmy rozwinęły się w tym środowisku?

Co więcej, jeśli okaże się, że w Wostoku coś żyje – a może nawet merda wita? – z większą nadzieją zaczniemy patrzeć w niebo. Warunki panujące w jeziorze Szóstego Kontynentu są bowiem najprawdopodobniej zbliżone do tych, które występują pod lodowymi skorupami księżycy Jowisza – Europy, a także księżycy Saturna – Enceladusa.

Znając zdolność życia do przetrwania w znacznie bardziej wrogim środowisku – w kwasianych temperaturach poniżej zera, a nawet powyżej punktu wrzenia – można chyba obstawiać, że coś tam pływa dziarsko pod lodem.



Charakterystyczne skrzyżowane mikrofony doskonale zbierają dźwięk z otoczenia. Łatwo dostępne przełączniki pozwalają między innymi na włączenie filtra, który eliminuje hałas tła, czy szybką zmianę formatu nagrania

## TEST: Głos jak kryształ

Nazwanie tego urządzenia dyktafonem właściwie je obraża. To coś znacznie lepszego, to maszyna do nagrywania rzeczywistości

PIDTR STANISŁAWSKI

Polska firma Zoom nie jest zbyt znana cywilnym użytkownikom, za to świetnie ją kojarzą ludzie zawodowo zajmujący się dźwiękiem. Zoom to bowiem wieloletnie rejestry, automaty perkusyjne czy elektronika używana podczas koncertów.

Wśród specjalistycznego sprzętu Zooma znajduje się też cały zestaw

ręcznych rejestratorów – nie bardzo wypada je nazwać dyktafonami, bo to sprzęt o dwie klasy lepszy od tego, czego używa się do nagrywania biurowych spotkań czy wywiadów. Oczywiście za jakość się płaci – najtańsze z tych urządzeń, Zoom H2, kosztuje około 1500 złotych.

Teraz jednak Zoom postanowił pochylić się w stronę nas, maluczkich, i podarować nam nieco ze swojej doskonałej marki. H1 to już właściwie dyktafon, choć z jakością niewiele ustępującą profesjonalnym rejestratorom. Od razu uwagę zwracają charakterystyczne skrzyżowane mikrofony zapewniające nagraniom stereo niesamowitą przestrzenność. Ich czystość w połączeniu z oprogramowaniem H1 sprawia, że słuchając zapisu, mamy wrażenie, jakbyśmy naprawdę byli na miejscu. Do tego prostota obsługi – nie trzeba grzebać w wielopoziomowym menu, bo wszystko, co ważne, ustawia się kilkoma przełącznikami. I rzecz najważniejsza – cena. Zoom H1 kosztuje 400 złotych. Przy tej jakości dźwięku to rewelacja.



Zoom H1 ma mocowanie do statywu. Dokupić też można osłonę przeciwwiatrową



Ładny i wygodny – czarna obudowa z pomarańczowym wyświetlaczem robi wrażenie. Duży przycisk nagrywania jest zawsze pod palcem, a boczny panel pozwala na szybkie przewijanie czy oznaczanie wybranych momentów nagrania. Dźwięk rejestrowany jest na kartach MicroSD

## „PRZEKRÓJ” I CENTRUM NAUKI KOPERNIK ZAPRASZAJĄ NA warsztaty dziennikarskie

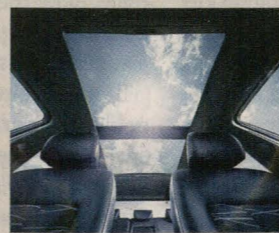
Jeśli masz co najmniej 17 lat, ale nie więcej niż 25, skorzystaj z niezwykłej szansy! Do godziny 23:59 6 lutego wyślij zgłoszenie na adres nauka@przekroj.pl. Podaj imię, nazwisko i wiek. Napisz, czym się zajmujesz oraz dlaczego chcesz wziąć udział w warsztatach. Wśród chętnych wylosujemy 20 wejściówek na jedyne w swoim rodzaju zajęcia tworzenia okładki czasopisma. Gdzie? W CNK, na terenie jeszcze zamkniętej (ale dla nas wyjątkowo dostępnej) Galerii RE: generacja. Kiedy? 15 lutego o godzinie 16. Po co? Aby dowiedzieć się, dlaczego zielony jest bez sensu, słowa są dobre, gdy są krótkie, a twarz sprzedaje się lepiej niż „Harry Potter” w dniu premiery. Zapraszamy!



## Kia Venga, czyli samochód pełen możliwości

Trzeba przyznać, że minęły już czasy, gdy koreańskie samochody załatwywały nieco obciachowym stylem. Teraz co model, to cudo, a przykładem jest Kia Venga. Być może to zasługa miejsca, w którym powstał projekt – Vengę wymyślono we Frankfurcie. Ten wygodny hatchback zaskakuje dobrym wyposażeniem standardowym i ogromnymi możliwościami wyboru dodatkowych opcji. Ot, choć-

by imponujący przeszklony dach, kamera cofania czy nowoczesny system audio radzący sobie zarówno z plika-



mi mp3, jak i obsługą iPod'a. Oczywiście na wysokim poziomie stoi ekologia i bezpieczeństwo. Samochód zdobył pięć gwiazdek w testach EuroNCAP. Z kolei o powietrze i ziemię zadba oszczędny silnik, który może być wyposażony w funkcję automatycznego wyłączenia i uruchamiania. Pozwala to zaoszczędzić nawet do 15 procent paliwa, a przy okazji zmniejszyć hałas i emisję spalin.



Ładny, silny, pełen energii. Aż się chce odjechać



# Sztuka kochania i besztania



FOT. Cezary Piwowarski/Zoom/TVN

FOT. Michał Wargan/East News

Jako juror ma się dużo powodów do radości. Zwłaszcza w takim składzie. „Mam talent!” z Chylińską, Foremniak i Wojewódkim oglądało 5,5 miliona osób

Beata Tyszkiewicz jedną ze swoich wielkich ról zagrała w filmie o ironicznie dziś brzmiącym tytule „Wszystko na sprzedaż”

Jedni rezygnują dla tej fuchy z sędziowania w tanecznych mistrzostwach świata inni z funkcji menedżera gwiazd. Na posadę telewizyjnego jurora odbywają się dziś castingi jak do seriali. Zajęcie, które jeszcze w czasach „Idola” było powodem do śmiechu, dziś staje się zawodem. Ściganym i pożądanym

KAROLINA PASTERNAK

**T**elefony i e-maile Katarzyna Szałańska, producentka startującego wiosną w TVN „The X Factor”, zaczęła dostawać, gdy tylko w mediach pojawiła się informacja, że stacja realizuje polską wersję popularnego brytyjskiego formatu. Od twórci muzycznych, które chciały ulokować w jury „The X Factor” swoją gwiazdę, reprezentantów show-biznesu, osób prywatnych. – Trochę mnie to zszokowało – przyznaje Szałańska. – Pracuję przy talent-show od dobrych kilku lat. Produkowałam „Idola” i „Mam talent!”, ale nigdy wcześniej nie byłam w takiej sytuacji. Wiem, że telefony i e-maile dostawali też reżyser programu Wojciech Iwański i dy-

rektor programowy TVN Edward Mischczak. Do tej pory to producent zwracał się do osoby, której chciał zaoferować posadę jurora, nie odwrotnie – opowiada Szałańska. Od kiedy „Idol” zadebiutował na antenie Polsatu w 2002 roku, przez różne polskie stacje przewinęło się kilkanaście programów typu talent-show, w których gwiazdy lub zwykli zjadacze chleba konkurowali ze sobą w przeróżnych dyscyplinach – od śpiewu, przez taniec i taniec na lodzie, po tresowanie zwierząt cyrkowych w pamiętnym „Gwiezdnym cyrku” Polsatu. Za każdym razem emocji równych tym, które budził zestaw gwiazd mających wystąpić w programie, dostarczał

wybór składu jury. Wiosną tego roku w TVN Polsacie i TVP2 wystartują kolejne, nowe talent-show: „The X Factor”, „Must Be The Music” i „Bitwa na głosy” (z udziałem Krzysztofa Cugowskiego i... Michała Wiśniewskiego) – wszystkie szukające talentów muzycznych, więc portale plotkarskie od tygodnia żyją niemal wyłącznie obstawianiem, kto zasiądzie w jury tych programów. Typowanie stało się tym bardziej pikantne, że dziś, w odróżnieniu od pionierskich castingów „Idola”, gdy zasady tej gry dopiero wstawiały, zdobycie posady jurora i utrzymanie jej odbywa się według ściśle określonych przykazań.

## 1. Po prostu walczyć

W każdym składzie sędziowskim niezbędny jest znawca – tak zwany juror merytoryczny. W „Tańcu z gwiazdami” są nimi zawodowi sędziowie konkursów tanecznych Iwona Szymańska Pavlović i Piotr Galiński, w „You Can Dance. Po prostu tańcz” – tancerz i choreograf Agustin Egurrola. W „The X Factor” tę rolę będzie odegrał muzyk Czesław Mozil, w „Must Be The Music” zaś kompozytor Adam Sztaba. „Must Be The Music” będzie swoją drogą pierwszym w Polsce talent-show, którego uczestnicy zarobią już w trakcie programu (wykonania utworów z danego odcinka będą udostępniane na Facebooku, a następnie liczba osób, które „polubią” tam klip, będzie za pomocą przelicznika przekładana na złotówki). Wybór jurora merytorycznego najczęściej odbywa się podczas castingu; kandydata oceniają między innymi reżyser programu i jego producent. – Mnie pokazano odcinek jednego z angielskich talent-show i kazano go zrecenzować. Chodziło o styl wypowiedzi i zdolność

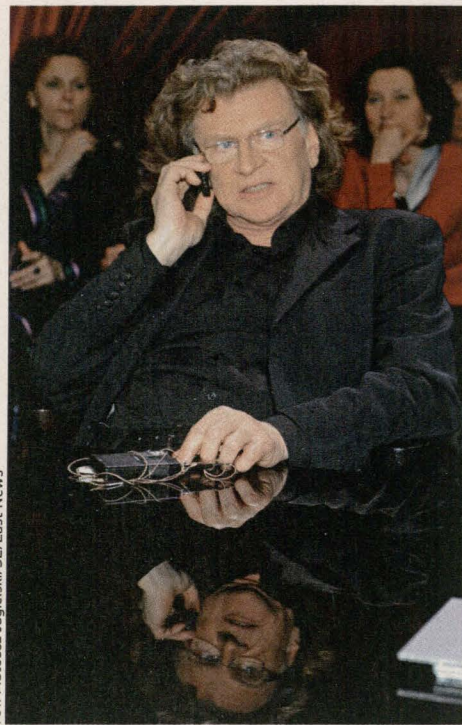
natychmiastowego dzielenia się błyskotliwymi uwagami – wspomina Galiński. – U mnie postawiono na konfrontację. Prowokowano kłótnię, żeby juror musiał obronić swoją opinię. Trafiłem do dwójki z Michałem Pirógim, więc po dwóch minutach naszej jatkii ogłoszono, że to koniec przesłuchań i że razem zasiądziemy w jury – opowiada z kolei Egurrola, juror „YCD” słynący z krwistych kłótni ze swoim kompanem należącym, używając slangu, którym posługują się nasi rozmówcy, do drugiej kategorii jurorów – tych „emocjonalnych”. Ten typ nie musi się znać na temacie show (choć Piróg to akurat wyjątek, sam jest tancerzem i choreografem), ma przede wszystkim wyrażać opinie mocno nacechowane emocjonalnie, jak Anna Mucha czy Kinga Rusin, która zastąpiła aktorkę w roli jurora w szóstej edycji programu (premiera także tej wiosny). – Gdy podczas rozmowy wstępnej powiedziałem, że przecież nie mam nic wspólnego z tańcem – wspomina Zbigniew Wodecki, juror „Tańca z gwiazdami” – producenci zapewniali, że to nie jest problem, bo nie

mam oceniać merytorycznie, tylko zwracać uwagę na ogólne wrażenie artystyczne. Weronika Marczuk, była żona Cezarego Pazury, która podobnie jak Wodecki nie miała żadnych tanecznych doświadczeń (chyba że uznać za takie tańczenie w trójmiejskich klubach ze striptizem, którym zajmowała się przed wyjściem za mąż za sławnego aktora), także musiała przejść casting. – W szkole tańca Agustina Egurroli było takie niby „YCD”, to znaczy tańczyli specjalnie zaproszeni tancerze, a ja miałam ich recenzować. Urzędowo pokazała casting, żeby zobaczyć, jaka będzie moja reakcja na tych ludzi, na niespodzianki. Na przykład Agustin co innego mówił mi na ucho, a co innego na głos. „Co za śliski facet” – myślałam wtedy, ale potem okazało się, że oni po prostu mnie sprawdzali – opowiada.

## 2. Bądź Wojewódkim

Miejsce poza tymi dwiema kategoriami ma oczywiście Kuba Wojewódzki, który już wielokrotnie przyznawał się →





FOT. Mateusz Jagielski/SE/East News

**Juror szuka inspiracji?** Po sześciu latach chwaleń Wodeckiemu brakuje już pewnie ciepłych słów

→ do zapoczątkowania mody na jurorowanie. Bo kto nie chciałby przejść tej błyskawicznej ewolucji, którą przeszedł Wojewódzki w ostatnich ośmiu latach? W 2002 roku wchodził do studia „Idola” jako dziennikarz, autor audycji w Rozgłośni Harcerskiej i był redaktorem naczelnym miesięcznika „Brum”. Dziś ma własny talk-show, którego popularność od kilku sezonów nie słabnie, jest rozchwytywanym felietonistą, a za wejście w skład jury „The X Factor” wynegocjował ponoć stawkę 40 tysięcy złotych za odcinek. – Sprawdzał się w każdym programie, w którym dotąd wystąpił, dlatego jest zapraszany. Wprowadził jakość, której dotąd w polskiej telewizji nie znaleźmy: zachowuje się na ekranie tak jak w życiu. Obecność kamer nie powstrzymuje go przed wyrażaniem mocnych opinii – tłumaczy Szałańska.

### 3. Nie bądź wulgarny

– Wyraziste wypowiedzi, w których specjalizuje się Wojewódzki, to myśli, które generalnie kłębią się w głowach większości Polaków, tyle że przeciętny widz ich nie wyraża. Bo z jednej strony z trudem przychodzą nam komplementy, z drugiej jesteśmy splątani konwenansami, nie potrafimy otwarcie krytykować, nie pod nazwiskami – dodaje socjolog, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu Tomasz Szlendak.

– Chociaż z tym też nie można przesadzać, Polakom podobają się wyraziste opinie, ale nie skandaliczna wulgarność – ripostuje Szałańska. A jej opinię świetnie obrazuje historia show „Gwiazdy tańczą na lodzie”. Program, który zdominowała wojna między zasiadającą w jury Dodą a prowadzącą Justyną Steczkowską, zdjęto z anteny po trzecim sezonie, bo w finałowych odcinkach gwiazdy nie miały już kompletnie żadnych oporów przed wyzywaniem się na wizji od „piosenkarek o różowym wnętrzu” czy „głupiutkich daltonistek”. Program się skompromitował. Podobnie jak autorki skandalu. I raczej nie mają już szans na pojawienie się w jury jakiegokolwiek podobnego show. Tym bardziej że wszystkie obecne na naszym rynku talent-show to skopiowane z zagranicy formaty, nad którymi czuwają nie tylko rodzimi producenci, ale też reprezentanci producenta oryginalnej wersji. A oni też mają co do ról odgrywanych w programie przez jurorów bardzo konkretne wymagania.

### 4. Wchodź w rolę z głową

– Na pierwszy casting do „The X Factor” przyjechała prawa ręka Simona Cowella – mówi „Przekroju” Maja Sablewska, była menedżerka Dody i Edyty Górniak, która znalazła się w jury razem z Kubą Wojewódzkim i Czesławem Mozilem. Cowell jest pomysłodawcą, producentem, a zarazem jurorem oryginalnej brytyjskiej wersji programu. W branży telewizyjnej to postać legendarna, słynie z bezceremonialnego rozprawiania się z kiepskimi uczestnikami. Wysłanniczka Brytyjczyka opowiadała polskim jurorom o tym, jak cudownie format przyjął się na świecie. Bardzo się cieszyła, że w Polsce udało się wyłonić tak świetnie dobrany skład, że jurorzy doskonale się uzupełniają. – Po czym przeszła do rozdzielania ról – mówi Sablewska.

Kuba usłyszał, że jest stworzony do roli Cowella, Czesław ma być polskim Louisem Walshem (menedżer, juror „The X Factor”), a Sablewska naszą odpowiedzią na Cheryl Cole, jurorkę tegoż show i piosenkarkę. – Na co odpowiedziałam, że chyba jednak to nie zagra, bo ja ani nie śpiewam, ani nie tańczę jak Cole, jestem menedżerką i mam zupełnie inne podejście, bardziej biznesowe – opowiada Sablewska. Wysłanniczka Cowella uspokajała ją, że sobie poradzi, że są podobne z wyglądu i mają podobny styl. – Teraz czuję, że wszyscy na planie chcieliby, żebym weszła w rolę „tej

miłej”, a ja czuję, że nie dam rady. Dla mnie lepsza jest szczerłość niż miłośność – tłumaczy. Podobnie było z Marcinem Prokopem (dziś prowadzącym „Mam talent!”), także zmuszonym do wejścia w rolę, już nie zagranicznego, ale naszego jurora Kuby Wojewódzkiego, który na jeden sezon odszedł z „Idola”. – A ponieważ byłem wtedy nieopierzonym telewizyjnie, mało asertywnym dzieckiem, uległem presji twórców programu i wszedłem w nie swoje buty. Często zamiast wygłaszać własne, suwerenne opinie, próbowałem się na złośliwą błyskotliwość i wymyślać ciosy riposty. Dziś ten sam błąd popełnia paru innych jurorów popularnych programów, którzy na ekranie przestają być sobą – opowiada Prokop.

Jurorzy nie zawsze dają się wcisnąć w te role. Ustawiani byli też przecież sędziowie „Mam talent!”: Małgorzata Foremniak miała być słodka i ciepła, Agnieszka Chylińska ostra, a Kuba Wojewódzki, wiadomo – miał ścigać przez ekrany widzów, czyli być Wojewódzkim.

### 5. Nie daj się omamić

Tymczasem Chylińska rozczulała się równie często jak Foremniak, Foremniak z kolei nie skakała stanowczością. To przecież ona jest autorką uwagi najtrafniej diagnozującej emocjonalne wybory Polaków w tego typu show: „Wygładasz jak dziecko z ochronki. Sama chyba kupię ci sukienkę” – powiedziała w półfinale do 11-letniej Magdy Welc, której zwycięstwo w trzeciej edycji programu wielu ocenia jako typowy dla rodzimej publiczności wybór z empatii, powodowany współczuciem dla biednego dziecka. – Pierwsza edycja była dla mnie najtrudniejsza, zastanawiałam się, czy w ogóle powinnam brać w tym udział – mówi Małgorzata Foremniak. – Nie miałam wcześniej takich doświadczeń. Występy uczestników budziły i budzą we mnie nadal olbrzymie, szczerze emocje, na co dowodem jest spontaniczność moich wypowiedzi. Zarówno tych pozytywnych, jak i negatywnych. Rola „tej dobrej” klóciłaby się z moim temperamentem, nie byłabym sobą – wyjaśnia nam autorka.

Jednak nawet jeśli jurorom uda się odrzucić narzucaną im rolę, co odcinek muszą słuchać uwag reżyserów i producentów, którzy często sugerują im pewne zachowania. W trakcie nagrania programów emitowanych na żywo producent zawsze ma kontakt z osobą na planie. – W moim przypadku jest to Agustin Egurrola – mówi Ewa Leja, producentka „YCD”. – Czasem daję mu uwagi techniczne w stylu „Poproś Kingę Rusin, żeby się wyprostowała



FOT. Adam Górecki/Agencja Gazeta

**Czesław Mozil jest osobowością**, którą autorzy „The X Factor” z pewnością będą usiłovali okiełznać na planie. Czy uda mu się zwyciężyć w starciu ze sztywnymi zasadami programu, okaże się wiosną

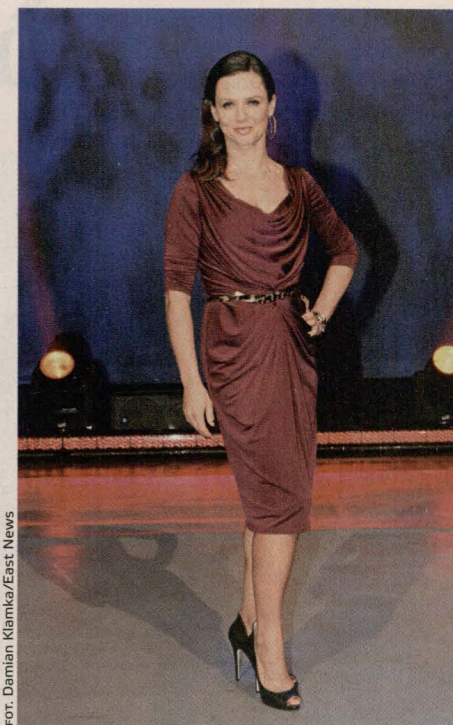
la”, a czasem dotyczące uczestników: „Teraz wchodzi fajna dziewczyna, skupcie się”. Albo: „Wchodzi dziewczyna bardzo sexy, ale uważajcie z komentarzami, bo jest niepełnoletnia” – opowiada. – W „Idolu” też były próby sugestii, wpływania na opinię, ale ja starałam się nigdy im nie poddawać – wspomina oceniająca uczestników tego programu Elżbieta Zapendowska. – Tego typu uwagi bardzo przeszkadzają. To nie jest program dla jurorów, ale dla tych młodych ludzi, którzy przychodzą zweryfikować swój talent. Naszym obowiązkiem jest więc dać im jak najrzetelniejszych wskazówek – mówi Egurrola.

### 6. Złóż ofiarę

Ani castingi, ani podporządkowanie rolem, ani to, że ma się wciąż nad uchem natarczy-

wego producenta, nikogo jeszcze do jurorowania nie zniechęciło. Poza Kubą Wojewódzkim, który odszedł z „Idola”, ale tylko na jeden sezon. Ba, niemal wszyscy wchodzący w tę rolę jurorzy składają na ołtarzu jurorowania inne, czasem bardzo prestiżowe i intratne zajęcia. – Od momentu, kiedy zostałem jurorem „Tańca z gwiazdami”, musiałem zrezygnować z sędziowania w tanecznych mistrzostwach świata. Nie mogę wyjechać z Polski w weekend, bo wtedy przecież mamy nagrania i muszę być w pełni dostępny – mówi Galiński. Maja Sablewska posadę w „The X Factor” przyplaciła zwolnieniem z pracy. Edyta Górniak, której Sablewska była menedżerką, uznała po prostu, że ta nie będzie miała dla niej dość czasu.

Z kolei Czesław Mozil, artysta bardzo popularny, ale grający muzykę spoza głównego nurtu, rozpoczynając pracę w telewizyjnym



FOT. Damian Klamka/East News

**Kinga Rusin** tańczyła w talent-show, później go prowadziła, teraz została jurorką. Co dalej?

programie, musiał liczyć się z ewentualnym zbojkotowaniem tej decyzji przez fanów. Przecież wszyscy dobrze pamiętamy, z jakimi reakcjami ze strony wielbicieli spotkało się sprzedanie się „Idolowi” (jak wtedy mówiono) przez Maćka Maleńczuka.

### 7. Przekuj sławę w kasę

Co więc tak ciągnie tych wszystkich ludzi do sędziowania? – Pieniądze naprawdę nie są tak rewelacyjne, jak wszyscy opowiadają – mówi Egurrola.

– Nie mogę podać kwoty, bo to tajemnica umowy, ale powiem tak: po prostu rekompensują stres, który jest w ten zawód wpisany – dodaje Galiński. W przypadku jurorów merytorycznych ten stres, jak tłumaczy, wynika z faktu, że ich wypowiedzi są nieustannie pod lupą kolegów z branży. – Nieraz zdarzały mi się telefony z pretensjami dotyczącymi decyzji, które podejmowałem – mówi Egurrola.

Tyle że zyski, które można czerpać z idącej zawsze w parze z jurorowaniem medialnej sławy, są po prostu dużo większe niż wszystkie (istniejące lub jednak nieco rozdmuchane) ciemne strony fachu. Praktycznie każdy juror, który zyskał akceptację widzów (w postaci dobrych wyników oglądalności), na bazie tego sukcesu zbudował kolejne. Agnieszka Chylińska nagrała po bardzo długiej przerwie →



→ solowy album „Modern Rocking”, który natychmiast stał się bestsellerem, Piotr Galiński wydał poświęconą potrawom z jego rodzinnych Mazur książkę kucharską „Taniec z garami”, założone przez Agustina Egurrolę jeszcze przed tym, jak został jurorem „YCD”, Egurrola Dance Studio stało się topową szkołą tańca w Warszawie, a Weronika Marczuk dostała w TVN Style własny program „Miasto kobiet”, który prowadziła z Pauliną Młynarską (została z niego usunięta, podobnie jak z funkcji jurora, po zatrzymaniu przez CBA). Tę wylizankę moglibyśmy ciągnąć jeszcze bardzo długo, uwzględniając każdego jurora. Swoje drugie życie medialne dzięki talent-show dostała przecież także Beata Tyszkiewicz. Młodzi widzowie zapewne nie kojarzą jej, niestety, z ról w klasycznych pozycjach polskiego kina, a tylko z roli „tej dobrej” jurorki „Tańca z gwiazdami”.

## 8. Skorzystaj z szansy

Ba, najmłodszy widzowie, ci, którzy nie załapałi się jeszcze na „Idola”, prawdopodobnie zupełnie nie mają też dylematów związanych z oceną samego zjawiska sędziowania. Dla nich juror nie jest dziwakiem, który za kasę beszta kogoś lub chwali. Przecież programów typu talent-show jest dziś tyle, że to, iż przeskakując z kanału na kanał, trafi się na kogoś takiego jak juror, jest równie naturalne jak obecność w telewizji prezentera wiadomości czy pogodynki. Przewaga jurora nad innymi telewizyjnymi gwiazdami jest jednak taka, że choćby całkiem nie miał kompetencji, wchodzi w rolę autorytetu i jest na świeczniku, w centrum uwagi. W ścisłej trójce lub czwórce wybranych. Takiej promocji i nobilitacji nie jest dziś w stanie zapewnić nawet główna rola w serialu, bo tam uwagę widza mimo wszystko dzieli się z innymi aktorami. W dodatku jeśli ich postaci spodobają się widzom bardziej, stacja natychmiast zleci ich rozbudowanie. I wtedy przychodzi koniec pięciominutowej sławy jeszcze wczoraj topowej serialowej gwiazdy.

Juror to fucha, która jest dana co najmniej na cały sezon. Sezon, podczas którego to na jego zdanie będzie co tydzień czekać przed telewizorami średnio pięć i pół miliona Polaków. Taka była oglądalność „Mam talent!”. Nie dziwi więc tak bardzo, że Czesław Mozil i Maja Sablewska, którzy dopiero debiutują w talent-show, podchodzą do szansy, którą dostali, z tak gigantycznymi ambicjami. Ponieważ „The X Factor” to nowa formuła, w której juror dostaje na późniejszym etapie progra-



Do paparazzich Maja Sablewska, jurorka „The X Factor”, musi zacząć się przyzwyczajać

mu zadanie wejścia w rolę opiekuna wybranej trójki uczestników (solistów lub kapel), oboje bardzo wierzą, że uda im się wpłynąć na młodzież, zrobić w rodzimym przemyśle muzycznym jakieś zamieszanie.

## 9. Zbaw kraj

Sablewska, która zaczynając karierę kilka lat temu jako niania dzieci Natalii Kukulskiej, doszła w błyskawicznym tempie do roli agentki najpopularniejszej gwiazdy popu w naszym kraju. Na poradzenie sobie z wyzwaniem w postaci talent-show też ma już gotowy plan. – Wielkim autorytetem jest dla mnie Simon Cowell. To, co zrobił w Wielkiej Brytanii, jest moim zdaniem fenomenalne. Jest jednocześnie jurorem oraz producentem i dzięki gigantycznej maszynie promocyjnej, jaką stało się brytyjskie „The X Factor”, może lansować

gwiazdy, zmieniać tamtejszy rynek muzyczny – opowiada Sablewska. Była menedżerką, mówi, że nie zamierza już wracać do porzuczonego właśnie zawodu, bo teraz widzi siebie misję w „The X Factor”. – Brakuje młodego pokolenia muzyków, które wyznaczałoby trendy. Polacy uwielbiają porównywać się do zagranicznych gwiazd albo do typów polskich, ale już uznanych. Szukają kolejnej Ani Dąbrowskiej, zamiast wypatrywać kogoś świeżego i naszego – tłumaczy z zapalem. Być może Sablewska będzie więc chciała ją pierwsza w Polsce połączyć funkcję kreatywnego producenta i jurora, tak jak robią to właśnie Cowell czy choćby pomysłodawczyni „America’s Next Top Model”, słynna modelka Tyra Banks.

## 10. Zwiększ oglądalność

– To, że Cowell dzierży całkowitą władzę nad „The X Factor”, przez wielu uważane jest za zmurę rynku – zauważa Szałańska. – Talent-show daje uczestnikom taką promocję, której nie jest w stanie zapewnić w Wielkiej Brytanii absolutnie żadna wytwórnia; ma to nopol na zbudowanie komercyjnego sukcesu gwiazdy – dodaje.

Czesława Mozila nie interesuje, w przeciwieństwie do Sablewskiej, robienie rewolucji. Raczej naprawa rynku małymi krokami. – Nie będę oczywiście nikogo uczył, ja mam śpiewać. Jestem z wykształcenia akordonistą, a nie wokalistą. Ale jest coś, co chciałbym w podejściu do robienia muzyki w Polsce zmienić. Na koncertach polskich muzyków jest wciąż ściana między artystą a publicznością. Chciałbym nauczyć ludzi tę ścianę borykać. Publiczność musi poczuć, że jest się „tu i teraz”, dla nich. Oczywiście nie jestem głupcem. Zdaję sobie sprawę, że to jest telewizja, program, który rządzi się swoimi zasadami, jest realizowany według schematu. Czy uda mi się zrealizować moje założenia? Okaże się to naprawdę dopiero wtedy, gdy będę po nagraniach – tłumaczy.

Refleksja jego starszego kolegi po fachu, który zawód jurora uprawia od 12. edycji „Tańca z gwiazdami”, pewnie mogłaby dziś pomóc mu znaleźć odpowiedź na to pytanie. – Ten program nauczył mnie jednej ważnej rzeczy – uśmiecha się Zbigniew Wodecki w rozmowie z nami. – Do tej pory myślałem, że najważniejsze są zdrowie, rodzina, pieniądze. Jako juror dowiedziałem się, że najpierw jest oglądalność, a dopiero później cała reszta.

WSPÓLPRACA MILENA RACHID CHEWA

# Błazen kpi z artystów

**MAURIZIO CATTELAN, największy cynik współczesnej sztuki, 4 lutego pokaże w Warszawie swój najnowszy projekt – pismo „Toilet Paper”**

JACEK TOMCZUK

← łączący Hitler z miną niewiniątka (modlący się lub proszący widzów o przebaczenie), kukły trojga dzieci powieszonych na drzewie w centrum Mediolanu czy martwy koń z napisem INRI... To tylko kilka prac Maurizio Cattelana. To błazen, królewski trefniś świata sztuki, który lubi podrażnić grubym żartem, narazić się na chwilowy ostracyzm, wprawić w zakłopotanie bywalców galerii. W ciągu swojej 30-letniej kariery naraził się katolikom, krytykom sztuki, Żydom, a ostatnio również mediolańczykom, stawiając przed tamtejszą giełdą rzeźbę „Love” przedstawiającą dłoń z wyprostowanym środkowym palcem. Latem ubiegłego roku Cattelan miał doczekać się pierwszej retrospektywy w Mediolanie, który obok Nowego Jorku jest jego głównym warszatem. Ale zaraz rozpoczęły się przepychanki. Planowano referendum wśród żydowskiej społeczności, skreślono z listy dzieł dzieci i Hitlera. Skończyło się na pokazie paru prac.

Jednak Cattelan to artystyczna pierwsza liga. Wystawia swoje prace w Museum of Modern Art czy Tate Modern, był kuratorem jak najbardziej poważnych wystaw i biennale, sprzedaje rzeźby za setki tysięcy dolarów. W Polsce zyskał rozgłos w 2000 roku, kiedy pokazał rzeźbę przedstawiającą Jana Pawła II przygniecionego meteorem (nabywca zapłacił za nią 886 tysięcy dolarów).

Cattelan to być może najzdolniejszy uczeń Andy’ego Warhola: potrafi perfekcyjnie wykorzystać skandal do promocji swojej sztuki, jako dzieła proponuje efektowne, błyskotliwe, szybko przyswajalne pomysły. Lubi też rzucać grupą, nienawidzi udzielać wywiadów (pytania najpierw jest oglądalność, a dopiero później czym odpowiada na nie jego przyjaciel, ku-



Maurizio Cattelan i jego rzeźba przed mediolańską giełdą

rator New Museum w Nowym Jorku). Używa hiperrealistycznych technik, rzeźb do złudzenia przypominających figury woskowe z gabinetu osobliwości, rozrywki tyleż popularnej, co mało wyrafinowanej. Dobrze też, żeby przedstawiały znane postaci, natychmiast rozpoznawalne. Cattelan ostentacyjnie kreuje się na artystę dla mas, to sztuka podana wprost niczym telewizyjne wiadomości.

Jego ulubionym tematem są drwiny ze świata sztuki. Dla niego kuratorzy, galerzyści, kolekcjonerzy, krytycy to żadna intelektualna elita. Przypominają raczej nastoletnich fanów biegających za swoimi idolami (w tym przypadku artystami). I jedni, i drudzy są żądni sensacji, skandalu, nowości... Na biennale sztuki w Berlinie Cattelan ogłosił, że swoją filię w stolicy Niemiec otworzy Gagosian Gallery, najbardziej prestiżowa komercyjna galeria świata, reprezentująca takich artystów jak Robert Rauschenberg czy Anselm Kiefer. Nikogo to specjalnie nie zdziwiło, bo Gagosian działa niczym sprawna korporacja zdobywająca kolejne rynki sztuki – ma oddziały w Paryżu, Genewie, Londynie, Rzymie, Atenach. Na miejscu okazało się to wielką prowokacją wymierzoną w coraz bardziej skupiony na pieniądzech świat galerii. Gagosiana samo-

zwańczo otworzył sam Cattelan, na dodatek jako wystawiających zaprosił młodych punkowych artystów z Berlina i dał im wolną rękę. Kiedy prowokacja wyszła na jaw, oczywiście właściciel Larry Gagosian nie kiwnął palcem, by zablokować inicjatywę – dopiero wyszedłby na sztywniaka.

W 1999 roku zaprosił artystów i kuratorów na 6. Biennale Sztuki Karaibów. Na miejscu na wyspie Saint Kitts okazało się, że żadnej wystawy nie będzie. Artysta zaproponował gościom tygodniowe wakacje, wylegiwanie się nad basenem i drinki z parasolką. Jakby chciał powiedzieć: dość już sztuki, po co produkować jej jeszcze więcej. Ten cały artworld, jaki tworzymy, to wielki bluff: tak naprawdę wszystkim chodzi o to, by zwiedzić kawałek świata za nie swoje pieniądze i dobrze się bawić.

W Warszawie Cattelan zaprezentuje drugi numer „Toilet Paper”, magazynu o sztuce, którego jest pomysłodawcą. Jego główną część (złożony jest z samych zdjęć) stanowi fotograficzny kolaż autorstwa Pierpaolo Ferrariego. To ten sam, który robił sesję zdjęciową dla Dody i zapewniał, że polska gwiazda ma charyzmę Lady GaGi. Wszystko wskazuje na to, że artysta ponownie chce przekłuć balon sztuki. I chyba mu się to uda.

PHOT. GINO BEGOTTI/CAMERA PRESS/BUZZ



# Ściągawka dla Akademii

Oscarowa gorączka trwa, emocje rosną, by sięgnąć zenitu 27 lutego. To wtedy Amerykańska Akademia Filmowa przyzna swoje statuetki – najważniejsze nagrody amerykańskiego, a więc i poniekąd światowego przemysłu filmowego. „Przekrój” rozdaje Oscary już dziś!

MAŁGORZATA SADOWSKA, WSPÓŁPRACA MICHAŁ OLESZCZYK

**D**la fanów kina Oscary są jak finał mistrzostw świata w piłce nożnej, tylko organizowany co roku. Zanim jednak AAF ogłosi swój werdykt, poznajcie oscarowe przewidywania samozwańczej PAF – „Przekrojowej” Akademii Filmowej liczącej dwoje członków.

12 nominacji dla „Jak zostać królem”, 10 dla „Prawdziwego męstwa”, po 8 dla „The Social Network” i „Incepcji” – tego się spodziewaliśmy. Dziwi nas jednak brak wśród nominacji „Autora widmo”. Najwyraźniej zeszłoroczne zamieszanie wokół Romana Polańskiego zaszkodziło jego filmowi i sprawiło, że w Hollywood rzeczywiście stał się widmowym autorem. Zaskakuje nieobecność wśród nominowanych Martina Scorsese („Wyspa tajemnic”) i Sofii Coppoli („Somewhere”), niejednego (a nas na pewno) bulwersuje też brak nominacji dla Lee Smitha za montaż „Incepcji” (ostatnia część filmu to montażowy majstersztyk!) oraz Christophera Nolana za reżyserię. Internet aż huczy od spekulacji, dlaczego Hollywood nie cierpi Nolana. My uważamy, że oni po prostu nie zrozumieli „Incepcji”.

W naszym zestawieniu typujemy tytuły i twórców, którzy w najważniejszych kategoriach wygrać powinni. Wskazujemy też tych, których naszym zdaniem wybierze kapryśna Akademia. Obstawiamy, że czarnymi końmi 83. edycji Oscarów są niezależne „Do szpiku kości” Debra Granik (ze szczególnym uwzględnieniem odtwarzającej główną rolę Jennifer Lawrence) oraz nominowana za drugoplanową rolę żeńską Helena Bonham Carter. W przypadku jednej kategorii przyznajemy bez bicia, że nie mamy pojęcia, kto może dostać Oscara. Za to w kilku innych jesteśmy przekonani, że gusta AAF i PAF będą się pokrywać. Przyłączcie się do naszej zabawy i głosujcie na swoich wybrańców na naszym profilu na Facebooku!



## Najlepszy film

„127 godzin”, reż. Danny Boyle  
 „Czarny łabędź”, reż. Darren Aronofsky  
 „Fighter”, reż. David O. Russell  
 „Incepcja”, reż. Christopher Nolan  
 „Wszystko w porządku”, reż. Lisa Cholodenko  
 „Jak zostać królem”, reż. Tom Hooper  
 ↑ „The Social Network”, reż. David Fincher  
 „Toy Story 3”, reż. Lee Unkrich  
 „Prawdziwe męstwo”, reż. Ethan Coen, Joel Coen  
 „Do szpiku kości”, reż. Debra Granik

**Powinien wygrać i wygra „The Social Network”**  
 Kapitałne dialogi, świetne tempo, znakomite reżyseria i zdjęcia, aktorstwo na najwyższym poziomie – film Davida Finchera jest

niemal doskonały. Jak to możliwe? Aaron Sorkin, autor scenariusza, słusznie onegdaj zauważył, że ta historia po prostu zawiera wszystkie elementy niezbędne do stworzenia soczystej opowieści: przyjaźń, lojalność, zdradę, zazdrość, pragnienie władzy. Ma też bohatera, a jest nim założyciel Facebooka Mark Zuckerberg, który robi karierę wedle ukochanego hollywoodzkiego wzorca – od pucybuta do milionera. No i jeszcze temat, który emocjonuje wszystkich niezależnie od tego, czy są na Facebooku, czy też nie, czyli kulisy powstania największego portalu społecznościowego.

Davidowi Fincherowi udało się to, co naprawdę udaje się niewielu – zrobić film, który w takim samym stopniu zachwycał krytyków i widzów. Ci pierwsi obsypali go dziesiątkami nagród ze Złotymi Globami na czele. Drużdy sprawili, że „The Social Network”, którego budżet wyniósł 40 milionów dolarów, zarobił już na świecie... 209 milionów.

Akademia po prostu nie ma wyjścia.

## Najlepszy aktor pierwszoplanowy



Javier Bardem („Biutiful”)  
 Jeff Bridges („Prawdziwe męstwo”)  
 Jesse Eisenberg („The Social Network”)  
 Colin Firth („Jak zostać królem”)  
 James Franco („127 godzin”)

**Powinien wygrać Javier Bardem**

„Nie wyobrażam sobie listy oscarowych ról bez Javiera Bardema”; „Kombinacja muskulatury, fizycznej siły z niezwykłą delikatnością; to połączenie twardości i czułości daje »Biutiful« emocjonalną wiarygodność, na którą sam film nawet nie do końca zasługuje” – to tylko wybrane recenzje amerykańskiej prasy. Rola mężczyzny, który walczy o siebie i dzieci, to najlepsza kreacja Bardema. Owszem, Franco czy Eisenberg też mogą być z siebie dumni, ale Akademia wyjątkowo niechętnie nagradza aktorów poniżej czterdziestki. A Bridges? Dopiero dostał Oscara.

**Wygra Colin Firth**

Statuetka będzie nagrodą pocieszenia za pominięcie w zeszłym roku znakomitej kreacji (najlepszej w dorobku Firtha) w „Samotnym mężczyźnie”. Akademia lubi nagradzać aktorów odtwarzających prawdziwe postaci (Helen Mirren jako Elżbieta II, Nicole Kidman jako Virginia Woolf, Marion Cotillard jako Edith Piaf). *Tha... tha... tha... thank you!* – spodziewamy się, że Firth wcielający się w filmie w postać jękającego się monarchy wygłosi jedno z najzabawniejszych podziękowań.

## Najlepsza aktorka pierwszoplanowa

Annette Bening („Wszystko w porządku”)  
 Nicole Kidman („Rabbit Hole”)  
 Jennifer Lawrence („Do szpiku kości”)  
 Natalie Portman („Czarny łabędź”)  
 Michelle Williams („Blue Valentine”)

**Powinna wygrać Annette Bening**

To już czwarta oscarowa nominacja tej aktorki, a do tego wreszcie nie konkuruje z Hilary Swank, która dwukrotnie sprzątnęła jej statuetkę sprzed nosa. Bening bravurowo zagrała lesbijkę, która z partnerką (Julianne Moore) wychowuje dwoje dzieci i stawia czoła codziennym problemom. Jako kobieta rozpaczliwie walcząca o zachowanie maski twardzielki, która nieustająco jej opada, Bening i budzi współczucie, i jest zabawna. Perfekcyjne połączenie humoru ze szczyptą dramatu.

**Wygra Natalie Portman**

Akademia uwielbia, gdy aktorzy „poświęcają się” dla roli – pozwalają zamienić się w staruszkę (jak Marion Cotillard w „Niczego nie żałuję”), pozbawić urody (Charlize Theron w „Monster”) czy choćby dokleić sobie nos (Nicole Kidman w „Godzinach”). By zagrać baletnicę, Portman nie tylko schudła 10 kilogramów, ale też przeszła morderczy trening zakończony romanssem z choreografem oraz ciężą. Kto oprze się tak wzruszającej historii? Czujemy, że w Kodak Theatre poleją się łzy.

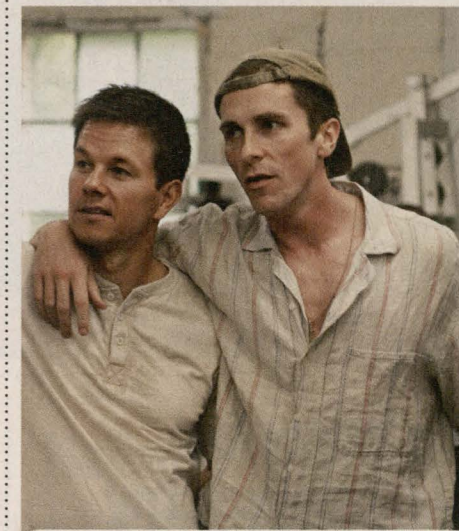
## Najlepsza aktorka drugoplanowa

Amy Adams („Fighter”)  
 Helena Bonham Carter („Jak zostać królem”)  
 Melissa Leo („Fighter”)  
 Hailee Steinfeld („Prawdziwe męstwo”)  
 ← Jacki Weaver („Królestwo zwierząt”)

**Powinna wygrać Jacki Weaver**

W tej kategorii zanosi się na pojedynek dwóch ostrych mamusiek. Ta w wykonaniu Australijki swoim spojrzeniem mogłaby, jak pisaliśmy w „Przekroju”, skuć lodem Wisłę w lipcowe popo-

## Najlepszy aktor drugoplanowy



Christian Bale („Fighter”) ↑  
 John Hawkes („Do szpiku kości”)  
 Jeremy Renner („Miasto złodziei”)  
 Mark Ruffalo („Wszystko w porządku”)  
 Geoffrey Rush („Jak zostać królem”)

**Powinien wygrać i wygra Christian Bale**

To już kolejna rola, dla której jeden z czołowych hollywoodzkich przystojniaków z nutką szaleństwa („American Psycho”, „Mroczny rycerz”) zafundował sobie drastyczną głodówkę. W „Mechaniku” był wycieńczony z powodu bezsenności, w „Operacji Świt” omal nie wykończyła go samotna ucieczka przez dżunglę, w „Fighterze” zaś padł ofiarą uzależnienia od cracku. Nie dlatego jednak, że tak bardzo schudł (choć – powtórzmy – Akademia uwielbia aktorów na diecie), należy mu się Oscar. Rola narkomana, który żeruje na bracie bokserze, jest niesamowita. Bale zagrał nadpobudliwego i nadekspresyjnego faceta, w dodatku podszyczonego agresją, lecz wyposażył go też w autentyczną pasję do boksu i specyficzną okazywaną miłość do rodziny. Choć to drugoplanowa kreacja, aktor zdecydowanie przyćmił Marka Wahlberga w tytułowej roli. Jak na złego brata przystało – ukradł mu film.

łudnie. Weaver jako przywódczyni bandy złożonej z synów, twardą ręką dzierżąca władzę, stworzyła jeden z najbardziej niesamowitych szwarzcharakterów w kinie ostatnich lat.

**Wygra: Melissa Leo**

W filmie „Fighter” zdarzało się jej nie tylko rzucać patelnią, rozjeżdżać autem kosze na śmieci, ale też uronić łzę. Mamuska Melissy Leo jest menedżerką syna boksera, którego traktuje jak jedynego żywiciela równie licznej, co nieogarniętej życiowo rodziny. Akademia doceni i wiarygodność postaci, i charyzmę aktorki, i słuszną wymowę filmu. No i to, że to amerykańska mama.



## Najlepsze zdjęcia

„Czarny łabędź”, Matthew Libatique  
 „Incepcja”, Wally Pfister →  
 „Jak zostać królem”, Danny Cohen  
 „The Social Network”, Jeff Cronenweth  
 „Prawdziwe męstwo”, Roger Deakins

**Powinien wygrać Wally Pfister za „Incepcję”**  
 „Incepcja” jest sfilmowana rewelacyjnie – wystarczy wspomnieć choćby sekwencję hotelową, w której uśpieni bohaterowie „płyną” w powietrzu. Akcja filmu rozgrywa się we śnie, a raczej w wielu snach, ale Pfister zrobił wszystko, żeby alternatywne światy wyglądały realistycznie,

by zamazać granicę między jawą a snem. By każdy, kto ogląda „Incepcję”, nie wierzył własnym oczom.

**Wygra Matthew Libatique za „Czarnego łabędzia”**  
 Akademia będzie chciała jakoś „Czarnego łabędzia” docenić i jeśli Libatique wygra, nie będziemy płakać, bo wykonał w tym filmie najlepszą robotę. Fantastycznie sfilmowana i oświetlona sekwencja snu czy nieustannie powracający motyw lustrzanych odbić – to tylko niektóre wizualne atrakcje „Czarnego łabędzia”. Bardzo ciekawe są inspiracje Libatique’a, o których opowiedział w wywiadzie dla branżowego magazynu operatorów: – Chciałem, żeby film przypominał balet, a jednocześnie był tak realistyczny, jak to tylko możliwe. Dlatego oglądałem „Trzy kolory” Kieślowskiego. W tych filmach światło jest ogromnie ważne, ale zarazem wszystko wygląda niemal naturalistycznie. To rodzaj stylizowanej rzeczywistości.



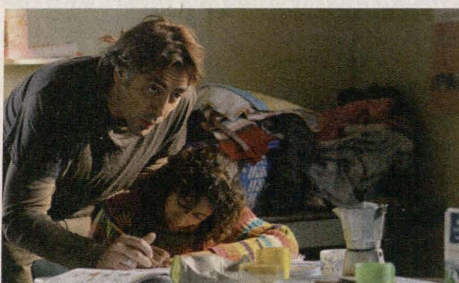
## Najlepszy film nieanglojęzyczny

↓ „Biutiful”, Alejandro González Iñárritu (Meksyk)  
 „Kiel”, Giorgos Lanthimos (Grecja)  
 „Haevnen”, Susanne Bier (Dania)  
 „Pogorzelnisko”, Denis Villeneuve (Kanada)  
 „Hors-la-loi”, Rachid Bouchareb (Algieria)

**Wygra i powinien wygrać ???**  
 Niezbadane są wyroki Akademii w tej kategorii. A jej wybory – często niezrozumiałe. Czymże urzekły akademików japońskie „Pożegnania”, które wygrały z „Walcem z Baszirem”? Jakim cudem w zeszłym roku statuetkę dostał „Sekret jej oczu”, a nie „Prorok” czy „Biała wstążka”? W czym lepsze było „Tsotsi” od „Paradise Now”?

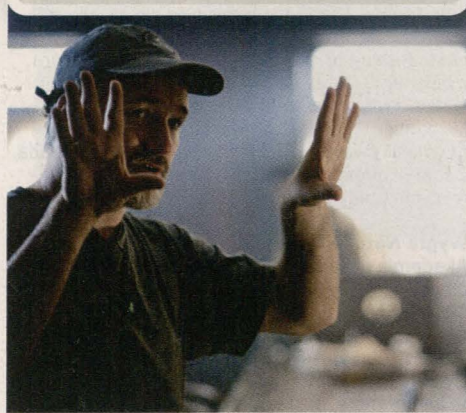
Istnieje tylko jedno wytłumaczenie – w tej kategorii Akademia nie lubi nagradzać filmów już uznanych. Chce odkrywać i promować. Dlatego spodziewamy się, że tegorocznymi faworytami mogą być z perspektywy Hollywood niszowe, na swój sposób nawet egzotyczne kanadyjskie „Pogorzelnisko” (naszą recenzję znajdziesz na s. 66) czy algierskie „Hors-la-loi”. Na nagrodę zasługuje duńskie „Haevnen”, ale jego reżyserka otrzymała Złoty Glob, a w tej kategorii Globy i Oscary rzadko przypadają tym samym tytułom.

Faworytem recenzentów „Przekroju” jest grecki „Kiel” (Against Gravity wprowadzi go prawdopodobnie latem), ale to film tak dziwny i niepokojący, że nie sądzimy, by miał szanse.



## Najlepsza reżyseria

↓ Darren Aronofsky („Czarny łabędź”)  
 Ethan Coen, Joel Coen („Prawdziwe męstwo”)  
 ↓ David Fincher („The Social Network”)  
 Tom Hooper („Jak zostać królem”)  
 David O. Russell („Fighter”)



**Powinien wygrać i wygra David Fincher**  
 Ta kategoria to prawdziwe starcie tytanów: Aronofsky, Coenowie, Fincher. Ten ostatni bez wątpienia miał więc dodatkowy powód do dumy.

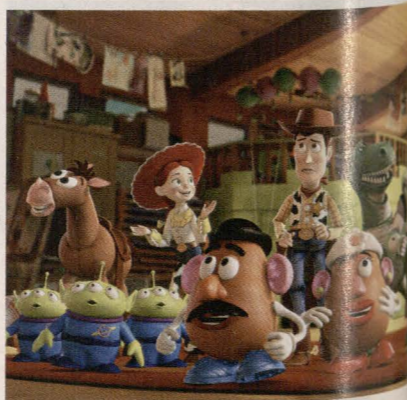
Amerkańska Akademia Filmowa zwykle przyznaje nagrodę reżyserowi najlepszego filmu, a w tym roku będzie miała jeszcze niepowtarzalną okazję zrehabilitowania się za dotychczasowe pomijanie Finchera w oscarowych rozdzianach. Jedyną jak dotąd reżyserską nominację dla niego – za „Ciekawy przypadek Benjamina Buttona” – należy uznać za przypadek wyjątkowo nieciekawych, a wręcz kuriozalnych, zważywszy na to, że mówimy o faciecie, który wyreżyserował „Siedem”, „Podziemny krąg” czy „Zodiak”. „The Social Network” to reżyserski majstersztyk, i to od pierwszej do ostatniej sceny. Ale za niesłychaną lekkością, z jaką Fincher opowiada historię, stoi mordercza wręcz precyzja. – Kiedyś jeden z asystentów Finchera pokazał mi na stole montażowym materiał z ich jednego dnia zdjęciowego: 25 różnych ujęć sceny, w której ktoś przebiega z jednej strony kadru na drugą... – opowiadał w wywiadzie dla „Przekroju” jego kolega po fachu Steven Soderbergh. – Niesamowite, że on kręcił. U niego wszystko musi być idealne. Jeszcze nie jest, dostaje obłąd.

Jesteśmy pewni, że Fincher już od tygodnia po prawia i szlifuje tekst swoich 15-sekundowych podziękowań.

## Najlepsza animacja długometrażowa

↓ „Jak wytresować smoka”  
 Dean DeBlois, Chris Sanders  
 „Iluzjonista”, Sylvain Chomet  
 „Toy Story 3”, Lee Unkrich →

**Wygra „Toy Story 3”**  
 Nieważne, kto powinien wygrać. Wygra, i to jest absolutnie pewne, „Toy Story 3”. Bo to kolejna udana animacja Pixara, a Pixar dostaje Oscara niemal za każdą swoją produkcję (vide choćby „Wall-E” i „Odlot”). Bo jeżeli animacja ma nominację dla najlepszego filmu roku, to po prostu nie może przegrać. Bo będzie to ukłon w stronę gustów widowni, dzięki której „Toy Story 3” zarobiło na świecie ponad miliard dolarów.



## Najlepszy scenariusz oryginalny

↓ „Kolejny rok”, Mike Leigh  
 „Fighter”, Scott Silver,  
 Paul Tamasy, Eric Johnson,  
 Keith Dorrington  
 „Incepcja”, Christopher Nolan  
 „Wszystko w porządku”, →  
 Lisa Cholodenko, Stuart Blumberg  
 „Jak zostać królem”, David Seidler

**Powinni wygrać i wygra Lisa Cholodenko i Stuart Blumberg za „Wszystko w porządku”**  
 Ten Oscar będzie i poprawny, i sprawiedliwy zarazem. „Wszystko w porządku” to oryginalna, napisana z pazurem komedia o parze lesbijek wychowujących dorastające już dzieci. W ich życiu nieuczekiwanie pojawia się dawca spermy, z którego usług skorzystały przed laty. Tym

razem okazuje się głównie dawcą kłopotów. Akademia nie jest rozrzutna, jeśli chodzi o przyznawanie statuetek filmom opowiadającym o homoseksualistach: „Obywatela Milka” i „Tajemnicę Brokeback Mountain” (nigdy nie wybaczymy, że „Tajemnica...” nie dostała Oscara dla najlepszego filmu; wygrało wtedy średnie „Miasto gniewu”) nagrodzono za scenariusze właśnie. Możliwe, że i tym razem akademicy podążą utartą ścieżką, demonstrując polityczną poprawność, ale nie przesadzając z entuzjazmem. Poza tym „Wszystko w porządku” nie jest szczególnie wyrotowym filmem, bo choć opowiada o mocno niekonwencjonalnej rodzinie, to odwołuje się do konwencjonalnych rodzinnych wartości. Zadwoili więc i liberałów, i konserwatystów. No i mamy zagwarantowane pozdrowienia ze sceny „dla wszystkich homoseksualnych par wychowujących dzieci”.



## Najlepszy dokument

↓ „Wyjście przez sklep z pamiątkami”, Banksy  
 „Gasland”, Josh Fox  
 „Inside Job”, Charles Ferguson  
 „Restrepo”, Tim Hetherington  
 „Śmietnisko”, Lucy Walker



**Powinno wygrać „Wyjście przez sklep z pamiątkami”**  
 To kawał świetnego kina, które równie dobrze mogłoby startować w kategorii Najlepszy film, bo jego gatunkowa przynależność jest mocno dwuznaczna. Czy to aby na pewno dokument? A może happening będący drwiną z rynku sztuki i artystycznego establishmentu?

Gdyby to Banksy dostał Oscara, mielibyśmy wreszcie zagwarantowane prawdziwe emocje podczas przewidywalnej i drętwej uroczystości w Kodak Theatre. Kto odebrałby nagrodę? W wersji banalnej – producent. W wersji hardcore’owej (a tylko takiej spodziewamy się po Banksym) – Mr. Brainwash, jego nieobliczalny bohater. Co by powiedział, odbierając statuetkę? Obawiamy się, że Amerykańska Akademia nie chce tego usłyszeć.

**Wygra „Inside Job” lub „Restrepo”**  
 Pierwszy film opowiada o kulisach kryzysu finansowego, twórcy drugiego przez 14 miesięcy towarzyszyli z kamerą oddziałowi amerykańskich żołnierzy służących w Afganistanie. Oba filmy poruszają sprawy istotne dla Amerykanów i dotyczą wielkiej polityki, a Akademia lubi sprawiać wrażenie przejętej ważnymi sprawami tego świata.

## Najlepszy scenariusz adaptowany

↓ „127 godzin”, Danny Boyle,  
 Simon Beaufoy  
 „The Social Network”, Aaron Sorkin  
 „Toy Story 3”, Michael Arndt,  
 John Lasseter, Andrew Stanton,  
 Lee Unkrich  
 „Prawdziwe męstwo”, Joel Coen,  
 Ethan Coen  
 „Do szpiku kości”, Debra Granik,  
 Anne Rosellini

**Powinien wygrać i wygra Aaron Sorkin za „The Social Network”**  
 Choćby dlatego, że stworzył jedno z najlepszych dialogów, jakie słyszeliśmy w kinie w ostatnich latach (Mark Zuckerberg do braci Winklevosów: „Jeśli to wy, chłopaki, jesteście twórcami Facebooka, czemu nie stworzyliście Facebooka?”; „Facet, który robi nowy hotel, nie jest winien pieniędzy wszystkim, którzy kiedykolwiek zrobili hotele”). Już pierwsza scena, słowny ping-pong między bohaterem i jego dziewczyną, jest po prostu kapitalna. A dalej jest tylko lepiej!

– Nie wiedziałem niczego o Marku Zuckerbergu przed przystąpieniem do pracy. Szczerze mówiąc, w ogóle o nim nie słyszałem – przyznał w jednym z wywiadów autor rewelacyjnego scenariusza. Tekst powstał na podstawie książki Bena Mezricha „Miliarderzy z przypadku”. Lektura zaledwie trzech pierwszych stron wystarczyła, by Sorkin powiedział „tak”. To była oscarowa decyzja.

## Najlepsza muzyka

↓ „127 godzin”, A.R. Rahman  
 „Jak wytresować smoka”, John Powell  
 „Incepcja”, Hans Zimmer  
 „Jak zostać królem”, Alexandre Desplat  
 „The Social Network”, Trent Reznor, Atticus Ross

**Powinni wygrać Trent Reznor i Atticus Ross za „The Social Network”**

Rahman dopiero co dostał Oscara za film „Slumdog. Milioner z ulicy”. Powell skomponował typowo hollywoodzką muzykę (zabrzmiało jak rekomendacja?!), kompozycja Zimmera zmęczyła nas swoją ponurą bombastycznością (choć genialnie bawi się w filmie piosenką Piaf „Non, je ne regrette rien”, przetwarzając ją na różne sposoby). Lider Nine Inch Nails Trent Reznor i producent płyt tej kapeli Atticus Ross wykonali kawał świetnej roboty; dynamiczna, zróżnicowana i niebanalna muzyka to kolejna mocna strona „The Social Network”. Tylko czy Akademia jest gotowa nagrodzić muzyków, którzy na co dzień mają niewiele wspólnego z branżą filmową i których kompozycje odbiegają znacząco od hollywoodzkich standardów?

**Wygra Alexandre Desplat za „Jak zostać królem”**

Akademia lubi przyjemne dźwięki przez niektórych zwane „muzyczną datą”, a Desplat jest mistrzem w tworzeniu delikatnych, łatwo wpadających w ucho melodii. To on skomponował muzykę do „Dziewczyny z perłą”, „Malowanego welonu”, „Królowej” i „Zmierchu. Księżyc w nowiu”. Ma już na koncie cztery nominacje, więc już wystarczająco się naczekał. Choć jeśli naprawdę za coś należy mu się Oscar, to przede wszystkim za pracowitość – w 2010 roku skomponował ścieżki dźwiękowe nie tylko do „Jak zostać królem”, ale też do „Autora widmo”, „Tamary i mężczyźni”, „The Special Relationship”, „Largo Winch II”, „Insigniów śmierci”, „The Tree of Life”. Żeby tylko podczas gali podziękował właściwym osobom!



# Ariergarda narodowej kultury

W mrocznych latach 80. walczyli z ZOMO, anarchizowali, tworzyli nową muzykę i dopisywali ważny rozdział wątej historii polskiego dadaizmu. Ludzie gdańskiej alternatywy robili rzeczy, o których wtedy mało komu śniło się między Łabą a Władystokiem

MARCIN SENDECKI

Tak to zwykle wygląda – najpierw jest rewolucja, a potem, po latach, spisuje się wspominki i dokumentuje dokonania ruchu. Wraz z dokumentacją pojawia się wiekopomna, melancholijna kwestia: Ach, gdzie są niedysyjsze śniegił, oraz równie tradycyjne pytanie, co nam zostało z tych lat. Po „gdańskiej alternatywie lat 80.”, bo o niej będzie tu mowa, zostało tyle, że starczyło na ogromną księgę. Opublikowało ją Narodowe Centrum Kultury, co mu się bardzo chwali, tym bardziej że cały pierwszy nakład (700 egzemplarzy) postanowiło wspinałomyślnie rozdać potrzebującym, więc kto ciekaw, niech się w te pędy zgłosi na Senatorską 12 w Warszawie albo skontaktuje z wydawcą przez stronę [www.nck.pl](http://www.nck.pl). Książkę (ubogacaną bezcennym materiałem ilustracyjnym) napisali – każdy po kawałku – Krzysztof Skiba, Paweł Konjo Konnak i Jarek Janiszewski, czyli prominentni uczestnicy ząębających się, aczkolwiek w istotnych punktach odrębnych nurtów trójmiejskiego (i nie tylko) podziemia (oraz niewysokiego nadzieimia) artystyczno-politycznego.

Janiszewski – jego część ma długi tytuł „Pan da siłę swojemu ludowi», a punk dał siłę mojemu ludowi”, lecz jest najkrótsza i chyba najbardziej czywista – relacjonuje stan ducha i przygody muzycznej młodzieży, która w ciemnych latach komuny, nie czując szczególnego nabożeństwa do pieśni Jacka Kaczmarskiego, realizowała się w różnogatunkowych formacjach, takich jak Bielizna, Apteka,

Pancerne Rowery, Szelest Spadających Papierków, Sni Sredstvom za Uklanianie czy Dzieci Kapitana Klossa.

Skiba pisze historię młodzieżowej anarchistycznej opozycji najdłuższymi korzeniami sięgającej czasów przedsolidarnościowych. Jej najważniejsza emanacja – Ruch Społeczeństwa Alternatywnego – wciąż mniej jest obecna w powszechnej świadomości niż późniejsze (personalnie powiązane z resztą z RSA) pacyfistyczne Wolność i Pokój czy rozrywkowa Pomarańczowa Alternatywa, a przecież Skiba swego czasu sporo z Ruchem namieszał, o czym sumiennie i ze swadą opowiada. Szczególnie spektakularnie było oczywiście 1 maja 1985 roku, kiedy RSA rozbił oficjalną demonstrację i wdał się w skuteczną walkę z siłami porządkowymi, co szeroko komentowano i nawet centralny organ solidarnościowego podziemia „Tygodnik Mazowsze” zaczął dostrzegać „punków w kominariakach, którzy bili ZOMO”.

Jeszcze po latach, zimą 1989 roku, ze słusznym entuzjazmem wspominało (w nocy „Alternatywa” podpisanej inicjałami P.S.) w „bruLionie”: „Trudno by było znaleźć ludzi bardziej zaskoczonych. Chłopcy z ciężkozbrojnego ZOMO zdążyli się już przyzwyczaić, że demonstrujący po 13 grudnia 1981 roku tłum był wobec nich właściwie bezbrony. Wystarczyło rozbić czoło demonstracji, by potem rzecz sprowadzała się do indywidualnych pogoni, nieprzytomnych pałowań i łowów na zakończenie dnia ciężkiej, było

nie było, pracy. Jednak tego pierwszego w Gdańsku [...] przeżyli szok. Nie oni atakowali. Zostali zaatakowani. Naprzeciw stali ich rówieśnicy. Zorganizowani. Dowodzeni. Zamaskowani. Członkowie Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego”.

I na tym skończmy chwalebny historię polskiego – po resztę proszę sięgnąć do tomu Skiby – by skupić się na spisanej przez Konją odysei Totartu, jednej z najprzedniejszych formacji kulturalnych w naszych dziejach. Jej publiczna historia zaczęła się od happeningu „Miasto – Masa – Masarnia” w kwietniu 1986 roku w auli gdańskiego uniwersytetu i trwa – co najmniej w charakterze nawiązań do ówczesnych tradycji – aż do dziś. Ten plastyczno-muzyczno-teatralno-słowno-metafizyczny kabaret, który wykreował własny język, styl i teoretyczne zaplecze, skutecznie odbijał się zarówno od kultury oficjalnej jak i oficjalnej kultury podziemnej. Amunicją były: prowokacja, absurd, wulgarność, łapanie niskiego ze wzniosłym, ogólne udawanie Greka, niekiedy radykalne sceniczne przekroczenia. Radosna twórczość (również w przerośnym sensie tego wyrażenia), lecz także próba nowego zdefiniowania relacji między artystami a publicznością. Mówiąc o sobie „Jesteśmy ariergardą narodowej kultury, panujemy, by nikt nie wyróżzał jej w dupę”, autorzy tłumaczyli: „Miano »ariergarda« przy wykładni ideowo-ironiczno-humorystycznej niesie ze sobą zamiar uczynienia akcielementarnej równowagi w obliczu rozpraszania się, a przez to uwiądnięcia spuścizny spolitowania i naturalnej agonii awangardowej kultury. Co – poza wykładnią ironiczno-humorystyczną – oznaczało także pracę u podstaw, w nadziei niekoniecznie wyrobionej publikę, która stosując metodę akcji bezpośredniej, bombardowano czymś zgoła odmiennym od problematycznej, uznanej twórczości. (Był zresztą, Totart i jego grupa poetycka Złoty Mi Się Do Środka, niewątpliwym prekursorem poetyckiego slamu – i do dziś Lopez Brzóska to niekwestionowani czempioni publicznych lirycznych objawień).

Przez podlegający różnym ewolucjom tart przewinęło się kilkadziesiąt osób, z których nie wypada nie znać (także z pozostawionych, równoległych i późniejszych zatrudnień) samego Konją, głównego twórcy i założyciela Zbigniewa Sajnoga, Artur Kozdrowskiego, Darka Brzóska Brzóska, Pawła Paulusa Mazura, Lopeza Maus-



Takie były zabawy w one lata: **Konjowy kolaz** dokumentujący różne totartowe i okołototartowe ujawnienia

(czyli Wojciecha Stamma), Ryszarda Tymona Tymańskiego czy plastycznej formacji Yo Als Jetz.

U progu lat 90. doszło do znaczącej koalicji między Totartem a „bruLionem”, który również chciał wstrząsać posadami narodowej kultury. Zaowocowało to publikacjami – do dziś pamiętany i wypominany jako historyczne bezceństwo wierszyk Sajnoga „Flupy z pizdy” ukazał się w styczniu 1990 roku, ale ważniejsze były książki Brzóska „Haiku” w sławnej fioletowej serii), Lopeza (poetycki „AIDS, czyli szwedzki ogród koncentracyjny”) czy powieść (napisali ich totartowcy zresztą wiele, często kolektywnie) Kozdrowskiego „Tomek w poszukiwaniu Tomka na piętach Smugi”. Totart wkroczył też triumfalnie do telewizji z programem „Lalymido” i „bruLionowymi” produkcjami „Alternatywa TV” i „Dzyndzylyndzy”, których smętne (choć bardzo wesołe) resztki błąkają się dziś

na YouTube. Znalazło się też miejsce dla totartowych idei w postaci wydzielonej sekcji efemerycznego, acz niezapomnianego „Tygodnika Literackiego”.

Jak to się skończyło, można przeczytać w dawnej prasie: Sajnog oddalił się w rejony nieledwie demoniczne, związał z sektą Niebo, przez czas jakiś uważano go nawet za zmarłego, lecz powrócił i podobno w Gdańsku samotnie pracuje nad jakimś fundamentalnym dziełem. Robert Tekieli, szef „bruLionu”, poprowadził zaś pismo w stronę ostrego katolicyzmu, po czym przeszło ono do historii. Totart natomiast rozpierchnął się. Tymon tworzył yass i zaznał chwały z grupą Miłość oraz wieloma innymi składami, inni pisali, komiksowali, trochę – ale zwykle z wdziękiem chałturzyli. Tworzą dalej. „Walka trwa” – powiada Konjo. I dzieło jakoś trwa

– nierówne, zajmujące, godne pamięci. Jest więc pamiątkowa księga (mimo wszystko ledwie muskająca totartową górę) i na pocieszenie deklaracja Konją, że będzie kontynuować wznawianie i umasowianie dorobku Totartu.

Ale trzeba powiedzieć sobie prawdę w oczy: szansa na gruntowniejsze zmiany w naszej kulturze i uznanie żywotnej roli jej totartowej ariergardy (podobnie zresztą jak paru innych antyestablishmentowych impulsów) to sprawa dawno miniona. Czyli jest bezpiecznie i rozbrojonych partyzantów można do woli klepać po ramieniu. Można nawet powiedzieć, że są fajni, bo to już nic nie kosztuje. Maluczko, maluczko, a może nawet znajdują się jakieś ordery?



„Artyści, wariaci, anarchiści” Krzysztof Skiba, Jarosław Janiszewski, Paweł Konjo Konnak, Narodowe Centrum Kultury, Warszawa 2010, s. 424



# Polatałabym



Z AGNIESZKĄ GLIŃSKĄ  
ROZMAWIA  
TADEUSZ NYCZEK

## Agnieszka Glińska

43 lata, wrocławianka w Warszawie. Aktorka, reżyserka, pedagog. W 1990 roku ukończyła Wydział Aktorski PWST w Warszawie, cztery lata później na tej samej uczelni (dziś Akademia Teatralna) – reżyserię dramatu. Zagrała w kilku filmach bez znaczenia i jednym bardzo ważnym – „Katyniu” Andrzeja Wajdy. Jedyną główną rolę gra do dzisiaj – we własnym spektaklu „Lekkomyślna siostra” w warszawskim Teatrze Narodowym (premiera 2009 rok). Od debiutu w 1992 roku (Opole – „Arlekinada” Rattigana) wyreżyserowała co najmniej kilkanaście przedstawień, które odniosły prawdziwy sukces i wyrobiły Glińskiej markę jednej z najlepszych i najzdolniejszych inscenizaterek młodośredniego dziś pokolenia. Pracowała w Krakowie i we Wrocławiu, ale główne premiery zrealizowała w Warszawie, między innymi „Korowód” Schnitzlera, „Opowieści Lasku Wiedeńskiego” Horvátha, „Kalekę z Inishmaan” McDonagha, „Bambini di Praga” Hrabala, „Testosteron” Saramonowicza, „Norymbergę” Tomczyka, „Pippi Pończoszanek” według Lindgren, a także kilka sztuk Czechowa. Współpracuje również z Teatrem Telewizji. Bardzo wszechstronna, w życiowych planach ma zajęcie się filmem. 4 lutego w warszawskim Teatrze Na Woli odbędzie się premiera „Amazonii” Michała Walczaka w jej reżyserii.

O różnicach między kompromisem a konformizmem, aktorstwie niedzielnym oraz irytacji, gdy nazywają ją dziewczynką, opowiada  
**AGNIESZKA GLIŃSKA**, aktorka i reżyserka

**Przyjmijmy, że społeczeństwo niewiele wie o życiu teatralnych reżyserów, a co dopiero reżyserek. Jak wygląda dzień kogoś takiego?**

– Kobieta reżyser teatralny wstaje przed 7 rano, robi dziecku śniadanie...

**Jednemu? Bo, zdaje się, masz dwoje.**

– Dziecku dziewczynce, 8-letniej. Starsze jest męskie, 17-letnie, i chodzi do liceum w Anglii. Tutaj jakoś nie bardzo mógł się dogadać ze szkołami. Niemilosiernie się nudził. A ponieważ świetnie mówi po angielsku, znaleźliśmy pod Cambridge dobrą szkołę publiczną. W przyszłym roku robi maturę. Bardzo jest zadowolony.

**Idźmy dalej. 8-letnie dziecko w Warszawie zjada śniadanie...**

– ...i idzie do szkoły. Akurat dzisiaj poszło, bo nie zawsze idzie.

?

– Bo chore albo na przykład ja nie mam próby w teatrze i wtedy robimy sobie wagi. Za dużo się nie widzujemy i czasem takie wolne obu nam się przydaje. Ale normalnie to lecę na próbę, od 10. Wcześniej jakieś zakupy, dziś jeszcze apteka, takie tam. O 2 próba się kończy. Między 2 a 3 coś w biegu zjeść i na zajęcia ze studentami do szkoły teatralnej. Dzisiaj wyjątkowo nie mam wieczornej próby ani spektaklu, więc mogłam się umówić z tobą. Normalnie tryb mam 12-godzinny, bo jeszcze jakaś logistyka: kto odbierze ze szkoły Jankę, ja czy mąż; kiedy ktoś z nas musi przy niej posiedzieć, by dopilnować gry na skrzypcach, kto ma ją zaprowadzić na angielski i przyprowadzić...

**Bywasz kiedyś w domu?**

– Gdy nie przygotowuję żadnej premiery, to tak, jasne. Do znużenia. Ale generalnie raczej jestem w biegu. W amoku, można powiedzieć.

**To kontakt z dzieckiem bardziej taki sobie...**

– Różnie. Staram się, ale mogłoby być lepiej. Z Frankiem było podobnie, zwłaszcza kiedy

był mały. Zawsze jakoś tak zacharzanieliśmy. Ale gdy się przyłoży odpowiednio proporcji to ten wspólnie spędzony czas rekompensuje nam braki. Naprawdę się staram. Dzieci nie są zapuszczone ani pozbawione matki, bez przesady. Oczywiście czuję się rozzerwana między tym, jak wygląda moje życie, a wzorcami i cierzyństwem, które wyniosłam z domu. Mąż pracował, ale tak jakoś na boczku, bo w zasadzie cała poświęcała się rodzinie. A ja na przykład nie gotuję, kompletnie się do tego nie nadaję. Dlatego albo Krzysiek gotuje (Krzysztof Stelmazyk, aktor, mąż Glińskiej), albo jem na mieście.

**A właśnie, mąż aktor. Jak to jest mieć aktora w domu? W teatrze reżyser to bóg ojciec, aktor jest od wykonywania zadań. A w waszym przypadku ojciec to na dodatek kobieta. Jak dajecie sobie z tym radę w domu?**

– Super. Świetnie się dogadujemy. Bardzo lubimy ze sobą pracować. Mamy podobny gust, poza tym lepiej niż ktokolwiek wie na co Krzyśka stać, co może jeszcze ciekawego na scenie pokazać.

**Kłóciecie się czasem?**

– Jeśli chodzi o sprawy teatralne, to nie.

**Jesteś racjonalistką czy wierzysz w astrologię?**

– Jedno i drugie. A co?

**Szperając tu i ówdzie w materiałach o tobie**

– bo choć się znamy, to przecież nie aż tak

– znalazłem horoskop, który jakiś maniak

ułożył dla ciebie. Słuchaj, czy się zgadza:

urodziła się 18 lutego 1968 we Wrocławiu...

– Dotąd się zgadza. Jestem Wodnik jakbyś

Dalej jest tak, że jesteś „żywiół aktywny”,

„wulkan niewyczerpany”, masz „talent

uwodzenia mężczyzn tak samo jak uwodzenia

widzów w teatrze i jesteś bardzo skuteczna

w docieraniu do ludzkich emocji”. Poza tym

Wodniki są „albo nieśmiałe, albo agresywne

i głośnie. Nie mają uprzedzeń i potrafią spojrzeć

na problem z punktu widzenia innej osoby.



Reżyseria jest fajna. Można coś stwarzać, budować jakąś gęstwinę ludzką, szukać relacji... Przede wszystkim jest to forma kontaktu z ludźmi. Przez twórczość. Coś wspaniałego. Niczego więcej wtedy nie potrzebuję

AGNIESZKA GLIŃSKA



→ **Lubią przebywać w samotności i modlić się, jeśli są religijne”.**

– Agresywna nie jestem. Lubię przebywać w samotności, choć nie jestem religijna.

**„Często mają zdolności dramatyczne, aktorskie. Dobrze się sprawdzają w zawodach: fotograf, pilot, pisarz, nauczyciel, aktor”.**

– O, pilot! Najbardziej mi się podoba ten pilot. Polatałabym.

**Wolałabyś być pilotem niż reżyserem?**

– Jak już, to najbardziej chciałabym być lekarzem. Ale pilotem mogłabym być.

**A lekarz skąd?**

– To jedyny zawód, który ma sens. Taki naprawdę głęboko ludzki sens.

**Ciekawe, bo w podobnej rozmowie to samo powiedział mi kiedyś Andrzej Łapicki.**

– Tak? No bo cały ten teatr to trochę takie kisznie kapusty. Wszyscy jesteście jakby odszczepieńcy, nie? Ja wiem, to jest fajne, ale

głównie polega na lataniu nad ziemią, bez specjalnego styku z rzeczywistością. Niby konstruujemy sobie jakąś własną rzeczywistość, ale to jest w sumie zabawa dla niewielu.

**To dlaczego nie zostałaś lekarzem?**

– Właściwie przez przypadek. Całe liceum wybierałam się na medycynę. Dwie rzeczy zdecydowały, że w końcu nie poszłam. Jedno, że cała klasa chciała iść na medycynę i to mnie strasznie wkurzyło, bo co będę jak wszyscy. A drugie, że

chciałam na studia wyjechać z domu. Wymyśliłam sobie najpierw japonistykę, a potem jakoś tak kompletnie przez przypadek znalazłam się w szkole teatralnej.

**Jako aktorka.**

– No tak. Nie przychodziło mi w ogóle do głowy, że można iść na reżyserię. Zresztą w tamtych czasach, żeby pójść na reżyserię, trzeba było już mieć jakieś studia.

**Dlaczego potem rzuciłaś aktorstwo?**

**W zasadzie zarzuciłaś, bo czasem jednak grywasz.**

– Nie umiałabym być człowiekiem do wynajęcia. Zdałam sobie z tego sprawę na czwartym roku. Grałam w dyplomie, siedziałam w garderobie i nagle pomyślałam sobie: to tak ma wyglądać moje życie? W najlepszym razie? Czekać w garderobie na swoje wejście? Nie o to mi chodziło.

**A reżyseria to było to, o co chodziło? Bo jest się panem i władcą? Bo się decyduje samemu o sobie i innych?**

– Reżyseria jest fajna. Można coś stwarzać, budować jakąś gestwinę ludzką, szukać relacji... Przede wszystkim to jest forma kontaktu

z ludźmi. Przez twórczość. Coś wspianego. Niczego więcej wtedy nie potrzebuję. Żadnego życia towarzyskiego. Wszystko się w teatrze mieści.

**Widziałem cię w życiu tylko w dwóch rolach aktorskich, ale obie bardzo mnie zafrapowały. Najpierw zagrałaś dyrektorkę szkoły u Wajdy w „Katyniu”. Wajda słynie z tego, że obsadza aktorów bardzo intuicyjnie, „po charakterach”, szuka specjalnych związków między...**

– Nie, to nie tak! Było całkiem inaczej! Jeszcze kiedy byłam na reżyserii, Wajda miał z nami zajęcia. I wciąż mi mówił: niech pani nie reżyseruje, niech pani gra! Po co pani ta reżyseria? Ja się unosiłam, obrażałam, że co on tak, a właśnie, że będę reżyserem... Potem przy różnych okazjach wciąż mi powtarzał: niech pani gra! Niech pani gra! A ja, że nie, nie będę grała i już. Później tak się złożyło, że chodziłam do jego

**” Jeszcze kiedy byłam na reżyserii, Wajda miał z nami zajęcia. I wciąż mi mówił: niech pani nie reżyseruje, niech pani gra! Po co pani ta reżyseria?”**

AGNIESZKA GLIŃSKA

szkoły filmowej, bo marzyło mi się zrobić coś dla filmu, i on akurat robił „Katyni”, i mówi: mam dla pani rolę! Aha, powiedziałam, jak ma pan dla mnie rolę, to gram. I zagrałam.

**Ciekawi mnie, dlaczego właśnie tobie dał tę rolę – w tym jednym z powojennych wątków „Katynia”? Czy są parszywe, komuniści bezwzględnie zaprowadzają w Polsce swoje porządki. Mamy dwie siostry. Starsza, nauczycielka, konformistka, wybiera pracę u podstaw. Nie chce z nikim i z niczym walczyć, wie, że to beznadziejne. Druga, wojownicza, wierna sobie i konsekwentna, wybiera walkę aż do zatrącenia. Zagrałaś konformistkę.**

– Jest cienka granica między konformizmem a mądrym kompromisem. Mnie to interesowało, co i jak myśli ktoś taki, kto nie leci z gołą głową na czołgi, ale próbuje coś przechować, uratować. Niech następne pokolenia poniosą to dalej. To mi się wydawało po prostu mądrzejsze, rozsądniejsze. Zwłaszcza na tle tamtych czasów. Nie bałam się, że moja Irena będzie jednowymiarowa czy źle oceniana. Dostałam potem dużo dobrych głosów. Takich, że straszna baba, zdrajca, potwór, ale też

że ciekawa, niejednoznaczna postać, że generalnie miała rację. Nawet pan Andrzej potęmił mi powiedział, że nie spodziewał się, iż to zagram, w tę stronę.

**Świetnie to zrobiłaś. Jedną z najlepszych ról w całym „Katyniu”.**

– No i zobacz: nie grałam, nie grałam, a gdy zagrałam, to u Wajdy. Mogło być gorzej.

**Druga rola kompletnie inna: tytułowa w „Lekkomyślnej siostrze” Perzyńskiego, którą sama wyreżyserowałaś w Narodowym w 2009 roku. Ta Mania to jakby antyteza Ireny z „Katynia”: urwała się mężowi, zostawiła małe dziecko, poleciała w świat za facetem z forsą...**

– Manię rozumiem. Strasznie by coś chciała, ale nie wie jak.

**To jak, tamtą konformistkę rozumiesz i tę nonkonformistkę rozumiesz?**

– Rozumiem! I tę, i tamtą.

**Ale któraś chyba musi być ci bliższa? W Perzyńskim sama siebie obsadziłaś, pierwszy raz w życiu, co to musiało znaczyć?**

– Tak naprawdę to Janek Englert mnie obsadził (aktualny dyrektor Teatru Narodowego, ja ktoś nie wie). Cały czas mu mówiłam, że tu nie ma nikogo do tej roli, a on: no to ty zagraj. Akurat zobaczyłam wtedy „Dwa dni w Perzynie” Julie Delpy. Sama napisała scenariusz, sama wyreżyserowała i zagrała. Świetny film, taki woodyallenowski trochę. Zobaczyłam go i pomyślałam sobie: kurczę, co ja się tutaj kryguję, kokietuję. Skoro ona mogła napisać, wyreżyserować i zagrać, to ja nie mogę.

No i zagrałam. Ale to robota na raz, nie potworzyłabym tego. Być jednocześnie twórcą i tworzywem to nie jest dobry pomysł. Cały wiek się zapętla i zaczyna mieć nie po kobiecie podczas roboty. Chociaż lubię grać tę Maniariatkę.

**Czyli jesteś tak zwaną aktorką niedzielną.**

– No tak. Ale... Wiem już teraz na przykład bez zbytniej skromności, że coś mnie jednak wyróżnia na tym naszym aktorskim rynku. I jakąś ciekawą rolę filmową zagrałabym po prostu nie tak jak nikt inny. Tylko nie widzę takich szans i na razie nikt nie wpadł na pomysł, żeby Głińską w czymś oryginalnym obsadzić.

**Uwaga, reżyserzy, aktorka do odkrycia!**

– O, żeby zaraz aż tak... Poza tym wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma.

**A u Saramonowicza byś zagrała?**

– (Agnieszka wybucha śmiechem) Nie ma opanowanej. Z Czechowem mogłabym iść przez życie. Podobnie widzimy ludzi. W podobnym miejscu ustawiamy kamerę na świat. On jest taki przenikliwy i... (Agnieszka długą chwilę się zastanawia) ...i czasem myślę, że nie warto nic innego wystawiać w teatrze. To jest oczywiście nieprawda, warto na przykład robić Szekspira, ale ja nie umiem. Warto robić Becketta, ale też nie wiem, jak dziś powinno to wyglądać.

**Dlaczego? Wystawiłaś przecież jego dwie sztuki. „Testosteron” i „Montownią to był wspaniały wielki sukces, lata szedł kompletami.**

– No tak, ale on wtedy nie był żadnym znanym filmowcem. Po prostu zrobiłam z chłopakami śmieszny spektakl i tyle.

**A propos „Testosteronu”, satyra na erotyczne żuki facetów – taki, powiedzmy, feminizm to jest dla ciebie jakaś sprawa?**

– Jeśli pytasz generalnie, to jest sprawa i w naszym kraju jeszcze długo będzie. A jeśli pytasz o doświadczenia kobiety reżysera, to nauczyłam się sobie z tym radzić. Jedyne, co mnie nagradza, to to, że po prawie 20 latach pracy w teatrze jestem „dziewczynką”. Mam 43 lata. Agnieszka Zawadowska, scenografka, z którą pracuję, podobnie. A wciąż słyszymy: no jak tam, dziewczynki? Ile trzeba mieć lat, żeby przestać być dziewczynką?

**Czy jest jakieś pokrewieństwo dusz ze swoimi rówieśnikami? Jarzyną, Warlikowskim, Miśkiewiczem, Klatą? Oni w większości wyszli spod ręki Krystiana Lupy i choć dzisiaj osobni, piętno pewnego pokoleniowego stylu da się w nich wyznaczyć. A ty wyglądasz na kogoś całkiem osobnego, pod różniczkę po bardzo rozmaitych terytoriach.**

– Ja właściwie też zaczynałam w Krakowie, w Starym robiłam swoje pierwsze spektakle. „Lunatyków” Krystiana, których wtedy oglądałam, do dzisiaj uważam za najważniejsze przedstawienie w życiu. Otworzyło mi oczy na teatr, czym może być i tak dalej. Przesiałam Krakowem, tamtą atmosferą. Zawsze jednak wolałam chodzić swoimi ścieżkami. Lubię robić spektakle, które sama chciałabym oglądać. I nie zawsze to jest to, co „powinno” być, żeby gdzieś przynależeć.

**Wiesz swojego mistrza?**

– Peter Stein. Bardziej z rozmów z nim niż z widzianych przedstawień, ale tak. Peter Stein. Do dzisiaj noszę przy sobie wywiad z nim zrobiony dla „Wyborczej” przez Pawłowskiego z 10 lat temu. Znam go na pamięć. On tam powiedział wszystko, co najważniejsze, o teatrze, przede wszystkim o Czechowie.

**Czechow to twoje spécialité de la maison. Prawie całego wystawiłaś, niektóre dramaty po parę razy.**

– Nie zrobiłam „Wujaszka Wani” ani „Iwanowa”. Z Czechowem mogłabym iść przez życie. Podobnie widzimy ludzi. W podobnym miejscu ustawiamy kamerę na świat. On jest taki przenikliwy i... (Agnieszka długą chwilę się zastanawia) ...i czasem myślę, że nie warto nic innego wystawiać w teatrze. To jest oczywiście nieprawda, warto na przykład robić Szekspira, ale ja nie umiem. Warto robić Becketta, ale też nie wiem, jak dziś powinno to wyglądać.

**A z Czechowem spotykam się w dowolnym momencie swojego życia i zawsze się dogadujemy. I zawsze się od niego uczę.**

**Ze swoimi studentami Akademii Teatralnej też wystawiłaś Czechowa. Naprawdę tacy**

**młodzi ludzie mogą coś z niego pojąć? Czechow zawsze wydawał mi się bardzo dla dorosłych.**

– Absolutnie tak. Ci, którzy przychodzą do tej szkoły, mają dość specjalną wrażliwość, która pozwala im zrozumieć z natury człowieka trochę więcej, przecież to ich praca. Najważniejsze to dobrze Czechowa przeczytać. Wydaje mi się, że ja umiem i potem potrafię to czytanie im przekazać.

**Jak długo tu uczysz?**

– Ponad dychę.

**Widzisz jakieś różnice między studentami sprzed dekady a tymi dzisiejszymi?**

– Coraz większa jest na przykład trudność komunikacyjna na bazie podstawowych lektur. Nie czytali, nie widzieli. Zawsze zaczynam od tego, że na początku roku daję im na przykład listę filmów, które muszą zobaczyć, żebyśmy mogli się dogadać. Jesteśmy w jakimś ciemnym lesie z edukacją. Chociaż mają o wiele lepszy dostęp do wiedzy niż my kiedyś.

**To prawda, ale z drugiej strony ta wiedza, choćby w postaci kultury masowej, ma znacznie lepszy dostęp do nich.**

– I robi im z mózgow galaretkę. Mnie na przykład bardzo szkoda, że nie widzieli pewnych przedstawień i mają do zobaczenia tylko to, co mają do zobaczenia. Brakuje nam wspólnych odniesień.

**Za chwilę, dokładnie 4 lutego, w Teatrze Na Woli odbędzie się twoja najnowsza premiera – „Amazonia”. Już nie Czechow, nie Horváth, nie Perzyński ani Auster, tylko jeden z młodych naszych dramaturgów Michał Walczak. Sztuka maksymalnie współczesna.**

**Trochę o tym, o czym teraz mówimy.**

– O dziewczynach i chłopakach, którzy skończyli taką szkołę jak ta nasza teatralna i nie bardzo wiedzą, co dalej w życiu robić. Jak się znaleźć w tak zwanej naszej rzeczywistości.

**Chcieliby robić coś bardzo ambitnego, nauczono ich w szkole, że trzeba bić się o wysoką sztukę, ideową i czystą, a tu nie ma z czego czynszu zapłacić i trzeba pochodzić po ulicy przebrany za kufel piwa albo plastikową pizzę. W najlepszym razie zagrać w kołtuńskim serialu.**

– No tak. To jest utkane z naszego bólu bardzo tu i teraz, że tak powiem. Robię to z myślą o nich i trochę o samej sobie też.

**Mogę coś zacytować? „A może Polska jest krajem pozbawionym rozmachu? Ze złym klimatem? Kapryśną pogodą? Może wszystkiemu są winne skoki ciśnienia i wystarczy się przenieść do ciepłych krajów, gdzie będą się prawdziwi, bardziej witalni, pogodniejsi, radośni? Może wystarczy przenieść Polskę do Amazonii?”.**

– Co to jest? Skąd to wzięłeś?

**Z sieci. Wypowiedź autora przed premierą. Jak lubię Walczaka, to to przecież brednie jakies.**

– Ojej, coś pohulał! Przecież w ogóle nie o to chodzi. „Amazonia” jest o bezradności ludzi, przyszłych czy niedoszłych artystów, których ten świat jakoś wsysa. Jak nie sekcjarstwo, to telewizyjna machina do przeżuwania i wypływania. Walczak pisze o swoich rówieśnikach, którzy wchodzą w świat z nadzieją, że mają jakiś wybór – powiedzmy między sztuką a chałturą. Ale okazuje się, że właściwie żadnego wyboru nie ma. Biedni są. Bo jeśli ten nasz polski mozół transformacyjny pod względem gospodarczym w miarę się udało, to w sprawie kultury wszystko się pomieszało i nic nie rozwiązało. Była wielka zawierucha, potem trzeba było rozsypane kawałki odnaleźć i poukładać, ale źle poprzyczepiano naklejki na różne rzeczy i nie da się tego od nowa zlepować. Nie wiadomo, jak i co myśleć dzisiaj o kulturze, o sztuce. Czy to jest dobro narodowe, czy zwykły produkt handlowy? Gdybym siedziała w szpitalu i leczyła ludzi, widziałabym w tym jakiś konkretny sens. A teatr, sztuka... To jest jakieś robienie wody z mózgu. Czasami chadzam jeszcze do teatru. Zdarzają się rzeczy, które mi się podobają. Pojedyncze. Ale generalnie nie wyrabiam.

**Wszyscy dookoła, zwłaszcza młodzi reżyserzy, głoszą, jaki ten świat jest porzbijany.**

**Rozpacz i dno, nic się kupy nie trzyma, więc nie ma co opowiadać historii z początkiem i końcem. Też tak myślisz?**

– Uwielbiam opowiadać historie! Nie kumam zdekonstruowanego teatru. Ludzie nigdy się nie znudzą opowiadaniem historii. Ważne tylko, żeby forma nie była archaiczna, sztamkowa i żeby wynikała z czasów, w których żyjemy. No i cały czas pamiętam, czego nas uczyła Maja Komorowska: że zawsze na końcu trzeba dać nadzieję.

**Dlatego biegasz po różnych gatunkach? Od ciemnego dramatu, przez komedię, po teatr dla dzieci?**

– Jiří Menzel pytany, dlaczego robi tylko komedie, powiedział, że gdy się robi komedię, to od razu wiadomo, czy jest zła, czy dobra. A gdy się weźmie inny tekst i wszystko spierdoli, to zawsze można powiedzieć, że tak właśnie miało być. A dzieci? Dzieci to najgenialniejsza widownia i sama radocha robić coś dla niej.

**Po co ci teatr?**

– Żeby nie zajmować się życiem.





## Mary Poppins z aparatem

Kim była Vivian Maier? Ekscentryczną guwernantką, która kochała ambitne kino i teatr. A po godzinach fotografowała Amerykę. Jej zdjęcia odkrył pewien agent nieruchomości krótko przed jej śmiercią. Dziś są światową sensacją

KUBA DĄBROWSKI

**T**ę historię trzeba opowiadać chronologicznie. Miejsce akcji to Chicago, czas – jesień 2007 roku. 26-letni John Maloof pracuje jako pośrednik w handlu nieruchomościami. W czasach kryzysu i spowolnienia rynku jak większość przedstawicieli jego zawodu dysponuje nadwyżką wolnego czasu. Razem z przyjacielem Danielem Pogorzelskim zabiera się więc do napisania książki o historii polskiej dzielnicy Portage Park. Na publikację mają się składać teksty oraz reprodukcje archiwalnych pocztówek i rodzinnych fotografii. W wolnych chwilach Maloof chadza na targi staroci i aukcje, gdzie sprzedawany jest tego typu asortyment. Skupuje pozostawione w komunalnych domach pamiątkowe albumy, pudełka po butach pełne fotografii z wycieczek i urodzin. Na jednej z takich aukcji trafia na prawdziwą perełkę – karton zawierający na oko kilkaset klisz, w tym kilkadziesiąt niewywołanych, plus średnioformatowe zdjęcia z lat 40. i 50. Niezła gratka. Maloof płaci 400 dolarów. W domu okazuje się, że negatywy to niezupełnie to, o co mu chodziło. Nie ma na nich rodzinnych

zdjęć ani nawet pejzaży z Portage Park, tylko uliczne kadry z centrum Chicago. Z punktu widzenia książki rzecz jest absolutnie nieprzydatna. Agent nieruchomości odstawia karton do szafy.

### Maloof detektyw

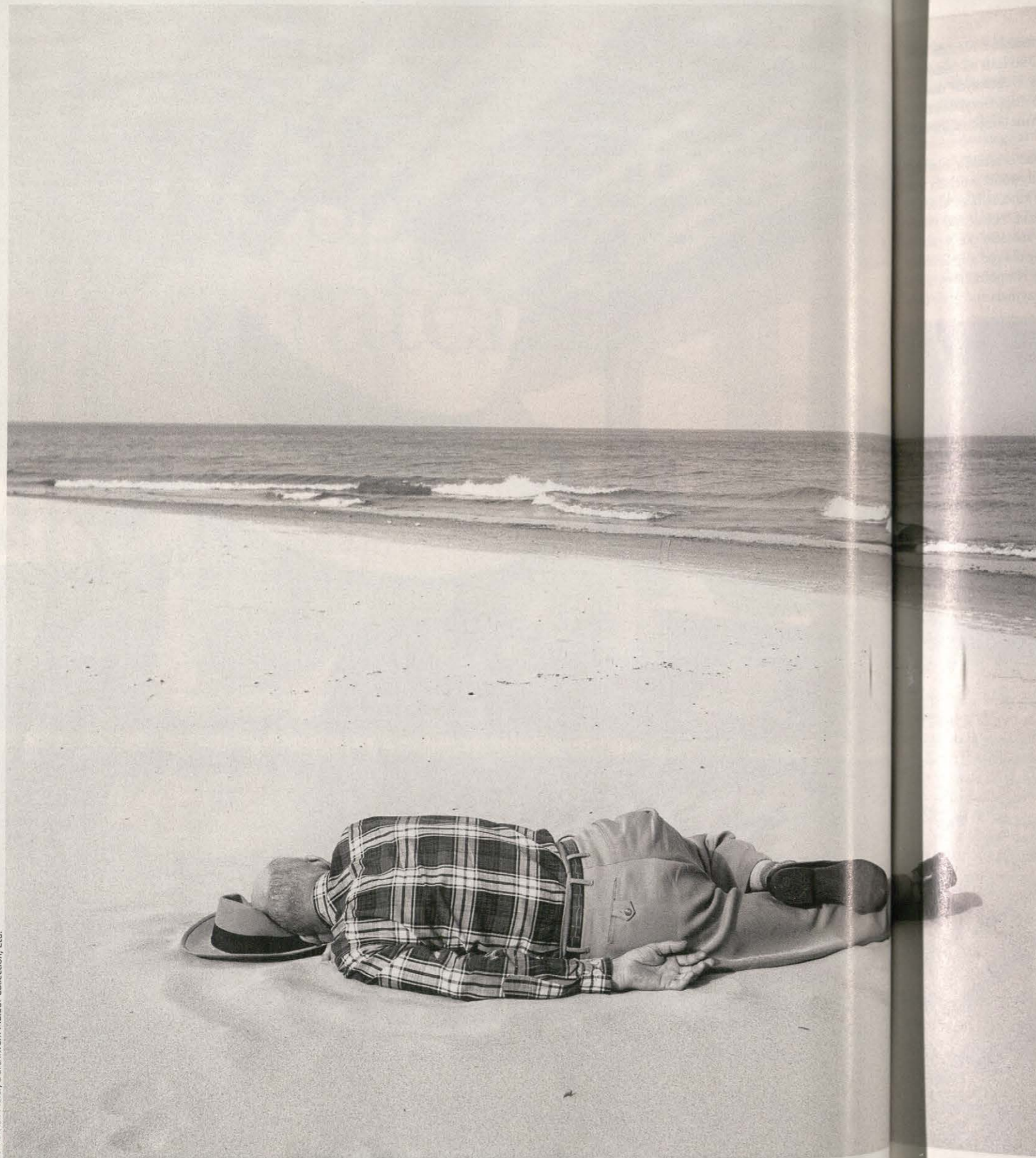
W kwietniu 2009 roku Maloofa dopada chęć zrobienia wiosennych porządków. Otwiera wyciągnięte z szafy pudło i zaczyna przeglądać negatywy. Skanuje kilka klatek. Wciąga go ten świat. Jego miasto sprzed pół wieku, codzienne sceny, samochody, ludzie, ubrania, twarze, szyldy, plakaty. – W ogóle nie znałem się wtedy na fotografii – opowiada „Przekrojowi”. – Zdjęcia mi się podobały, ponieważ przedstawiały ciekawe dla mnie rzeczy.

Dalej ogląda zawartość kartonu, wręcz nie może się oderwać. Nie ma pojęcia, kto zrobił te zdjęcia. Na negatywach powtarzają się autoportrety kobiety wykonane dwuobiektywowym aparatem Rolleiflex. Odbija się w szybach i lustrach, czasami fotografuje swój cień. Tyle wiadomo, bo nazwisko i podstawowe fakty pozostają nieznanne. →



Vivian Maier nie opisywała negatywów. O tej fotografii wiadomo tylko, że powstała 7 kwietnia 1960 roku na Florydzie





for: Vivian Maier, z archiwum Maloof Collection, Ltd.



for: Vivian Maier, z archiwum Maloof Collection, Ltd.



for: Vivian Maier, z archiwum Maloof Collection, Ltd.

→ Maloof łapie detektywistycznego bakcyła. Kontaktuje się z domem aukcyjnym, w którym kupił pudło z fotografiami. Tam dowiaduje się tylko, że przedmiot trafił na aukcję z „hotelu dla rzeczy”. To bardzo częsta praktyka, ludzie nie płacą rachunków i kartony z ich rzeczami ładują na aukcjach.

Tych po kobiecie z negatywów było tamtego dnia więcej. Maloofowi udaje się wysledzić pozostałych nabywców i odkupić od nich kartony. Gromadzi około stu tysięcy klatek. W jednym z pudeł trafia na kwit z laboratorium fotograficznego na nazwisko Vivian Maier. Guuguje. Jedyne wyniki to opublikowany kilka dni wcześniej płatny nekrolog z dziennika „Chicago Tribune”: „W poniedziałek odeszła od nas Vivian Maier. Dumna Francuzka, a przez ostatnie 50 lat mieszkanka Chicago. Druga matka dla Johna, Lane’a i Matthew. Była wolnym i dobrym duchem, magicznie odmieniała →

**Ze swoim aparatem Rolleiflex Vivian Maier niemal się nie rozstawała.** Inspirowała ją plaża nie wiadomo gdzie (po lewej, rok 1956), nowojorska ulica (u góry, rok 1954), francuskie miasto Digne (nieco niżej, rok 1959)



→ życie wszystkich, którzy ją znali. Zawsze chętna do pomocy i dawania dobrych rad. Krytyczka filmowa i zapalona fotografka. Kochana osoba, którą zawsze będziemy pamiętać”.

**Filmy i poziomki**

Poprzez redakcję Maloof dociera do zamykających nekrolog Johna, Lane'a i Matthew Gensburgów. Trzech braci, poważnych panów po pięćdziesiątce. Kiedy byli dziećmi, Vivian Maier pracowała jako guwernantka w ich domu na bogatym chicagowskim przedmieściu Highland Park. Bracia i ich rodzice opowiadają Maloofowi wszystko, co wiedzą.

**Genialna amatorka szczególnie chętnie fotografowała dzieci.** Ich zdjęcia z rzadka pokazywała postronnym. Jakichkolwiek innych prac nie pokazywała nigdy



Vivian pojawiła się w ich życiu w roku 1956. Gensburgowie poszukiwali niańki, a ona odpowiedziała na ogłoszenie w gazecie. Bardzo wysoka – prawie 180 centymetrów – w męskim płaszczu i ciężkich męskich butach, mówiła z silnym francuskim akcentem. Do Chicago przyjechała z Nowego Jorku, angielskiego nauczyła się, oglądając sztuki teatralne. Nie wyglądała na niańkę z powołania, ale na kogoś, kto przypadkiem trafił do zawodu.

Bracia porównują Maier do Mary Poppins. Opisują przygody, jakie im fundowała: raz przyniosła do domu martwego węża, żeby odurzyć chłopców strachem i oswoić ich z groź-

nym zwierzęciem. Chodziła z nimi do kin, na artystyczne filmy i do lasu na polowanie. Zabierała na wycieczki do „gorszych” dzielnic i kazała doceniać to, co mają. Uczyła ich życia. Była ich przyjaciółką, a nie odbębniającą zębami profesjonalistką.

Uwielbiała rozmawiać o filmach, niemała wiedza o produkcji z Hollywood. Kochała teatry i ambitne europejskie kino. Była zapaloną feministką i antykatoliczką. Nie umiała prowadzić samochodu. Po mieście poruszała się skuterem, a na zakupy dla rodziny Gensburgów jeździła taksówką. Nie potrafiła wyrazić swoich uczuć. W paczkach trzymała znoszone ubra-

nia, płyty, wycinki z gazet, książki. Cały czas robiła zdjęcia, ale raczej nikomu ich nie pokazywała, chyba że były to portrety dzieci. Czasami zamieniała łazienkę na ciemnię – wtedy nie można było jej przeszkadzać. Nie miała życia towarzyskiego ani uczuciowego. Kiedy ktoś przez pomyłkę nazwał ją panią, odpowiadała: „Jestem panną i jestem z tego dumna”. Przez 17 lat służby u Gensburgów nikt do niej nie zadzwonił i ona z nikim się nie kontaktowała. W 1959 roku dostała w spadku nie wiadomo po kim ziemię w Alzacji. Sprzedała ją, a pieniądze wydała na roczną podróż dookoła świata.



Portrety stanowią sporą część dorobku Vivian Maier. Ich bohaterów wynajdywała losowo. Chętnie też fotografowała samą siebie. Pierwsze zdjęcie z nowej to autoportret artystki. Nie został opatrzony datą, wiadomo tylko, że wykonała go w Nowym Jorku

W 1972 roku, kiedy dzieci dorosły, Vivian zaczęła pracować w innych rodzin. Nigdzie jednak nie zagrzebała miejsca tak długo jak u Gensburgów. Kiedy przychodziła do nich w odwiedzinach, dopytywała się o chłopców, ale nie chciała opowiadać o sobie.

Pod koniec lat 90. Gensburgowie kupili jej małe mieszkanie, zaczęli wypłacać symboliczną emeryturę i opiekować się nią. W okolicach Bożego Narodzenia 2008 roku Maier poszła zgłębić się na zamrażniętej kałuży. Wyłądowała w szpitalu. Nigdy nie wróciła do siebie – Gensburgowie wykupili jej miejsce w domu spokojnej starości, gdzie codziennie przywozili jej „New York Timesa”.

**Drugie życie**

W jej historii najbardziej fascynująca jest tajemnica. Maloof postanawia podzielić się opowieścią i zdjęciami ze światem. Zakłada blog [vivianmaier.blogspot.com](http://vivianmaier.blogspot.com), gdzie wrzuca zdjęcia Vivian. W portalu Flickr zadaje pytanie: Co mogę zrobić z tymi zdjęciami (oprócz oddania ich wam)? W ciągu jednej nocy do-

staje ponad 200 odpowiedzi. Z całego świata płyną propozycje wystaw, wydawnictw książkowych, ludzie oferują pomoc w digitalizowaniu archiwum. O Maier zaczyna być głośno. Powstają artykuły, rozpoczynają się prace nad książką i filmem dokumentalnym o niej. 8 stycznia 2011 roku w Chicago Cultural Center otwarto dużą wystawę pokazującą jej dorobek.

Fotografka zdominowała życie Maloofa. – Pracuję dla niej na pełen etat – śmieje się. Codziennie zgłaszają się do niego ludzie, którzy spotkali Vivian i chcą o tym opowiedzieć. Ktoś wiozł ją autostopem, ktoś został przez nią sportretowany, ekspedycjoniści z jej ulubionego

zakładu fotograficznego mówią, że cały czas rozmawiała o filmach i polityce.

Rodziny, u których pracowała, przynoszą nowe anegdoty. Wszyscy pamiętają ją jako ciekawą ekscentryczkę, ale nikt nie poznał jej na gruncie prywatnym.

Maloof cały czas skanuje. Do tej pory obejrzał około 10 procent negatywów – przegląda je chronologicznie. Chce zobaczyć, jak Vivian rozwijała się jako fotografka. Spaceruje po tych samych ulicach. Stał się jej agentem. Kontaktuje się z galeriami i kolekcjonerami. Chce zrobić z niej znaczącą postać fotograficznego świata. – Vivian na to zasługuje – mówi zdecydowanie.

Tylko czy Vivian Maier ma szansę przejść do historii światowej fotografii? Czy ma szansę zaistnieć na rynku? Czy jej zdjęcia będą czymś więcej niż sezonową ciekawostką?

– Na razie wokół Maier panuje atmosfera zdrowej sensacji – ocenia Jakub Śwircz, kurator współpracujący z Fundacją Archeologii Fotografii. – To bardzo dobrze, cieszymy się tym odkryciem, ale pamiętajmy, że historyczny kanon to coś innego niż zainteresowanie

mediów. Historia fotografii amerykańskiej jest opisana bardzo dokładnie i gestem, trudno w niej o miejsce dla nowych postaci. To fakt, że jakość zdjęć Maier stoi na bardzo wysokim poziomie, ale fundamentem kanonu nie jest jakość sama w sobie, lecz sieć wzajemnych wpływów i kierunek inspiracji. Fotografka świadomie się z niej wyłączała. Nigdy nie powiemy, że zdjęcia Harry'ego Callahana czy Diane Arbus są jak zdjęcia Maier. Zawsze będziemy patrzeć w odwrotnym kierunku. Trudno przenosić góry.

Nie znaczy to jednak, że zdjęcia ekscentrycznej Amerykanki nie będą się sprzedawać.

Mało którego kolekcjonera stać dzisiaj na oryginalnego Callahana. Na jej odbitki będzie sobie mogło pozwolić więcej osób. Bardzo możliwe, że staną się popularne.

**Historia z Hollywood**

A co by o tym wszystkim myślała sama Vivian i dlaczego nigdy nikomu nie pokazywała swoich prac?

John Maloof ma swoją teorię: – Nie wiadomo, dlaczego przyjechała do Chicago. Nikomu nie dała poznać swojej prywatnej historii. Strzegła jej pilnie i musiała mieć po temu swoje powody. Nie wiem, czy to jakaś dziecienna trauma, trudno zgadnąć. Wydaje mi się, że w fotografii Vivian stworzyła sobie bezpieczny świat. Przestrzeń, w której czuła się niezależna. Pokazywanie tego świata, dopuszczanie do niego kogokolwiek innego byłoby niebezpieczeństwem dla tej delikatnej konstrukcji – tłumaczy.

Brzmi to jak psychoanaliza z amerykańskiego filmu – uproszczona i prawdziwa zarazem. Cała ta historia jest jak zniechęcony przez Vivian Maier hollywoodzki film.



MUZYKA

# Niech żyje król!

The Decemberists w nazwie mają grudzień, ale w nutach lato. To bardzo piękna, bezpretensjonalna muzyka

JAREK SZUBRYCHT

Ubiegłe nowe brzmienia, elektronikę, awangardowe skoki na głowę do pustego basenu, wszelkie muzyczne dziwactwa i odszczerpieństwa. Czasem jednak warto przerwać te poszukiwania i wynurzyć się na powierzchnię, by zaczerpnąć świeżego powietrza i dać się osłodzić słońcu. Tak właśnie działa na mnie muzyka The Decemberists i z każdą płytą robi to coraz mocniej. Bo o ile poprzedni album, romantyczny koncept „The Hazards of Love”, miał w sobie sporo mroku (bo to był prawdziwy romantyzm ze wszystkimi jego namietnościami i pompacyjnym zacięciem), o tyle tym razem The Decemberists wpłynęli na sentymentalizmu przestwór oceanu.

Nie ma w tym na szczęście nic taniego i kliwkiego – „The King Is Dead” urzeka prostotą formy, pogodą ducha i melodiami, od których nie sposób się uwolnić. Chociaż zespół dokooperował do składu rockowego gitarzystę, do gościnnych popisów w trzech utworach zapraszając Petera Bucka z R.E.M., wpływy muzyki rockowej zo-

stały tu zredukowane do minimum. Czasem tylko można usłyszeć mocniejsze uderzenie sekcji rytmicznej, jak w „This Is Why We Fight” – no, ale to jest piosenka o wojnie i umiarności, tutaj nie dało się inaczej.

Na płycie znalazło się jeszcze więcej niż zwykle u The Decemberists amerykańskiego folku w jego czystej, korzennej formie. Więcej country. Żadnego tam alt- czy indie. Chodzi o zwyczajne, stuprocentowe country. Brzmi to, jakby Bob Dylan i Neil Young spędzali razem wakacje gdzieś na wsi, może u Williama Nelsona. To piosenki o życiu, które nie wymaga brania się z nim za bary, ale po prostu płynie i cieszy, choćby takimi drobiazgami jak lato w Springville Hill (nie wiem, gdzie to jest, i pewnie się tam nie zapuszcza, ale niech mnie licho, jeśli „June Hymn” nie będzie w tym roku moją ścieżką dźwiękową podczas wszystkich wakacyjnych eskapad). Oczywiście – czasem dzieje się coś złego... Ale cóż, takie jest życie. Niech się rockmani buntują, wygrażają pięścią niebu. Raperzy



The Decemberists zarażą pogodą ducha nawet najbardziej opornych

niech sobie analizują życie w wielkim mieście, brodacі artyści alternatywni – życie wewnętrzne. The Decemberists grają muzykę stoicką. Nie stać mnie na większy komplement.



\*\*\*\*\*  
The Decemberists  
„The King Is Dead”,  
Rough Trade

## Maniera rollercoastera

Brian Eno nazwał ją największym objawieniem od czasów Patti Smith. Powitajmy więc debutantkę Annę Calvi z należnymi jej honorami

Wszyscy się dziś na oryginalność, ale mało kto pisze dobre piosenki. Anna Calvi obrała inną strategię. Ostentacyjnie czerpie z PJ Harvey (gitarą i śpiew), Florence and The Machine (śpiew), Siouxsie Sioux (śpiew) czy Nicka Cave'a (gitarą), a karierę medialną rozpoczęła ubiegłej jesieni coverem Édith Piaf. Start wymarzony: kontrakt z prestiżową wytwórnią Domino, rekomendacja Eno, wreszcie miejsce na układanej przez BBC liście największych nadziei 2011 roku. I wszystko zastrzeżenie.

Calvi może i jest królową zapożyczeń – utwór „The Devil” przypomina nieco piosenkę PJ Harvey zatytułowaną... „The Devil” – ale jest również błyskotliwą kompozytorką. Operuje na trzech poziomach: obezwładnia słuchacza melodią, a melodystką jest nieprzeciętna; podtrzymuje błogostan narracją rysowaną torem rollercoastera – intro, kulminacja, wyciszenie, kulminacja, zakończenie; całą opowieść zanurza w kinowej aurze i nie przeszkodziło jej w tym to, że nagrała swój debiut na zaledwie 10 ana-

logowych ścieżkach. Ambicje wygórowane, lecz zrealizowane.

Jeśli nie zrazi cię zmanierowana teatralność Calvi pieśniarki oraz patos Calvi aranżerki, to może i dla ciebie stanie się ona największym objawieniem od czasów... (tu wpisać ulubionego wykonawcę).

MARIUSZ HERMA



\*\*\*\*  
Anna Calvi  
„Anna Calvi”, Domino



Anna Calvi – i piękna, i ambienta

## Wtórny oryginał

James Blake w roli balladowego śpiewaka

Muzyczną blogosferę James Blake zaskoczył w 2010 roku minialbumami „ONYX” i „Klavierwerke”. Kojarzony dotąd z dubstepowymi mikszami z-letni bristolczyk wy-cisnął z nich charakterystyczne, pulsujące bity, mieszając je z klasycznymi, hipnotycznymi samplami i... ciszą. Ale kiedy wszyscy wierzyli, że na debiutanckiej płycie długogrającej Blake ochoczo podąży w raz obranym kierunku, ten zrobił ułkon się w stronę bardziej przystępnych, popowych kompozycji.

Pyta „James Blake” z jednej strony powinna zaciekać wy-

chowanych na dubstepie i trip-hopie sympatyków dusznych brzmień, z drugiej – fanów uładzonej, pościelowej elektroniki. Powinna, ale nie musi. Bo nie-trudno usłyszeć, że pogrążony w eksperymentach z formą Blake nie ustrzegł się pułapki wtórności kompozycji. Elektroniczne ballady podrasowane pianinem i przypominającym nieco głos Antony'ego Hegarty'ego wokalem Blake'a zlewają się w monotonną całość. Owszem, stylistycznie oryginalną, ale – paradoksalnie – w tejże oryginalności okropnie wtórna.

JACEK SOBZYŃSKI



Blake próbuje uwieść tłumy



\*\*\*  
James Blake  
„James Blake”,  
Atlas/A&M Records



Janek Samolęk to jeszcze chłopiec, a już mężczyzna. I w tym właśnie jego urok

## Przysiadalność

Napilniej strzeżona tajemnica Wrocławia uchyla kapelusza. Odkłaniamy się z atencją

Przepraszam państwa za to karygodne opóźnienie, ale wydawca płyty – szacowne Polskie Radio – postawił na oryginalną koncepcję promocyjną pod tytułem „Siedź cicho, a cię znajdą”, nie informując potencjalnie zainteresowanych, że taki album: jak „Wrocław” w ógół nie ukazał. Strategia się sprawdziła, bo, jak widać, znalazłem.

A że z kilkumiesięcznym opóźnieniem? Cóż, dobra muzyka powinna być jak wino... Zresztą twórczość Janka Samolęka ma opóźnienie nie półroczne, ale niemal półwieczne. Przypomina złotą erę rock and rolla, radosne piosenki nienaćpanych jeszcze Beatlesów, a z drugiej strony – tradycję polskiej piosenki poetyckiej z Markiem Grechu-



\*\*\*\*  
Janek Samolęk  
„Wrocław”, Polskie  
Radio

## Content bez treści

Współcześnie Gang of Four led-zieli wie trzy ze stu najpopularniejszych singli ubiegłego roku były utworami rockowymi. To najgorszy wynik od początku lat 60., gdy Brytyjczycy wynaleźli beatlemanie. Toteż czempioni punku końca lat 70., przy których dorastali Bono i Michael Stipe, reaktywują swoją studyjną działalność w najgorszym możliwym momencie. A do tego w najgorszym możliwym stylu.

Wokalista Jon King i gitarzysta Andy Gill, czyli połowa założycielskiego składu Gang of Four, już w latach 90. pozbyli się części publiczności parą fatalnych albumów. Z trzecim wcieleniem grupy – „Content” jest ich pierwszą płytą od 16 lat – reszta oryginalnego kwartetu jeszcze bardziej nie chciała mieć do czynienia. Apatię gitarowych schematów pogłębia emerycki wokół Kinga. Śladową energię z płyty

wykrzesał tylko realizator. Jednak i zespół pragnął coś z siebie dać. Do metalowego pudełka, które mieści specjalne wydanie albumu, muzycy dołączyli próbki swojej krwi. Jak słusznie głosi tytuł jednej z piosenek: „To nie mogło się zbyt dobrze skończyć”.

MARIUSZ HERMA



\*\*  
Gang of Four  
„Content”,  
Grönland Records

GO AHEAD ZAPRASZA  
www.go-ahead.pl

## ODJAZDY

MYSLOVITZ / COMA / STRACHY NA LACHY / HAPPYSAD / MUCHY / CF98  
26.02 SPODEK / KATOWICE

## WHITE LIES

TRASA PROMUJĄCA NOWĄ PŁYTĘ PT. „RITUAL”!  
4.03 ESKULAP / POZNAŃ  
5.03 STODOŁA / WARSZAWA

## Jaga Jazzist

23.03 ESKULAP / POZNAŃ

## Patrick WOLF

NADZIEJA BRITYJSKIEJ SCENY ALTERNATYWNEJ  
PO RAZ PIERWSZY W POLSCE!  
6.04 STODOŁA / WARSZAWA

## Twilight Singers

KONCERT W RAMACH PROMOCJI NOWEGO  
ALBUMU PROJEKTU GREGA DULLIEGO!  
10.04 STODOŁA / WARSZAWA

## Archive Orchestral Featuring Orkiestra L'automne

11.04 SALA KONGRESOWA / WARSZAWA  
12.04 ARENA / POZNAŃ

## IAMX

16.04 STODOŁA / WARSZAWA

## BELLE AND SEBASTIAN

SZKOCYCI MISTRZOWIE ELEGANCKIEGO  
INDIE-POPU PO RAZ PIERWSZY W POLSCE!  
19.04 STODOŁA / WARSZAWA

BILETY DO KUPIENIA W SIECI TICKETPRO (salony EMPIK, sklepy MEDIA MARKT i SATURN, wybrane punkty RUCH i inne). Pełna lista punktów sprzedaży oraz sprzedaż internetowa: www.ticketpro.pl. Pytania w sprawie biletów? Dzwoni: (32) 352 00 04

TICKETPRO  
www.ticketpro.pl



# Męski los

Bornholm jako wyspa szczęścia dla jednych, utrapienia dla drugich

MARTA MIZURO

Hubert Klimko-Dobrzaniecki wszedł na literackie salony dzięki swojej drugiej książce „Dom Róży. Krýsuvík” z roku 2006. Powieść ta wciąż pozostaje najbardziej udanym artystycznie zapisem życia nowej emigracji – być może dlatego tak ciekawym, że autor nie skoncentrował się w niej na gasterbeaterskich niedolach. Odsunął przyszłość na dalszy plan, by skupić się na mieszkańcach Starej Europy – konkretnie Islandii, na której sam spędził 10 lat i z której przeniósł się do Austrii.

Jego ostatnia książka nie opowiada wprawdzie o oswojaniu nowej przestrzeni życiowej, ale pokazuje, czym mogą skutkować ciągłe przenosiny. Otóż uwolnieniem się od czasoprzestrzennych ograniczeń. Jeden z dwóch rozlegle prowadzonych wątków „Bornholmu. Bornholmu” osadzony został wprawdzie w Danzigu na przełomie lat 30. i 40. XX wieku, ale realia historyczno-polityczne nie odgrywają w nim wielkiego znaczenia. Wojna wybuchła tu chyba tyl-

ko po to, by wygłodzony uczciwo bohater, pacyfista zresztą, mógł znaleźć się na Bornholmie i tam spotkać miłość swego życia. Duńska wyspa to frontowe zaplecze, Horst Bartlik przydzielony zostaje do jednostki pomocniczej, więc romans może rozkwitnąć bez większych przeszkód i trwać tyle czasu, na ile pozwoli bohaterowi sumienie – w Gdańsku bowiem pozostawił rodzinę.

Natomiast historia przedstawiona w wątku drugim mogłaby rozegrać się gdziekolwiek, bo wszędzie zdarzają się zaborcze matki rujnujące życie swoim synom, którzy za wszelką cenę chcą uniknąć powtórki rodzinnego piekła i szukają zastępczych rodziców. Fakt, że scenariem wydarzeń znowu staje się Bornholm, to jednak nie przypadek...

Nie przywiązując wielkiej wagi do tu i teraz, a Bornholmowi nadając symboliczną funkcję wyspy szczęścia – dla jednego z protagonistów – i tła rozlicznych nieszczęść – dla drugiego – Klimko-Dobrzaniecki mógł spokojnie zająć się kwestiami ponadcz-

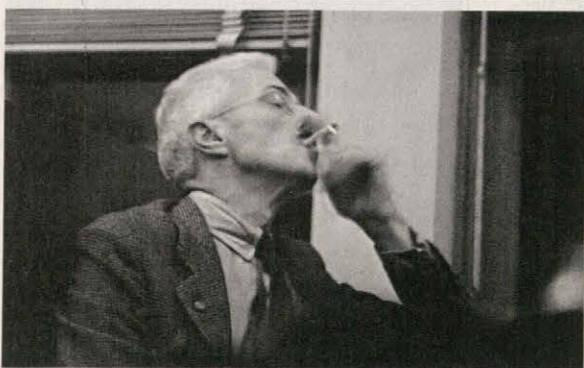


Zanim Hubert Klimko-Dobrzaniecki został prozaikiem, wydał podobno doświadczenia z Islandii.

sowymi. Czyli męskim niespełnieniem i klóścą się z pragnieniami konieczności sprawdzania się w roli synów, ojców i mężów. Będąc pisarzem mądrym i przenikliwym, w swej analizie uwzględnił także kobiece racje. A że potrafi opowiadać zajmująco i przejmująco – to już wiemy.



Hubert Klimko-Dobrzaniecki „Bornholm. Bornholm” Znak, Kraków 2011, s. 240, 34,90 zł



Hammett lubił komunizm i papierosy. On zawiódł go na parę miesięcy za kraty, one przyniosły raka płuc. I gdzie tu sprawiedliwość?

## Hammett, czyli jak hartowała się stal czarnego kryminału

MARCIN SENDECKI

Ach, Hammett! My z niego wszyscy! Wszak to on kryminał z salonów wyprowadził na ulice, tchnął weń realizm, brutalność, życie samo.

Pięć jego powieści („Krwawe żniwo”, „Kłatwa Dainów”, „Sokół małański”, „Szkłany klucz” i „Papierowy człowiek”, wszystkie opublikowa-

ne w latach 1929–1934) to nie tylko żelazna klasyka wczesnego czarnego kryminału, ale także kanwa wielu eleganckich dzieł filmowych – od klasycznych ekranizacji po obrazy, w których z fabularnych pomysłów Hammetta czerpie się pełnymi garściami, nie wymieniając nawet jego nazwiska. A tak właśnie jest z „Krwawym żniwem” i „Strażą przyboczną” Kurosawy oraz „Ostatnim sprawiedliwym” Hilla, a także ze „Szkłanym kluczem” i „Ścieżką strachu” Coenów. Powieści są u nas od czasu do czasu wznawiane, gorzej z dziesiątkami opowiadań Hammetta, od których zaczynał i w których wykulał zębny swego stylu i nowego literackiego gatunku – te są dostępne tylko w obiegu bibliotecznym-antykwarycznym. Tak więc wydanie zbioru 13 krótkich próz ojca założyciela jest wydarzeniem słusznym i godnym pochwały, choć – trzeba uprzedzić – mają one, jak i większość opowiadań Hammetta, wartość głównie historyczną. Widać na przykład czasem, jak w obrębie jednego tekstu dawnokryminał „tajemnica zamkniętego pokoju” sąsiaduje

z nowokryminałną brutalnością akcji i przyziemnością motywów zbrodni. Dominująca jest jednak szlachetna prostota tych tekstów, także estetyczna i myślowa – i dlatego są wyjątkowo pouczające, bo jak na dłoni widać co z Hammettowskich kamieni węgielnych wyciosali późniejsi Chandler i Ross Macdonald. U Hammetta prawie nie ma pięknych zdań ani akapitów, które przekraczają sensacyjną intrygę, by wprowadzić czytelnika w świat głębszej społeczno-metafizycznej refleksji. Tutaj ktoś zwyczajnie popierał przestępstwo, a potem ktoś inny łapie przestępcę bez cackania się z ludźmi i ze słowami. Proste? I owszem. Ale i tak lepsze niż kryminały nieszczęścia ze Skandynawii, których wszyscy się teraz zachwycają.



Dashiell Hammett „Miejskie historie” przeł. Łukasz Maleski C&T, Toruń 2010, s. 288, 29 zł

# Przemoczone suchoty

„Kochankowie z klasztoru Valdemosy” to opera chopinowska w katalońskich rytmach à la Bach

JACEK SIERADZKI



Dwugodzinne brodenie po wodzie może mieć różne skutki dla życia erotycznego bohaterów

Intencje były jasne. Librecista Janusz Krasiński nakreślił afabulary w gruncie rzeczy obraz podróży Fryderyka Chopina i George Sand na Majorce. Opisał zderzenie ekscentrycznych artystów estetycznych z prostactwem prowincji, wydekoryzowanych paryżan z surowością zimy na zapadłej wyspiarskiej wsi. Tutaj też narastający rozdzier między ich własnymi, mocno rozdętym ego. Marta Ptaszyńska usłyszała w dramacie jeszcze jedno zderzenie: ciepłych katalońskich rytmów i tonów ze światem muzyki polskiego kompozytora, brzmiejącej tu chłodno, niemal jak u Bacha. Aliści nie skorzystała z klucza, wydawałoby się, oczywistego: cytowania muzyki bohatera.

W ogóle i libretto, i muzyka nie niosły tej delikatnej dramaturgii na talerzu; żądały podbicia jej, wzmocnienia czułą inscenizacją. Tymczasem Tomasz Konina ujął rzecz w abstrakcyjnych dekoracjach i zajął się dynamią, deszczem i śniegiem, hiszpańskimi tancerkami oraz spuszczeniem fortepianu z nadszcienia. Zaniedbał natomiast nie tylko psychologię postaci, ale też ich elementarną charakterystykę sceniczną. Wyszło z tego, że dzieci pani Sand wyglądają na starsze od mamy, a służąca jest na scenie rzeczywistą panią. Pięknie śpiewający popisowe arie Adam Zduńkowski i Agnieszka Makowska od strony aktorskiej kreśliли postaci nieporozumienia: Chopina jako mieszczkańskiego nerwusa na wczasach i George Sand jako dziewczyn-

nę kumpla w zgrabnej bluzeczce, w spodniach i długich butach. Wypada żywić nadzieję, że nieprzemakalnych. Bo reżyser kazał wszystkim dwie godziny brodzić w pokrywającej scenę płytkiej wodzie. Chopinowi w przemoczonych skarpetkach suchoty musiały ruszyć pełnym galopem – ale czy na takiej refleksji zależało realizatorom światowej prapremii dzieła mającego wieńczyć Rok Chopinowski?

„Kochankowie z klasztoru Valdemosy” Marty Ptaszyńskiej, reżyseria i scenografia Tomasz Konina, kostiumy Zofia de Ines, kierownictwo muzyczne Wojciech Michniewski, choreografia Anna Krzyżków, Teatr Wielki w Łodzi

## Tata ma kłopoty

Bóg Ojciec Perchuć komiczny i gorzki

Może to znak jakiś, że spektakl zatytułowany „Ojciec Bóg” jest grany nieopodal kościoła Świętej Trójcy na warszawskim Solcu, w którym antykatolicka opozycja uwiła niegdyś jedno ze swoich wrażeń gniazd. A że spektakl jest przewrotny, grają go w dość obskurnym klubie, gdzie niektóre malunki na ścianach słabo kojarzą się z Trójcą Świętą. Marcin Perchuć wciela się w Boga, który – jako ojciec – ma problemy z synem. Tym młodszym, Jozuą, bo ze starszym Luckiem tata dogaduje się w lot. Jozua łączy i marudzi, że trzeba by jakieś dobro szerzyć, ludzi kochać, grzechy wybaczać, na jasność stawiać. A przecież wiadomo – świat jest zły,

ludzie okropni, świństwo na świecie się szerzy. Trzeba tę hołotę trzymać żelazną ręką, często gęsto posługując się Luckiem, któremu ojciec powierzył kiedyś we władanie dosyć nieprzyjemne terytorium, gdzie trzyma się nieposłusznych. Jednak widać, że problemy z Jozuą poważnie gryzą ojca, bo inaczej po cóż by się nam z nich zwierzał? I dlaczego co jakiś czas zerka za żelazne drzwi, skąd bije dziwna jasność i słychać piski, skrzeki i krzyki tajemniczych zwierząt? Z czasem dowiemy się, że pomysły niesforne syna, który wziął na siebie odpowiedzialność za grzechy ludzi, wzbudzają w ojcu niepojęte dlań poczucie winy. Monodram Wasilewskich

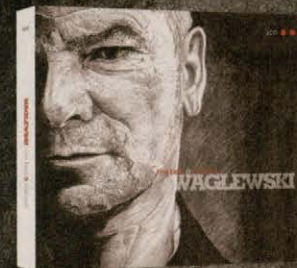
jest dowcipną, bardzo ładnie napisaną komedią, pełną paradoksów i przewrotnych wniosków wyciąganych z biblijnych stereotypów na temat Pana Naszego i Jego dwóch synów Jezusa i Lucyfera. Marcin Perchuć – gustownie odziany w garnitur i stylowe buty, więc także ojciec całkiem współczesny, ni razu nie fałszuje. No, może tylko raz – na końcu, kiedy autorzy, zapewne chcąc dodać wagi swoim zabawnym opowieściom, wpadają w refleksyjno-filozoficzny ton, a Perchuć zapala świeczkę i popada w zadumę nad losem swoim i świata. Bóg Bogu świeczkę?

„Ojciec Bóg” Katarzyny i Jacka Wasilewskich, reżyseria Waldemar Śmigasiewicz, scenografia Joanna Adamkiewicz, muzyka Wojciech Waglewski, klub 1500 m<sup>2</sup> do Wynajęcia w Warszawie

Wyjątkowa, dwupłytkowa kompilacja utworów Legendy Polskiego Rocka

WOJCIECH WAGLEWSKI

the best & the rest



Album dostępny w najlepszych sklepach muzycznych

już od 27 stycznia

CM



ELLE MALEMENI

take me Gitarzysta tuba FM

cgm.pl

muzodajnia.pl

INDEPENDENT

UWOLNIŁ MUZYKĘ

DZIENNIK.PL City Channel

dla studenta.pl

FASHION NOW





## Tropem brata

Nominowane do Oscara „Pogorzelsko” zaczyna się jak rasowy thriller, ale kończy jak przeciętny melodramat

WOJTEK KALUŻYŃSKI

Historia ma swój początek w nietypowym, intrygującym testamencie. Mieszkająca od lat w Kanadzie emigrantka z Libanu Nawal zakazuje synowi i córce pogrzebania jej ciała, zanim oboje nie odnajdą ojca, który miał zginąć przed laty, i brata, o którego istnieniu nie mie-

li dotąd pojęcia. Simon się buntuje – traktuje ostatnią wolę matki jako dziwactwo, ale Jeanne przeczuwa, że za testamentem coś się kryje, i wyrusza na Bliski Wschód. Podąża śladami matki, dowiaduje się zaskakujących rzeczy, w końcu wpada na trop prawdziwego horroru.

Odtąd narracja biegnie dwutorowo. Śledztwo córki splata się z dramatycznymi losami matki w piekle wojny, która – jak się okaże – nigdy się nie skończyła. Ta historia wciąż, skonstruowana jest jak thriller, melodramat i rozrachunkowa przypowieść w jednym. Mieści się w tej formule zaskakująco wiele: współczesność miesza się z historią, miłość splata z nienawiścią, fanatyzm chrześcijański walczy o rację z muzułmańskim. Litość i trwoga jak w antycznej tragedii. Denis Villeneuve stąpa tropami pozornie wytartymi – odprawia przedziwny rytuał powrotu do korzeni, by dotrzeć do „jądra ciemności”, pokazać genezę zła. Tego konkretnego, które panowało w Libanie, ale też uniwersalnego, zacierającego granice między katami i ofiarami, znoszącego

i wykoławiającego wszelkie etyczne normy w imię abstrakcyjnych racji uprzedzeń. Zagadka wciąga w mroki zarówno dziedzicznej, jak i trenowanej agresji, prowadzi ostrymi zakrętami w kierunku rozwiązania bezlitosnego, ale przedobrnzonego. Za łatwo wyostajemy się z misternie kreślonych piekielnych kregów na bezpieczne wody konwencji ucinającej wszystkie wątpliwymi zbiegami okoliczności. Zbyt melodramatyczny jest finał, rozminający mocne, bezkompromisowe tezy na dorobionej katarsis.

★★★★

„Pogorzelsko”, reż. Denis Villeneuve, Kanada/Francja 2010, 131', Hagi, premiera 28 stycznia

## Pot i łzy

Dokument „Para do życia” pokazuje nagą prawdę o Finach

Możesz tylko siedzieć cicho i pić – tak referuje sytuację fińskich mężczyzn jeden z bohaterów. – Tradycja każe, byśmy byli twardzielniami – dodaje inny. Joonas Berghäll i Mika Hotakainen postanowili jednak udowodnić, że w ich kraju chłopaki też płaczą. Najchętniej w saunie. W Finlandii sauna to instytucja życia społecznego i towarzyskiego, którą można urządzać równie dobrze w miejskim budynku, jak i w starej przyczepie kempingowej czy budce telefonicznej. Miejsce nie jest ważne – ważne, że tylko tu mężczyźni są na-



Finowie w saunie nie mają nic do ukrycia

prawdę nadzy. Razem z ubraniem bowiem pozbywają się wstydu, wychodzą poza role i hierarchie społeczne – są już tylko ludźmi.

Oglądając zwycięski film ostatniego Planete Doc Review, nasłuchacie się mnóstwa historii o nieszczęśliwych miłościach, życiowych

zakrętach, utraconych szansach, ale też poznacie bohaterów, którym udało się wyjść na prostą. „To najlepsze lata mojego życia” – takie wyznanie w ustach starszego pana otoczonego wianuszkami wiekowych kolegów brzmi jak obietnica, że i dla nas jeszcze nie wszystko stracone.

Sauna, jak wiadomo, oczyszcza i temu też służą męskie rozmowy w obłokach buchającej pary, gdy z nagich ciał kapie pot, z którym ukradkiem mieszają się łzy. Proste to, klarowne i na dokładkę ładnie sfilmowane. Reżyserzy wpadli na pomysł, by sceny z ciasnych saun przepleść ujęciami pejzaży Finlandii, które stanowią doskonały kontrast dla do bólu szarych zwierzeń. Ech, przydałyby się i w naszym kraju. Tylko że na ten pomysł już lata temu wpadł Filip Bajon. Pamiętacie, o czym gadali Polacy w jego „Saunie”? Oczywiście o... polityce.

MALGORZATA SADOWSKA

★★★★

„Para do życia”, reż. Joonas Berghäll i Mika Hotakainen, Finlandia/Szwecja 2010, 84', Against Gravity, premiera 26 stycznia

## RECENZJE KOMIKS

### Homoenkława

Dwaj młodzi reporterzy – Rocco i Nico – kręcą dokument o zapomnianym i wstydlwym epizodzie z historii Włoch

SEBASTIAN FRĄCKIEWICZ



Reporterzy Rocco i Nico w poszukiwaniu gorących tematów

W latach 1938–1943 włoscy faszysti uczynili z homoseksualistów obywateli drugiej kategorii i internowali ich za „szelustwo”. Jednym z prześladowanych był Antonio Angeliccola, który w 1938 roku trafił na małeńki archipelag Tremi u wschodnich wybrzeży Włoch. Wszystkie odbyło się bez sądu – na podstawie policyjnej prowokacji. Pięcioletnie odosobnienie zmieniło całe życie Antonia. Teraz, gdy jest już starszym, dziennikarzem, którzy postanawiają nakręcić o nim film dokumentalny, nakłaniają go do wspomnień.

„We Włoszech wszyscy są mężczyznami” to nie tylko rekonstrukcja wydarzeń, które

do lat 80. XX wieku znane były niewielu. Twórcy chcieli przede wszystkim zilustrować sam proces tworzenia relacji historycznej i ten wątek jest lepszy niż sceny pobytu Angeliccoli na wyspach Tremi – trochę pozbawione wyrazu i chyba zbyt łagodne, szczególnie kiedy zestawia się je z fotograficznym tłem opisanym w postwui do albumu. Niemniej jednak powieść graficzną Włochów świetnie ukazuje zderzenie między młodymi reporterami owładniętymi misją przedstawienia prawdy a starszym człowiekiem niemającym ochoty na powrót do straconych lat. Dla Antonia kręcenie filmu to przeżywanie wszystkiego na nowo, rozdrapywa-

nie ran. Rocco i Nico w historii bohatera widzą przede wszystkim świetny materiał. A że jego realizacja rozbija emocjonalnie 70-latkę? Cóż, takie są koszyki. Dziennikarze nie zdają sobie również sprawy z tego, że po 50 latach Antonio może oceniać wydarzenia inaczej, niż sami się tego spodziewają. „Byli zniewieściali, niektórzy płakali, gdy wyjeżdżali z Tremi” – mówi starzec w jednej ze scen. Choć pobyt na wyspie to ubezwłasnowolnienie, klepanie biedy i rozłąka z rodziną, tylko tam włoscy geje nie musieli się wstydzić swojej odmienności. Nie wiemy jednak, czy Antonio nie szuka jasnych stron w swej ciemnej przeszłości. Nie mamy pewności, czy można wierzyć w każde jego słowo. I właśnie dzięki tej niejednoznaczności komiks tym bardziej wart jest naszej uwagi.



Luca de Santis (scen.), Sara Colaone (rys.), „We Włoszech wszyscy są mężczyznami”, Fundacja Tranzyt/Centrala, Poznań 2011, s. 176, 39,90 zł

## Wilq ciągle kasa

Nowy komiks Minkiewiczów przynosi pocieszenie tym, którzy nie mają stowy w kieszeni, a chcą dobrze się bawić

Komiks to nie jest tanie medium. Szczególnie w Polsce, gdzie niskie nakłady alackie sauny dla sfrustrowanych mężczyzn – chciałoby się westchnąć. Tylko że na ten pomysł już lata temu wpadł Filip Bajon. Pamiętacie, o czym gadali Polacy w jego „Saunie”? Oczywiście o... polityce.

Cóż, w zeszytówkach nadal rządzi superbohater z Opoli. Owszem, trochę się zestarzał. Momentami opowieść jest przegadana i zbyt wulgarna, nawet jak na standardy tej serii. Dawniej rzucające mięsem szło w parze z bardzo zgrabnym słowotwórstwem. Teraz wyrafinowanej łaciny znajdziemy mniej. Minkiewiczom nie brakuje za to absurdalnego poczucia humoru oraz umiejętności łączenia życiowych obserwacji z popkulturowymi wątkami. Wilq jedzie do Krakowa na ustawkę

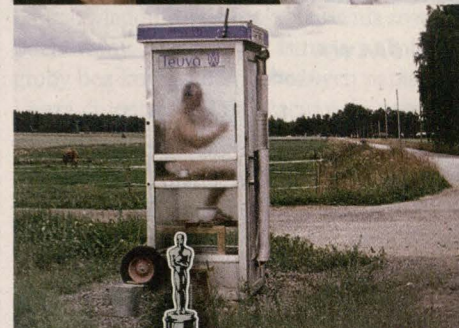
literatów, a wcześniej zwiędza Mysłowice, które wyglądają niczym sceneria z „Władcy pierścieni” z elementami gry komputerowej „Diablo”. Tylko 40 stron, a tyle dobrego, złośliwego humoru.



Tomasz Minkiewicz (scen.), Bartosz Minkiewicz (scen. i rys.), „Wilq nr 16 – Vendetta Brutto”, BM Vision, Opole 2010, s. 40, 15 zł

REKLAMA

ZWYCIĘZCA 7. PLANETE DOC REVIEW



FINSKI KANDYDAT DO OSCARA 2010

KINOWA EUROPEJSKA NAGRODA FILMOWA 2010



Film Joonasa Berghälla i Miki Hotakainena

Steam of Life | Miesten Vuoro

# PARA DO ŻYCIA

W KINACH OD 4 LUTEGO

TYLKO W KINACH STUDYJNYCH

www.againstgravity.pl/sklep







LADNE OSOBY

# Na co nam płęć.

## ...tylko jedna, skoro można mieć dwie?

OLA SALWA

**O**nie chodzi nam o przebieranki podyktowane zaburzeniami osobowości, jak w serialu „Wszystkie wcielenia Tary”, gdzie bohaterka zmienia się z blondyneczki w robola. Ze zdrowiem psychicznym zresztą nie warto igrać, bo owocuje to na ogół rozczarowaniem i wysokimi rachunkami za terapię. Nie walczymy więc z psychiką ani z biologią, choć popieramy wszelkie ruchy mające przedrostek „trans-” i kibicujemy modelce Lei T, która kiedyś była Leo T. Zmieniamy to, co mamy w głowie i na grzbiecie. Oczywiście kobiety w spodniach to żadna sensacja, smoking dla pań zaprojektowany przez Yves'a Saint Laurenta to klasyka, a i styl unisex nie szokuje. Nowością są męskie kolekcje inspirowane modą kobiecą. U Givenchy czy Comme des Garçons pojawiają się spodnice dla panów, u Jil Sander zaś fuksjowe koszulki, a u Calvina Kleina - tuba przypominająca gorset. Można to odczytywać na dwa sposoby. W modzie ton nadawała zawsze silniejsza grupa społeczna, mieszczaństwo podrabiało stroje szlachty, a kobiety przed rewolucją feministyczną marzyły o tym, by założyć męskie spodnie. Dziś to my jesteśmy silniejsze i to nas się naśladuje. Druga opcja? Płęć przestaje mieć znaczenie, a podział na spodniczki i spodnie jest wyłącznie konfekcyjny. Dzięki androginii możemy korzystać ze wszystkiego, co było do tej pory męskie lub kobiece, i z niczego nie rezygnować. Modelowym przykładem jest blond piękność Andrej Pejic, który chodzi na wybiegach z innymi facetami, a potem wskakuje w damskie stroje i pozuje do sesji zdjęciowej. Poruszając się płynnie między płciami, inspiruje nas do myślenia w sposób jeszcze bardziej otwarty o sobie i o świecie.



**Zgaduj-zgadula!**  
Na którym zdjęciu jest kobieta, a na którym mężczyzna?  
Z lewej blond Bośniak Andrej Pejic, a z prawej Słowenka Valerija Kelava

**NO ŁADNIE!**  
Tilda vs. Tilda

**E**fantastyczne aktorstwo nie ma płci, na co chodzącym dowodem jest Tilda Swinton, która słynie z androginicznej urody. Aktorka twierdzi, że ważniejszym wyróżnieniem od Oscara (w 2008 roku za drugoplanową rolę w „Michaelu Claytonie”) była nagroda Teddy przyznawana przez jury złożone z homo- i transseksualistów na festiwalu w Berlinie (w 2009 roku).



**Zadanie numer dwa:** ile kobiet widzisz na zdjęciu? Jedną (Daul Kim, z lewej). Drugą osobą jest model Martin Cohn



W tym przypadku nawet imię i nazwisko – Omahyra Mota – są androginiczne. Płęć wpisana w dowodzie: kobieta

OBYCZAJÓWKA

## Po kołędzie

### I jak tu dwóm malcom powiedzieć: sorry, księdza nie przyjmujemy?



MICHAŁ WITKOWSKI

**R**az do roku wybucha wiadomość podawana szeptem – ksiądz chodzi po kołędzie! Jeśli jesteś katolikiem, z przyjemnością otworzysz mu drzwi. A jeśli nie? Wobec poprzedzającego dwoma nieletnimi aniołkami w małych białych szatkach księdza chodzącego po kołędzie nawet najbardziej zatwardziali wrogowie Kościoła katolickiego tracą asertywność. Ani nie wierzą, ani nie praktykują, a jednak boją się dwóch aniołków, które w każdej chwili mogą zapukać do drzwi, wręczyć obrazek z jeszcze jednym aniołkiem i zapowiedzieć wizytę. I jak tu takim dwóm malcom powiedzieć: sorry, my księdza nie przyjmujemy? Chrystus się urodził, lecz my nie chcemy otworzyć mu swoich drzwi i serc, niech śpi w stajence. Przez gardło nam to nie przejdzie.

Wobec tej niemocy zaczyna się szopka mająca na celu uniknięcie niechcianej wizyty i datku. Trochę jakby po klatce chodzili jehowi. Ta szopka to szczyt hipokryzji, jakże typowej dla stosunku niewierzącej części Polaków do instytucji Kościoła.

Więc gaszenie w całym domu światła, zasłanianie okien i łażenie z latarką. W obliczu każdego dzwonnka uciszanie się teatralnym szeptem. Wyglądanie przez szpary żaluzji antywłamaniowych. Już jest u Rosiaków. Już jest u Kowalskich! Nerwowe musowanie w brzuchach. W końcu czujemy się jak wyklęci zdracy, którzy wyrzuceni na margines społeczności muszą się ukrywać, jakby byli wyjęci spod prawa. Kiedyś ukrywali się pierwsi chrześcijanie, teraz dla odmiany nie-

wierzący. No, może raczej niepraktykujący, bo wśród tych zapewniających co niedzielę kościoły też, delikatnie mówiąc, nie każdy wierzy.

Przychodzą dla sąsiadów albo „żeby odsapnąć”, żeby było komu pokazać nowy płaszcz, bo jak ksiądz nie będzie mnie widział, to potem gdzieś za plotem mnie pochowają itd. To samo dotyczy przyjmowania księdza po kołędzie. Usługa grzebania została praktycznie zmonopolizowana przez kler i nie bardzo wiadomo, gdzie taki ateista ma zostać pochowany. Przecież nie istnieją w Polsce groby bez krzyży! Bez pobożnych napisów i poza cmentarzami należącymi do parafii. Ateiści znowu nie mieszczą się w tym, co normalne, tworzą niepotrzebne zamieszanie i ciągle nie pasują...

Nie pasujemy. A jak ktoś jest gejem i ateistą, dodatkowo na przykład leworęcznym, to już w ogóle nie pasuje. Za to z kołędą czasami ma spokój. Anegdota mojego znajomego, który jest gejem i ateistą: w typowej gorączce przedkołędowej, pogasiwszy w mieszkaniu światła, z duszą na ramieniu znajomy mój przyczajony wygląda przez judasza. (Oni też mają duszę). Widzi, jak ksiądz w asyście nieskazitelnych aniołków wychodzi od sąsiadki i wskazując na drzwi znajomego, pyta: „A to mieszkanie?”. Na to sąsiadka odpowiada: „A tam niech ksiądz nie idzie, bo tam taaacy mieszkają, że nie chciałby ksiądz...”. Duszpasterzowi nie przypomniła się przypowieść o synu marnotrawnym, głoszony w niej aksjomat nawracania grzeszników, z których powrotu Pan cieszy się nieskończenie bardziej, niż dajmy na to z nigdzie nieuciekającej sąsiadki. Poszedł. Znajomy zapalił światło.

Osobiście jestem mądry, ale tylko w felietonie. Bo sam też gaszę, sam się kryję albo wychodzę z domu i łażę do późna po galerii handlowej. Co – jak wiadomo – jest zajęciem rujnującym nerwy, finanse i zdrowie. Sam nigdy księdzu nie otworzyłem i nie powiedziałem z szacunkiem, że jestem osobą niewierzącą i nie życzę sobie tej posługi. Z zawiedzionymi, a może nawet zgorzonymi minami małych aniołków się nie skonfrontowałem. I zastanawiam się, jak długo jeszcze w Polsce będzie wstyd powiedzieć to na głos. Nie w wielkomijskim salonie, gdzie same Kingi Dunin i inne niewierzące potwory. Tylko prosto w oczy naładowanemu katechizmem aniołkowi, który wyciąga rękę z obrazkiem...

rys. Katarzyna Leszczyć-Sumińska na podstawie zdjęcia Marcina Łobaczewskiego/Newspix.pl



ROMAN KURKIEWICZ

## Czarnym już dziękujemy!

Skandal w Krakowie! Z klubu nocnego wyproszono grupę księży, kleryków i zakonnic! Interweniował kardynał Zdzisław



LEWO MYŚLNIE

**D**o szokujących scen doszło w ostatni weekend w Krakowie, gdzie ochrona wraz z obsługą i sprzątaczkami usunęła o 2 w nocy z lokalu o nazwie White & White grupę spokojnie tańczących i konsumujących księży. Na nic zdały się tłumaczenia, że sutanny są prawdziwe, pieniędzy na rachunek nie zabraknie i że inni też są na czarno albo wręcz czarniawi i czarniawe. Ochrona była nieustępliwa: „Właściciele sobie nie życzą, więc Państwu już dziękujemy, Państwu już nie podamy i nie zapraszamy jutro!”

Wzwany patrol policji (z przewencji, czarne mundury...) nie został wyproszony, ponieważ nie został wpuszczony do lokalu pod pretekstem możliwości osiągnięcia efektu niewidzialności z powodu ciemności.

Następnego dnia komendant policji wspólnie z władzami kurii wystosowali stosowny protest przeciwko takiemu traktowaniu funkcjonariuszy obu służb. To niedopuszczalne, że kryterium rozstrzygającym o tym, czy będzie się tańczyć albo nie tańczyć, jeść albo pościć, pić albo od picia się powstrzymać, może być kolor szat, pardon, mundurów, czyli odzień wierzchnich. Kardynał przypomniał, że wydarzenia mają miejsce na blisko trzy miesiące przed beatyfikacją Jana Pawła II, co daje do myślenia i tym bardziej do modlitwy.

Właściciele lokalu opublikowali natychmiast oświadczenie, że są obecnie w Egipcie, dokąd przyjechali z Tunezji, i nie wychylają głowy spod wody, gdzie sobie kolorowo nurkują, ale jak tylko to zrobią, to zareagują.

Następnego dnia właściciele przeprosili wyproszonych księży i niezaproszonych funkcjonariuszy. Doszło do straszliwej pomyłki, nowa zmiana ochrony i obsługi źle odczytała wewnętrzną instrukcję dla pracowników, w szczególności zapis „czarnych nie obsługujemy”. Nie wiemy, jak to możliwe, że jasne zalecenie niewpuszczania i wypraszenia czarnych zostało odczytane w tym skandalicznym kontekście religijnym i państwowym. Chodziło wszak o zwykłych czarnych, a nie tych. Na zgodę zamówiono mszę w intencji dobrej zabawy czarnych bez czarnych. Kardynał Zdzisław zapewnił, że sprawy nie postrzega już w czarnych kolorach, i napomknął o niezbędnych renowacjach czekających Czarną Madonnę. Jest szansa, że Unia Europejska sfinansuje cykl szkoleń edukacyjnych „Czarne od czarnego”.

BRACIA M BARTOSZ I TOMASZ MINKIEWICZ WWW.FACEBOOK.COM/WILQSUPERHERO



Autor: Jerzy B...

## JOLKA NR 5

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

Cs C1 K1 G9 A2 F4 K2 I6 C7 H3 E2 B12 B1, H6 B8 G2 F11 C2 D5 J5 I9 A3 E7 K2  
H1 F2 J10 E11 B3 E4 F5 A9 G12 D6 J1 B5 C4 J6 H9 ...

### Wyrazy 10-literowe:

- WCZORAJŠE BABECZKI
- GWIAZDORSKA OBSADA ALP

### Wyrazy 9-literowe:

- UCIEKŁA JEJ KUZYNECZKA W PROSO
- KOPCIUSZEK ROZCZAROWANY

### Wyrazy 7-literowe:

- SOWIŹDRZAŁ SIĘ ROZPISAŁ ● GONIĄ W SŁOWNIKU ● O RYM PRZED GRAFOMANKĄ
- STO LAT PRZED COENAMI

### Wyrazy 6-literowe:

- NIEWYMAWIENIE PE
- WŁAŚCIWY ŚWIĘTY OD NIEWŁAŚCIWEGO MIEJSCA ● TWARZOWE WYNURZENIA
- ZASIŁA SI ● PAN NA PRZEPYCHU

### Wyrazy 5-literowe:

- ODLEW TWARZY SZPIEGA ● PIŁ Z SARNA



- GDZIE BIESY MÓWIĄ DZIEŃ DOBRY
- TEST NA CIERPLIWOŚĆ
- A GDZIE JEST MIRMILE VERBUM? ● W GALERII PRZODKÓW PROSIACZKA

### Wyrazy 4-literowe:

- GIERKA MOJRY
- EKSGRAB
- WŚRÓD NIEZGRAB
- BYDŁĘCA WYWIEŠZKA
- MILCZĄCY TWARDZIEL

## ROZWIĄZANIA Z NR. 3

Krzyżówka: **PODGŁÓWEK**

**Poziomo:** 1. SIOSTRY JOLKI - KRZYŹÓWKI 7. STARY MALUTKI - KRASNOLUDEK 8. ARAB W LOCIE - CWAŁ 9. ZBIJA BĄKI KOPYTAMI - WALKOŃ 11. ZAKOŃCZENIE PSZCZÓŁKI MAI - ODWŁOK 13. SZAL TROPIKÓW - OBÓŻ 16. SZCZYT WSZYSTKIEGO - WIERZCHOŁEK 17. ZBIERA KOTY - ODRURZACZ

**Pionowo:** 2. PIEKŁO JEST WE MNIE - ŻGAGA 3. MĘŻNY CZŁOWIEK - ŻONA 4. ŁAW STORY - WULKAN 5. ŚRODEK WINDYKACJI

— INDIK 6. MADE IN PSINA - PEKIŃCZYK 7. ŚWINIOMIAUK - KOCIOWIK 10. POD JAJAMI - BOCZEK 12. STOLATO - WIEKO 14. POLSKA TARTA - BUŁKA 15. WYŚPIE-WUJE - CHÓR

**Jolka: UFO JEST KRASNALEM NASZYCH DNI (piosenka Jacka Cygana)**

**Rzędami:** CHLAPA, SPLAW, MARYNATY, KUCKI, CHORAĞIEWKA, KONFESJONAL, LIRYK, DŹWIGNIE, MANTO, GEJZER

**Kolumnami:** CYRK, UCHODŹCA, LUNCH, KONFLIKT, PAMIR, SENS, WRÓC, OLEJE, PANCERNI, ARBUZ, ARTYKULY, KIER

## LAUREACI Z NR. 2

Krzyżówka:

**Piotr Jędrzejak**, GolaŹyń, **Jan Andrzej Kaus**, Wrocław, **Wiesław Popiel**, Gorzów Wlkp.; **Danuta Reksa**, Warszawa; **Krzysztof Warejko**, Kraków

Jolka:

**Andrzej Jurkowski** - Czyt. Oleśnica; **Wanda Morawska** - Gorzów Wlkp.; **Anna Pelczar** - Krosno; **Andrzej Stobielki** - Warszawa; **Magdalena Tarasiewicz**, Warszawa

JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

## Singerowskie smaki na wyciągnięcie ręki



Wszyscy to wiemy – można tęsknić za smakiem. Można też za nim podróżować. Są dania, o których słyszeliśmy, ale nigdy nie udało nam się ich spróbować. A czujemy, że nam ich brakuje. Jak po przeczytaniu „Łuku Triumfalnego” Remarque’a szuka się calvadosu, tak po lekturze Singera – gęsiny. Ja szukałem gęsiniego pipka. Któregoś razu byłem mimowolnym świadkiem rozmowy dwóch gości w mojej restauracji. Jeden z nich opowiadał drugiemu z rozmazonymi oczami o przygodzie kulinarnej związanej z tym daniem. Zjeździł bowiem cały świat w poszukiwaniu smaku zapamiętanego z dzieciństwa, próbował w nieskończonej liczbie restauracji żydowskich, także

w Izraelu, i nic. Zawsze nie to. I nagle w Krakowie odnalazł ów smak. Spytałem o nazwę restauracji. Klezmer Hois – padła odpowiedź. Następnego dnia pojechałem do Krakowa. Okazało się, że strażnikiem pamięci receptury gęsiniego pipka jest wielki Leopold Kozłowski, król klezmerów. Podał mi swój przepis. Od tej pory i w mojej restauracji jest gęsi pipka Leopolda Kozłowskiego. Kiedyś na ścianie w mojej warszawskiej restauracji zobaczyłem napis: „Całuję Was w gęsi pipkę. Anna Dymna z Krakowa”. Tak więc Leopold Kozłowski to nie tylko król klezmerów, ale także król kucharzy. Oto jego przepis: 4 żółtki gęsinie, 4 duże cebule pokrojone w piórka, 1 główka czosn-

ku, 1 łyżka curry, 2 łyżeczki słodkiej czerwonej papryki, sól i pieprz do smaku. Żółtki opłukać i podgotować w wodzie około 30 minut. Wodę wylać, żółtki odcedzić, ponownie zalać wodą i gotować przez godzinę. Ugotowane pokrajać na cztery części, dodać cebulę, czosnek, przyprawę, zalać mniej więcej 100 ml wody i dusić pod przykryciem około trzech godzin. Zagładać do garnuszka – jak tylko ubędzie wody, natychmiast ją uzupełnić, żeby żółtki cały czas były zanurzone. Po wystudzeniu garnuszek odstawić do lodówki. Kolejnego dnia podgrzać żółtki i dusić 15 minut. Wtedy będą dobre. A tam – dobre. Genialne.

## Podróże Guliwera 3D

Występują: GULIWER - globtroter

GULIWER (przeglądając efektywnie wydany atlas świata):

...w krainie Liliputów byłem, na wyspie Blefusku byłem, w Brobdingnag byłem, znam (na jednym oddechu) Lapute, Balnibarbi, Glubbdubdrib, Suggnagg i Japonię, a także kraj (z westchnieniem) Houy... Houyhnhnmów. Czyżby zatem kończyły się możliwości? (sięgając po folder stołecznego biura podróży, triumfalnie) Ha! Nic z tych rzeczy!

Rezerwuj dwutygodniowy urlop w Egipcie, wraca opalony, wrzuci foty na Face'a i wreszcie zyskuje znajomych.

KURTYNA opada z ulgą.

## NIE TAK: JANEK KOZA



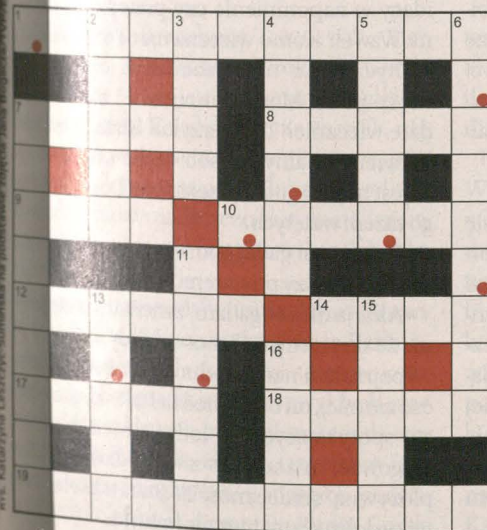
MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Podnosić należy czyjeś zasługi, nie swoje.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

## KRZYŹÓWKA NR 5

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

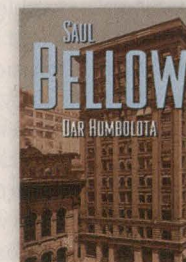


### POZIOMO:

1. ROBI POKROWCE NA GRABIE
7. STAŁY W STOLICY
8. DOPUSZCZA
9. PRZED UDRA
10. Z PRZODU LICEUM
12. BÓJ W PORCIE
14. ZROBI CI DOBRZE
17. BABOCHŁOP
18. PROSZĘ SIĘ POŁOŻYĆ POTOCZNIE
19. NINA OPIEKUNKA KOTŁÓW

### PIONOWO:

2. W SZALE I W SZALIKU
3. JAK Z NIEJ NOGI
4. KOLEGA SITO
5. NAPUSZCZA
6. IMPREZA NA DWORZE
7. ŚRODA 12.00
11. STARE DOBRE MAŁŻENSTWO
13. ŚRUBOWKRĘT
15. DZIECI SŁOŃCA
16. Z RANA PODNOŚ SIĘ LUB OPADA



Nagrodą w tym tygodniu jest książka **Saula Bellowa "Dar Humboldta" (SW Czytelnik)**

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 7 lutego 2011. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,46 zł brutto. Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.





*Co się bardziej kalkuluje – żywy trup idący w zapomnienie czy prawdziwy jadący na Wawel? Komu wieczna narodowa pamięć? Politycznemu niezgrabiaszowi czy herosowi, co przez Moskali umęczon i zabit żył będzie wiecznie?*

15 STYCZNIA

Podczas spaceru po Wiśle pod pocztą, której w czasach wieczności naczelnikiem był mój dziadek, spotkałem pana T. Postać znana, człek szalony, do zamętu skłonny, wielce jednak przenikliwy. Zupełny przy tym fantasta mający samego siebie za kogoś rząd dusz – zarówno luterskich, jak i katolickich – na Śląsku Cieszyńskim sprawującego. Założyciel i wieloletni przewodniczący sławnego Stowarzyszenia Jedną Nogą w Grobie, które tak dramatyczną i na osobną opowieść zasługującą rolę w naszej świadomości religijnej odegrało, ten ze wszystkim skłócony, z własnej organizacji przez przyszczaćych młodzików na pysk wywalony, ten otóż niezwykły człowiek nigdy ani nie upadł, ani nie umarł. Owszem, na pewien czas, dwa-trzy lata, zniknął bez wieści. Ci, co mówili, że pod ziemię w literalnym znaczeniu się zapadł, zdawali się bliscy prawdy, bliżsi w każdym razie od rozmaitych blagierów, co utrzymywali, że wyjechał do Paragwaju i tam u boku pewnej atrakcyjnej milionerki o niemieckich korzeniach dostatnie życie wiedzie. Albo że na Kubie jest jednym z ulubionych doradców Fidela – czy jaką tam jeszcze tandetną dyrdymałę w związku z zniknięciem człowieka bez śladu wymyślić można.

On zaś spokojnie wrócił, gdzie był, nie wiadomo, żadnej z krążących wersji nie zdemontował, swojej nie podał, rychło przestało to mieć znaczenie. Ładnych parę lat temu pojawił się w doskonałej formie, jak zawsze we wszystkim, zwłaszcza w sytuacji politycznej, znakomicie zorientowany. Co dzień o południowej godzinie rusza do centrum i długo, bardzo długo (ładnych kilkadziesiąt, może i równe sto okrążeń) miarowym krokiem wokół placu Hoffa krąży i – jak słuchacz jaki się nawinie – z zapalem perypatetyzmowi się oddaje. Perypatetyzmowi zuchwałemu, bluźnierczemu i bezbożnemu.

16 STYCZNIA

– Jerzyku! – zawołał wczoraj na mój widok. – Jerzyku! Wiesz, co było najdziwniejsze podczas

niedawnej obecności pana prezydenta Komorowskiego w Wiśle?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparłem zgodnie z prawdą.

– Nie dziwi mnie to, nigdy nie byłem radykalnym poszukiwaczem prawdy, ale chyba wiesz, że tylko prawda jest ciekawa?

– Wiem, ale do końca tego zdania nie podzielał, wolę tych, co mówią: dobrze, że istnieje sztuka, bo prawda by nas zabiła.

– Właśnie, à propos zabijania: wiem, że brzmi to niezręcznie, ale właśnie w związku z rozmaitymi śmiertelnymi okolicznościami, które teraz wte i wewte tak gorliwie się walcuje, właśnie takiej sytuacji tyczy moje – co tam moje, wszyscy przecież widzieli! – spostrzeżenie. Otóż, Jerzyku, najbardziej zdumiewającą w obecności pana prezydenta był zupełny brak – przynajmniej widzialnej – ochrony. Wszystko otwarte, dostępne, czynne. Na granicy niefrasobliwości. Do pary prezydenckiej śmiało każdy mógł się zbliżyć. Tym bardziej było to, Jerzyku, zauważalne, że gdy poprzedni, nieżyjący pan prezydent miał tu swego czasu przybyć, Wisła została przeistoczona w obłąaną twierdzę! Powiadam ci, Jerzyku! Drogi zamknięte, szpalery wojska, tłum potykających się o siebie ochroniarzy, wszystkie sklepy, poczta i apteka zakluczone, nawet biblioteka nieczynna. Chyba się obawiano, że z każdej strony skrytobójczość może uderzyć. Śmierć się zbliżała, wszystko tedy zapobiegawczo wyłączono z życia? Nawiasem – co specjalnie komiczne – monarcha i tak nie przybył.

– Podobno z powodu deszczu – odparłem.

– Deszcz od mgły lepszy – pan T. rozejrzał się niespokojnie. – Wiesz, Jerzyku, ja myślę, że on trochę kusił los, a może i Pana Boga. Brata zaś specjalnie. Ta ochrona, te ekrany przeciwpancerne, te kamizelki kuloodporne, ta historyczna polityka śmierci, ten kult zabitych, to gadanie, „że gdyby czerwonoarmiści na gruzińskiej granicy strzelali inaczej, prawdopodobnie nie rozmawiałbym z państwem” – to wszystko było kiepskim, bo kiepskim, ale wymownym kuszeniem losu.

– Pan zdaje sobie sprawę – odpowiedział nie bez niesmaku – że ludowa, a nawet bałwołudzka ludowa jest to metafizyka?

– Każdy ma taką metafizykę – uśmiechnął pan T. – jaką w telewizorze widzi.

– Pan ma telewizor?

– Nie, ale do sąsiadów, do państwa Koboskich często zachodzę, oni mają odbiornik na okrągło włączony i tam na to i owo w kam. Zdanie mam, oczywiście po starannym przemyśleniach, wyrobione, a pewnie tuż przed ekranem na srebrnym ekranie detale jedynie w mej racji utwierdzają.

– Jakiej racji?

– Spiskowej, rzecz jasna. Jestem wielkim zwolennikiem i orędownikiem teorii spiskowych, w Wiśle mają mnie przez to za szaleńca, ale – jak doskonale wiesz – za szaleńca mnie tu zawsze.

– Jaki spisek wchodzi tu w grę?

– Niestety, w pewnym sensie kainowy.

– Brat brata?

– Owszem, tyle że nie z zawiści, ale dla oceny i wywyższenia.

– Pan się dobrze czuje?

– Chłopcze, jak będziesz miał choć w łowie tyle lat, ile ja – pogadamy o dobrej samopoczuciu.

– Ja mam sześćdziesiątkę na karku.

– No właśnie. Nie ma się co oburzać, na wróble na dachu wiedzą, że pozostały państwu brat był przewodnikiem, kierownikiem, nauczycielem i mistrzem duetu. Widział dalej, ostrzej i przenikliwiej, on widział, że brat wybory przegra i rychło trupa politycznym zostanie, i nie ma na to rady, ma na to rady z wyjątkiem jednej.

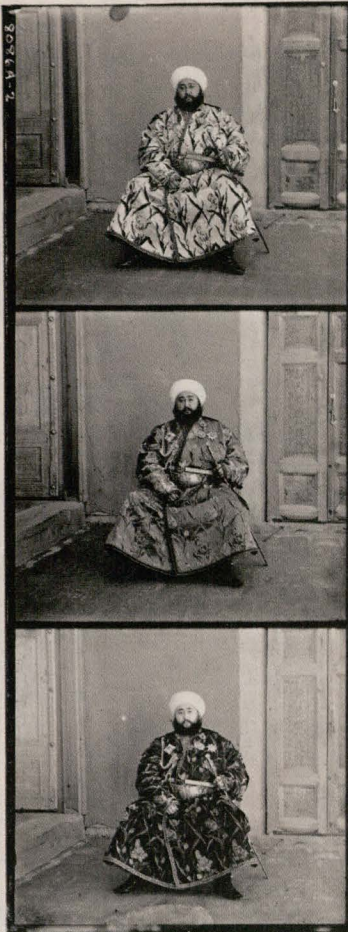
– Jakiej?

– Co się bardziej kalkuluje – żywy trup idący w zapomnienie czy prawdziwy jadący na Wawel? Komu wieczna narodowa pamięć? Politycznemu niezgrabiaszowi czy herosowi, co przez Moskali umęczon i zabit żył będzie wiecznie? Tak, Jerzyku! Brata w takim konwencjonalny sposób ocalić i wywyższyć to jest miłość godna Szekspira i Dostojewskiego razem wziętych.

– To, co pan gada, godne jest szpitala w Rybniku.

– Ależ ja nic nie gadam, zwierzęm ci się jedynie ze skrytych myśli, boś człek dyskretny.

Spojrzałem nań chłodno, skłoniłem się jeszcze zimniej, on odpowiedział tak, jak przy spotykających go lodowatościami zwykle reagować, mianowicie z wystudiowanym plozywną serdecznością. Stara szkoła. Tylko dobrych manier, ale i taktyki.



# Rosyjska gra barw

Fotografia dochodziła do koloru kilkoma drogami. Ścieżka Siergieja Prokudina-Gorskiego nie była najprostszą prowadzącą do celu

KUBA BABROWSKI

Sankt Petersburg, 1909 rok. Siergiej Michajłowicz Prokudin-Gorski ma 50 lat i jest aktywnym członkiem lokalnej socjety. Z wykształcenia chemik, najpierw studiował u samego Mendelejewa, później przez moment na politechnice w Berlinie. Zasiada w radzie nadzorczej huty metalu należącej do rodziny jego żony, a w ramach hobby zajmuje się fotografią.

Do swojej pasji podchodzi naukowo. Rozwijając technikę, których nauczył się w Berlinie, opracowuje metodę robienia zdjęć w kolorze. Najpierw tę samą scenę na zwykłych czarno-białych szklanych płytkach naświetla trzy razy: przez niebieski, zielony i czerwony filtr. Tak powstają negatywowe matryce podstawowych kolorów. W ciemni Prokudin-Gorski

tworzy z nich jeden czarno-biały diapozytyw. Slajd rzucany na ścianę z projektora ze światłem w trzech kolorach daje złudzenie oglądania prawdziwych barw.

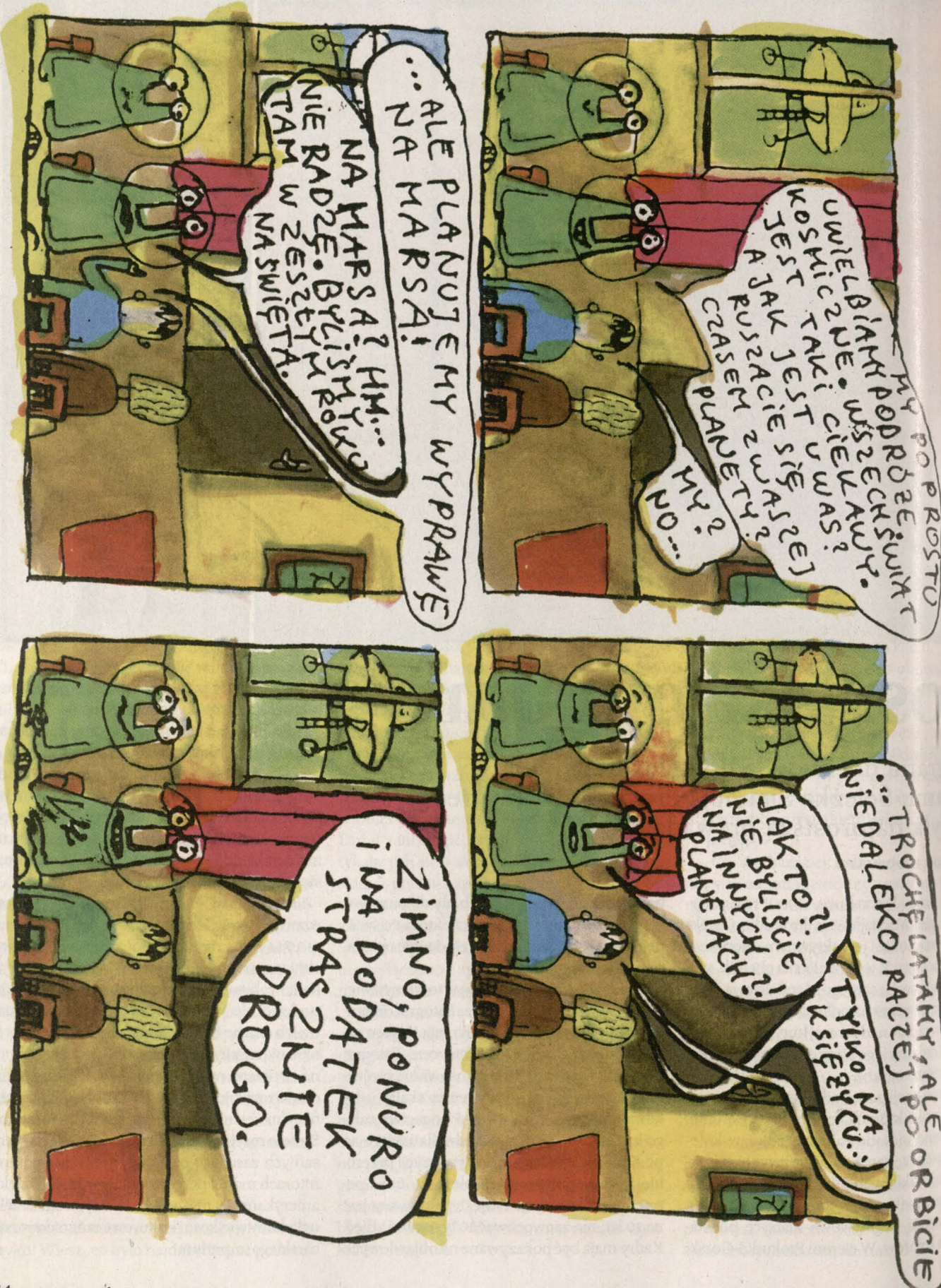
Pokazy slajdów robią furorę w towarzystwie. Wieść o nich dociera do cara. Fotograf organizuje prywatny pokaz dla Mikołaja II i jego rodziny. Romanowowie są zachwyceni. Fotograf namawia więc cara do sfinansowania projektu zakrojonego na gigantyczną skalę: udokumentowania kulturowego bogactwa całego imperium – od Kraju Nadwiślańskiego aż po Kamczatkę. Dostaje do dyspozycji przerebiony na ciemnię wagon kolejowy, łódź i potrzebne dokumenty. Projekt planowany jest na 10 lat, ma zaowocować 10 tysiącami zdjęć. Kadry mają być pokazywane na objazdowych

diaporamach w szkołach, a przyszłym pokoleniom mają służyć za dokument epoki.

Prokudin-Gorski wyrusza w drogę. Dociera na Syberię i Zakaukazie. Fotografuje zabytki, pejzaże, fabryki, ważne postaci (na przykład emira uzbeckiej Bakhary, na zdjęciach powyżej). Prace przerywa wybuch rewolucji. Mecenas projektu zostaje rozstrzelany, wykonawca zaś ucieka do Francji. Na szczęście udaje mu się zabrać ze sobą większość negatywów.

Na emigracji Prokudin-Gorski cały czas rozwija swoją technikę. Po jego śmierci w 1944 roku rodzina fotografa sprzedaje archiwum artysty Bibliotece Kongresu. Amerykanie robią do unikatowego materiału kilka podejść, ale wszystkie metody przerabiania trzech czarno-białych zdjęć na jednokolorowe okazują się zbyt skomplikowane i pracochłonne. Dopiero na przełomie XX i XXI wieku dzięki rozwojowi narzędzi do obróbki fotografii cyfrowej można robić to stosunkowo łatwo. System rosyjskiego fotografa opiera się na tych samych zasadach co wykorzystywany w monitorach model przestrzeni barw RGB. Dzięki amerykańskiej myśli technicznej po stu latach oglądamy wielkość i kulturowe zróżnicowanie carskiego imperium.





# NAJLEPSZE STRONY sukcesu

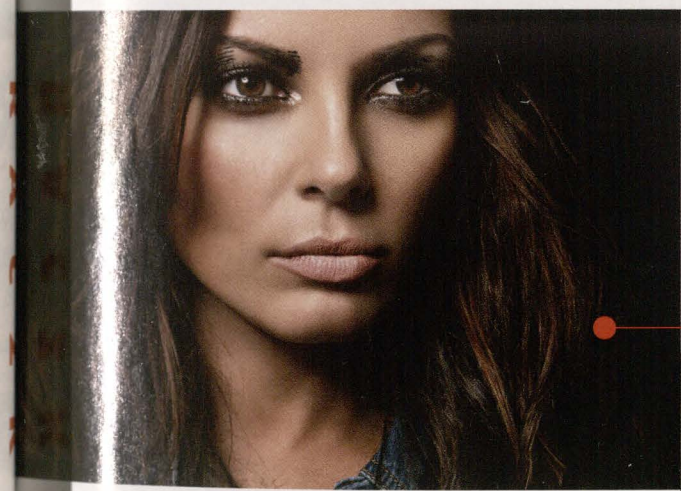


**SEKS, broń w rękach kobiet**

**PSZONIAK I KRAUZE w duecie**



**KATARZYNA GLINKA: w pogoni za starością**



**ANDRZEJ GRABOWSKI: uwaga, nie dla Kiepskich**



Sukces możesz kupić... w kioskach i salonach prasowych



**11 III** Sala Koncertowa  
Piątek  
godz. 19.30

Private Musicke

Pierre PITZL  
{ gitara  
i kierownictwo artystyczne

Lettere Amoroze  
{ m.in. Monteverdi, Caccini,  
Merula, Kapsberger }

© Mathias Bohar / DG | design: M. Szeski

Magdalena /  
**KOŻEŃNA**

mezzosopran

Głos o zadziwiającej głębi, skali i mocy -  
pełen temperamentu i delikatności.  
{ The Times }

Patroni Medialni

Wolontariusze  
podbijają Europę

Kariera  
za darmo



Poszukaj skarbu, czyli  
jak znaleźć pomocnika

# Moda na wolontariat

**PRZE  
KROJ**

WYDANIE SPECJALNE





S P I S  
T R E Ś C I

**Dlaczego warto być wolontariuszem**

- 2 **Komisja Europejska ogłosiła rok 2011 Rokiem Wolontariatu**  
Dlaczego dobrowolna praca na rzecz potrzebujących jest dla Europy tak bardzo istotna, zastanawia się Agnieszka Fiedorowicz
  - 7 **Młodzi wolontariusze ulepszają Europę**  
Mają od 18 do 30 lat, zapał i energię do pracy. O tym, co, gdzie i dla kogo robią uczestnicy Wolontariatu Europejskiego, pisze Marcelina Szumer
  - 11 **Niepełnosprawni – pełnosprawni wolontariusze**  
Niepełnosprawni nie muszą siedzieć w domu, czekając, aż ktoś im pomoże, sami też mogą pomagać – udowadnia Donat Szylter
  - 12 **Fundacje potrzebują emerytów**  
Zwykłym i niezwykłym akcjom organizowanym przez wolontariuszki emerytki przyrzekała się Marcelina Szumer
  - 16 **Biegiem do pomagania**  
Pole działania wolontariusza jest praktycznie nieograniczone – Małgorzata Świąchowicz i Agata Jankowska przygotowały coś dla każdego
- Jak to zrobić**
- 22 **Jak zostać wolontariuszem, jak znaleźć wolontariusza**  
– radzi Donat Szylter
  - 24 **Wolontariat po polsku**  
Agnieszka Fiedorowicz zapytała przedstawicieli fundacji i organizacji pozarządowych, jak ulepszyć wolontariat. Dla ambitnych – alfabet wolontariusza

- 26 **Z wolontariatem przez wieki**  
Czy pierwszym wolontariuszem był miłosierny Samarytanin, czy raczej Prometeusz? Dlaczego Czerwony Krzyż czasem jest Czerwonym Półksiężycem? Mroki dziejów rozjaśnia Anna Szulc
  - 28 **Namierz wolontariat**  
Adresy ważne dla każdego wolontariusza
- Rozmowy o wolontariacie**
- 15 **Bezcenni emeryci**  
Barbara Szynaka z gdańskiego hospicjum imienia księdza Eugeniusza Dutkiewicza o emerytowanych wolontariuszach
  - 25 **Wolontariat a kariera**  
Alicja Defratyka, ekonomistka z Forum Obywatelskiego Rozwoju, tłumaczy związek wolontariatu z rynkiem pracy

# Dobry rok wolontariatu



Fot. Filip Blazejowski/Forum

Przygotowana do Europejskiego Roku Wolontariatu 2011 trasa od dawna. Na zdjęciu: Parada ubiegłorocznych wolontariuszy Schumana w Warszawie

Europejski Rok Wolontariatu ma sprawić, że pomaganie innym stanie się modne jak nowy model komórki. Wolontariuszem może być każdy, a pomagając innym, pomagamy sobie

Mieszkałam w prowizorycznych barakach. Nie mieli ciepłej wody, czasem pod ich nogami biegały szczury. Tłumy dzieci i młodzieży, które przychodziły codziennie na zajęcia do prowadzonej przez wolontariuszy świetlicy, wynagradzały im jednak każdy dyskomfort. – Niektóre po raz pierwszy używały komputerów, uczyły się angielskiego – opowiada Aleksandra Kania, która spędziła pół roku w Boliwii, w górskiej wiosce Indian Aymara. Ola przyznaje, że zawsze marzyła o podróży do Ameryki Południowej, wyjechała tam jednak nie na wycieczkę, ale w ramach europejskiego programu wolontariatu „Młodzież w działaniu”. – Ofiarowałam tym ludziom dużo swojego zapału. Ale znacznie więcej otrzymałam – zauważa wolontariuszka. Ola prowadziła zajęcia dla dzieci, a oprócz tego pomagała w codziennych czynnościach ludziom z zamieszkałej przez 300 osób wioski. – Żyją tam tak jak wieki temu. Razem z moimi podopiecznymi uczyłam się, jak zając się zwierzętami, jak przygotować z zebranych na łące ziół naturalne leki. W środku lata świętowałam obchody Nowego Roku Aymara – wylicza Kania. Jak przyznaje, z Boliwii wróciła bogatsza nie tylko o płynną znajomość hiszpańskiego. – Poznałam życie codzienne tych ludzi, specyficzną, zanikającą niestety kulturę. Pobyt w Boliwii utwierdził też Olę w przekonaniu, że w pracy zawodowej chce się związać na stałe z tak zwanym trzecim sektorem. Dziś sama pomaga wolontariuszom, którzy decydują się na zagraniczne wyjazdy.

A liczba wolontariuszy, czyli osób, które bezpłatnie i dobrowolnie angażują się w pracę na rzecz innych ludzi, rośnie. W inicjatywach działa już ponad sto milionów Europejczyków, z badań Eurobarometru wynika, że aż 80 procent ankietowanych sądzi, iż wolontariat jest niezbędną częścią życia w demokratycznej Europie.

– Trudno dziś wyobrazić sobie funkcjonowanie społeczeństwa bez wolontariuszy. Pomoc biednym, wykluczonym, chorym, ale i edukacja, organizacja imprez sportowych, kulturalnych – trudno znaleźć dziedzinę, w której nie znajdziemy wolontariuszy – zapewnia Markus Held, szef CEV, czyli European Volunteer Centre. Mimo że tak wielu nie wyobraża sobie życia bez wolontariuszy, badania Eurobarometru pokazują, że aktywnymi wolontariuszami jest tylko 3 z 10 obywateli UE. To wciąż za mało. – W Europie brakuje jednej wspólnej strategii rozwoju i promocji wolontariatu. Wielu ludzi wciąż nie wie, że w ogóle mogłoby w jakiś sposób się zaangażować – dodaje Held. Dlatego Komisja Europejska zdecydowała, by rok 2011 ogłosić Europejskim Rokiem Wolontariatu Propagującym Aktywność Obywatelską.

**Wyzwania z aspektami**

– Obchody Roku, obfitujące w liczne konferencje, konkursy oraz intensywną kampanię promocyjną prowadzoną w całej Europie, mają pokazać każdemu z nas, że wolontariat ma wiele twarzy, a pomaganie innym nie musi być tylko niezwykle trudną emocjonal-

nie pracą w szpitalu czy hospicjum. Możemy pomagać i świetnie się przy tym bawić – wyjaśnia Dariusz Pietrowski, prezes stowarzyszenia Centrum Wolontariatu. – Mamy nadzieję, że pokazana w czasie Roku różnorodność form wolontariatu sprawi, że zrozumiemy, iż wolontariat jest ważny nie tylko dla grupy, której pomagamy, ale też nakręca ekonomię i wpływa na kapitał społeczny. Dzięki temu wszystkim żyje się lepiej.

Polacy statystycznie wypadają gorzej niż państwa „starej” Europy, takie jak Wielka Brytania, Holandia czy kraje skandynawskie, w których w wolontariat angażuje się nawet połowa obywateli. Odstajemy nawet od tak zwanej średniej europejskiej, która wynosi 23 procent. Z badań Stowarzyszenia Klon/Jawor wynika, że w 2009 roku tylko 12,9 procent deklarowało, że w minionych 12 miesiącach pracowało jako wolontariusz. Najnowsze badanie wykonane w 2010 roku przynosi jednak optymistyczne dane – liczba wolontariuszy wzrosła prawie do 16 procent. Mimo to w działalność charytatywną w Polsce najczęściej angażują się ludzie młodzi, głównie studenci.

– Wolontariat w każdym kraju UE ma problemy – pociesza Kamila Czerwińska, była wolontariuszka CEV w Brukseli, obecnie menedżer odpowiedzialna za wolontariaty podczas mistrzostw Euro 2012. – W Polsce widoczny jest brak zaangażowania w wolontariat, zwłaszcza w pokoleniu seniorów, ale z kolei takie kraje jak Hiszpania czy Włochy cierpią na brak młodych wolontariuszy. →



# „Dla 80 procent mieszkańców UE wolontariat to ważny element demokracji

→ Wyzwania, które stoją przed Polską, mają wiele aspektów. – Przede wszystkim wolontariat w Polsce wciąż cieszy się niskim prestiżem społecznym, w kraju byłego bloku komunistycznego przez starsze pokolenia wciąż jest kojarzony z obowiązkowymi pracami społecznymi, takimi jak malowanie trawy przed przyjazdem ważnych urzędników z partii – mówi Kamila Czerwińska.

Dariusz Pietrowski zwraca z kolei uwagę na niezmiernie mało różnorodną ofertę pracy dla wolontariuszy. – Rolą organizacji pozarządowych jest stworzenie struktur, w których miejsce dla siebie mogłaby znaleźć młodzież osoby pracujące i aktywni seniorzy. Trzeba pamiętać, że każda z tych grup może społeczeństwu zaoferować coś innego, ale też ma inne potrzeby – wylicza Pietrowski. Podkreśla, że choć wolontariat jest działalnością bezpłatną, trudno mówić, że jest bezinteresowny. – Nawet najbardziej idealistyczne nastawieni wolontariusze, którzy chcą tylko pomagać innym i zmieniać świat na lepsze, otrzymują coś w zamian – nowe umiejętności, doświadczenie, satysfakcję.

Jedną kwestią jest jednak przyciągnięcie do siebie wolontariuszy, a drugą ich zatrzymanie.

## Korzyści z pomocy

– Główny nacisk w czasie obchodów Europejskiego Roku Wolontariatu powinniśmy położyć na wspieranie rozwoju wolontariatu długofalowego – uważa Krzysztof Więckiewicz, dyrektor Departamentu Pożytku Publicznego w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej, odpowiedzialny za organizację obchodów. – Polacy doskonale sprawdzają się w wolontariacie akcyjnym. Skrzykujemy się, gdy coś się dzieje, i pomagamy, jak chociażby w czasie niedawnej powodzi. Ale brak nam cierpliwości do zaangażowania na stałe w działania, które trwają nie dzień czy parę dni, ale rok, trzy-cztery lata.

– Problemem jest to, że wiele instytucji – zarówno organizacji pozarządowych, jak i tych na poziomie samorządu lokalnego – potrafi skupić wokół siebie wolontariuszy na przykład tylko przez miesiąc w roku, gdy organizują jakiś festiwal – dodaje Dariusz Pietrowski. – Dla ludzi, którzy chcieliby pomagać długofalowo, brakuje zaplanowanych, cieka-

wych działań. Chcielibyśmy, by organizacje korzystające z pracy wolontariuszy w czasie tego roku dostały wsparcie merytoryczne, które pozwoli im lepiej organizować działania i zamiast jednego wydarzenia zaplanować 10 podzielonych na cały rok.

Markus Held, szef Europejskiego Centrum Wolontariatu, zauważa, że wolontariat często jest lekceważony nie tylko przez społeczeń-

stwo, ale i przez rząd, bo mało kto zdaje sobie sprawę z jego wymiernych korzyści. – Pracę, którą wykonują wolontariusze, to w Europie średnio pięć procent produktu krajowego brutto. Nie należy też zapominać, że trzeci sektor tworzy sporą liczbę miejsc pracy – wylicza.

Pietrowski twierdzi, że gdyby zsumować godziny pracy, którą wykonują rocznie wol-

## Zmieniamy świat i siebie

**EWA SYNOWIEC**, dyrektor Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce



FOT. Marek Szczepański

**E**uropejski Rok Wolontariatu 2011 to dobra okazja, żeby zastanowić się nad tym, co możemy zrobić dla innych. Bezinteresownie. W ramach wolnego czasu. Po prostu pomóc tym, którzy tego potrzebują.

Co roku sto milionów obywateli UE poświęca czas i wiedzę, pomagając potrzebującym. Wszędzie tam, gdzie ludzie się organizują, aby sobie pomagać, przynosi to korzyści zarówno osobom, którym udzielana jest pomoc, jak i samym wolontariuszom.

Wolontariat to wyzwanie, bo nie zawsze mamy czas czy ochotę angażować się w działalność dobroczynną. Ale to również szansa: rozwijania nowych umiejętności, nauki języków obcych, poznawania nowych miejsc, ludzi, poszerzania swoich horyzontów i uwrażliwienia otoczenia, w którym funkcjonujemy, że można spontanicznie poświęcić swój czas dla innych ludzi czy na działania o charakterze społecznym.

Unia Europejska od dawna zachęca młodzież do udziału w projektach Wolontariatu Europejskiego. Ale działalność charytatywna nie jest domeną wyłącznie młodych ludzi. W roli wolontariuszy świetnie odnajdują się też starsze osoby, które mogą służyć innym swoim czasem i bezcennym życiowym doświadczeniem.

Celem ogłoszonego przez UE Europejskiego Roku Wolontariatu jest przede

wszystkim zmniejszenie barier dla działań wolontaryjnych w całej Unii Europejskiej, poprawa ich jakości, uznanie działań wolontariackich, a także szerzenie wiedzy o wartości i znaczeniu wolontariatu.

Tym zagadnieniom będą podporządkowane akcje planowane w tym roku przez Przedstawicielstwo Komisji Europejskiej w Polsce. Planujemy między innymi przeprowadzenie kampanii internetowej, o wolontariacie będziemy informować też przy okazji tegorocznych obchodów Dnia Europy i dorocznej Parady Schumana, a także podczas letniej akcji informacyjno-edukacyjnej „EuroQuiz 2011” organizowanej w 15 polskich miastach. Świetną okazją do promocji idei wolontariatu będzie też Brave Festival, który odbędzie się we Wrocławiu na początku lipca 2011 roku.

Wolontariat wzmacnia podstawowe wartości europejskie: solidarność i spójność społeczną – mówiła niedawno Viviane Reding, komisarz UE do spraw wymiaru sprawiedliwości, praw podstawowych i obywatelstwa, dodając przy tym, że liczy na poparcie tych, którzy pragną zmieniać świat i siebie.

Zmieniamy świat i siebie, pamiętając, że Europejski Rok Wolontariatu to jedynie zachęta do działania, uchylone drzwi, za którymi być może ktoś czeka na naszą pomoc i wsparcie. To także zachęta, żeby rozejrzeć się wokół i uświadomić sobie, że wolontariuszem może zostać każdy z nas.



Badania Eurobarometru pokazują, że już niemal sto tysięcy Europejczyków aktywnie działa na rzecz innych



FOT. CEV

## Ten rok zlikwiduje bariery

**MARKUS HELD**, szef The European Volunteer Centre (CEV)

**N**ajważniejszym zadaniem Europejskiego Roku Wolontariatu powinno być doświadczenie mieszkańców UE, że każdy z nich może być wolontariuszem. Trzeba wspierać 30 procent obywateli, którzy już angażują się w wolontariat, ale musimy także pracować nad tymi 70 procentami, którzy nie widzą dla siebie miejsca w trzecim sektorze.

Niezwykle ważnym aspektem Europejskiego Roku Wolontariatu powinno być też sięgnięcie po niewykorzystane rezerwy, aktywizację seniorów, zaangażowanie ludzi czynnych zawodowo w różne formy wolontariatu pracowniczego, ale przede wszystkim grup, które są często społecznie marginalizowane, a więc bezrobotnych oraz mniejszości narodowych, głównie imigrantów. Te grupy najczęściej deklarują niechęć do zaangażowania się w działalność społeczną, nastawione są na otrzymywanie pomocy, a nie jej udzielanie.

Tymczasem praktyka pokazuje, że zaangażowanie w wolontariat przynosi duże korzyści psychologiczne, pozwala poczuć się potrzebnym, odzyskać godność, ale także zdobywać kwalifikacje, które pomogą w znalezieniu lepszej pracy, awansie społecznym. Niestety, w części krajów UE problemem wciąż jest brak legislacji, która pozwalałaby na wolontariat osobom, które korzystają z różnych form pomocy państwowej, na przykład zasiłku dla bezrobotnych. Chcielibyśmy, aby w Europejskim Roku Wolontariatu te bariery zostały zlikwidowane.

tariusze, i przemnożyć tę wartość przez najniższą stawkę na rynku (około ośmiu złotych), okazałoby się, że państwo zyskuje kilka miliardów. – A przecież wielu wolontariuszy wykonuje prace specjalistyczne. Na przykład prawnicy, którzy angażują się w sprawy *pro publico bono*, na co dzień pracują w renomowanych kanceliach i godzina ich pracy jest warta nie osiem, ale kilkaset złotych – mówi doktor Adam Bodnar z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Jak jednak dodaje Pietrowski, większość pracy jest nieprzeliczalna, bo kształtuje tak zwany kapitał społeczny.

– Wolontariat jest jedną z lepszych form zdobywania przez młodych ludzi doświadczenia, które zaowocuje później na rynku pracy – przekonuje Agnieszka Moskwiak, koordynatorka programu „Młodzież w działaniu”. Jej zdaniem wolontariat, będąc „cennym wpisem w CV”, jest coraz częściej traktowany przez młodych jako powód do przystąpienia do programu. – Niestety, wielu pracodawców wciąż próbuje wykorzystać dobre chęci wolontariuszy do zapewnienia sobie darmowej siły roboczej. To sprawia, że przez niektórych wolontariat jest postrzegany jako pańszczyzna, którą trzeba odrobić.

Niejednokrotnie pracodawca, który myśli w tych kategoriach, w ogóle nie dostrzega wartości wolontariatu. – Łatwo jest napisać w CV: „Jestem kreatywny, świetnie współpracuję w grupie, znakomicie znam język rosyjski”. Czasem są to tylko obietnice bez pokrycia.

Tymczasem wolontariat daje gwarancję, że młody człowiek faktycznie umie sobie radzić, bo jak inaczej zorganizowałby zajęcia dla setki dzieci w amazońskiej dżungli lub na mongolskim stepie? To nie gdzieś indziej, ale na rocznym wolontariacie w Hiszpanii nauczył się mówić płynnie żywym językiem. A praca w grupie i odporność na stres? – wylicza Moskwiak.

## Nadzieje na lepsze

– Wolontariusz nie podnosi tylko swoich umiejętności, ale przez swoją pracę rozwija innych – uważa Pietrowski. Szef stowarzyszenia Centrum Wolontariatu podaje przykład programu, w ramach którego studenci wyjeżdżają na tereny wiejskie i organizują tam dzieciom dodatkowe zajęcia. – Pokazują im, że można mieć ambicje, rozwijać swoje zainteresowania. Może część tych dzieci dzięki takim zajęciom znajdzie w sobie pasję, pójdzie na studia, może to uratuje niektóre z nich przed pozostaniem w miejscu bez perspektyw? Może rząd powinien myśleć o tym w kategorii zasiłków dla bezrobotnych, których nie będzie musiał w przyszłości wypłacać właśnie tym młodym ludziom? Tak postrzegany wolontariat niejednokrotnie ogranicza nie tylko obecne, ale i przyszłe obszary ubóstwa, społecznego wykluczenia – zauważa Pietrowski.

Należy też pamiętać, że trzeci sektor, a więc organizacje pozarządowe, jest niezwykle →







” Dla wolontariuszy Europa przestaje mieć granice, w chwili gdy znikają ich własne granice mentalne

→ godzin dziennie pracować z więźniami (resztę czasu poświęcił intensywnej nauce hiszpańskiego, rozpoczął też lekcje gry na charango, boliwijskim instrumencie przypominającym małą gitarę). Pierwsze zajęcia były wyjątkowo nieudane. – Spóźnienia, nieporozumienia, przetasowania. W końcu zostałem w sali z dwiema osobami – opowiada chłopak. Z lekcji wyszedł podłamany, niewiele brakowało, by swoje więzienne obowiązki sam zaczął traktować jak wyrok. Na szczęście następnego dnia było lepiej: pięcioosobowe grupy, ludzie otwarci i chętni do nauki. – Kłopot był tylko z kilkoma mężczyznami. Nie robili żadnych postępów, choć tłumaczyłem im wiele razy, nie zapamiętywali najprostszych rzeczy – mówi Michał. Dopiero później dowiedział się, że oni nie umieli czytać.

Po murach więziennych przyszła pora na mury uniwersyteckie. Michał i Aneta (przyjaciółka z czasów liceum, też studentka UW, do Boliwii przyjechali razem) napisali własny projekt zajęć. Uczyli studentów kierunków lingwistycznych o Europie (w planie znalazły się między innymi wykłady o europejskich krajach i językach, stosunkach międzynarodowych w Europie, równouprawnieniu i prawach człowieka). Szybko przekonali się, że nie wszyscy na świecie myślą tak jak oni, a na drugiej półkuli znajomość układów panujących w Europie przeciętnemu studentowi nie jest do szczęścia potrzebna. A jednak zajęcia na coś się przydały. Studenci lingwistyki (angielski, francuski) dowiedzieli się na przykład, że Szkocja nie leży w Rosji, Wielka Brytania nie jest kontynentem, a lista znanych Europejczyków XX wieku nie kończy się na Hitlerze. Były też zajęcia o przywództwie oraz warsztaty liderów. I to właśnie tam Michał i Aneta sporo nauczyli się także o własnej kulturze. „Temat konstruktywnej krytyki był najcięższy. Zadanie było pozornie proste – uczestnicy, pracując w grupach, mają zbudować wieżę z papieru. Po zakończeniu ćwiczenia należy podzielić się uwagami na temat współpracy z pozostałymi uczestnikami, znaleźć pozytywne w każdej osobie, ale też pokazać, co można poprawić. W europejskich

szkoleniach, w których wcześniej brałszy udział, prowadzący zawsze podkreślają, żebyśmy postarali się znaleźć pozytywne, a nie tylko krytykować. W Boliwii trudno było o krytykę. Tutaj wszystko jest dobrze, nie trzeba się przejmować, wszystko się wybaczy. Jeśli popełnimy błąd, nikt nie wytknie nam go od razu” – zdziwieni pisali na blogu. Musieli uważać na każde słowo, bo w Boliwii (zresztą czy naprawdę tylko tam?) krytyka przyjmowana jest bardzo dosłownie. Nie jako rada, raczej jako obraza.

**Randkowanie to wyzwanie**

Wolontariat to nie tylko obowiązki. Jest też życie towarzyskie. Choć nieco utrudnione ze względu na specyficzne podejście Boliwijczyków do czasu. Michał szybko musiał się nauczyć, że „będę za 20 minut” może równie dobrze oznaczać, że ktoś zjawi się za trzy godziny albo nie przyjdzie wcale.

Podczas dziewięciomiesięcznego pobytu w Boliwii miał okazję celebrować wszystkie

ważniejsze święta i imprezy: Zaduszki, Boże Narodzenie, karnawał, Wielkanoc. – Byli przyzwyczajeni do wielkopostnej zadumy i trudno nam było wyobrazić sobie Wielki Tydzień inaczej. Tymczasem w Boliwii w ramach Tygodnia Wielkiego Czwartku jest odwiedzanych 12 kościołów. Wieczorem na ulicy był samowity gwar, tysiące ludzi spacerowało od świątyni do świątyni, kościoły były wypełnione po brzegi, na ulicach stały stragany z daniem, stoiska z zabawkami – wspomina Michał.

Zdziwił się też, gdy próbował pójść na randkę. – Chciałem umówić się na kawę z młodą dziewczyną. „Wiesz, ale ja mam starszego brata” – powiedziała. Nie wiedziałem, co to ma być, więc zaproponowałem, żeby ona wzięła. Zaczęła się śmiać i stwierdziła, że byłby zbyt zazdrosny – wspomina Michał i mówi, że zazdrość mężczyzn na naszej półkuli to pikus przy tym, jak zachowują się mężczyźni w krajach Ameryki Południowej – Jeśli dziewczyna w Boliwii ma chłopaka

to nie może się spotykać z żadnym innym facetem sam na sam. Zazdrości są też ojcowie. Jedną koleżankę opowiadała, że tata nie wypuszczał jej samej nawet do sklepu. – Pewnie dlatego Aneta wołała damskie towarzystwo. – żartuje.

Udane były za to podróże. Michał i Aneta widzieli jezioro Titicaca, uznawane za jeden z siedmiu cudów świata miasto Machu Picchu, odwiedzili też Peru i Paragwaj. Było na pół legalne przekraczanie granic, negocjacje ze strażnikami, gdy okazało się, że wizy wygasły, i tysiące innych przygód, o których inne dwudziestoparolatki tylko śnią.

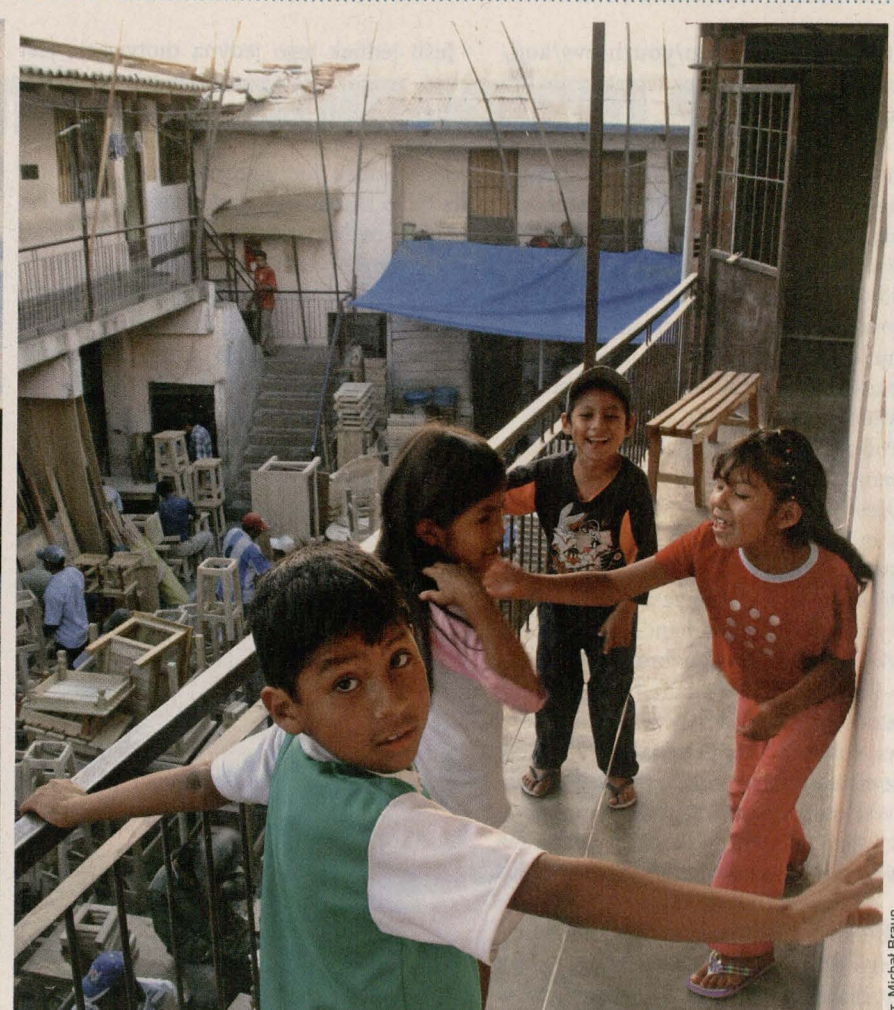
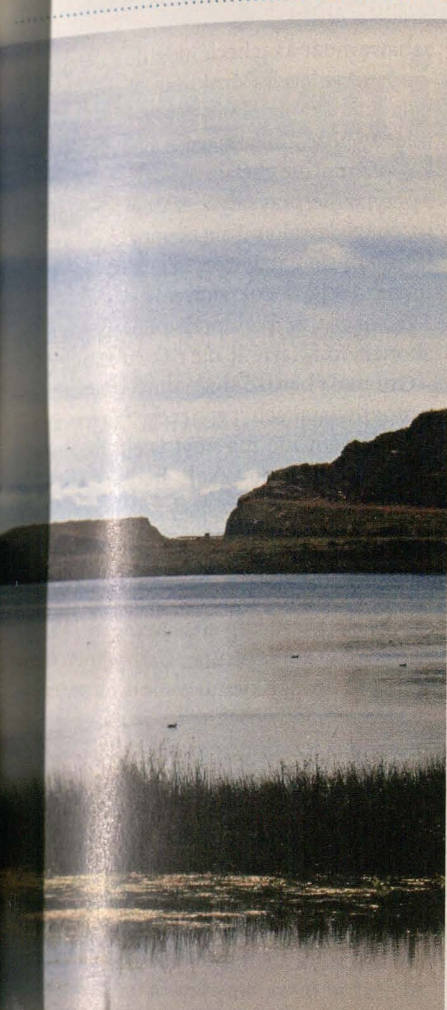
**Niepotrzebny ci pełen portfel**

Michał radzi im, by przestali śnić i tak jak oni zostali wolontariuszami. Jeśli nie boją się wyzwań i pracy, a jednocześnie chcą poznać świat i obce kraje z perspektywy innej niż ta, którą daje wykupiona w biurze podróży opcja all inclusive, powinni już dziś pomyśleć o Wolontariacie Europejskim.



FOT. Michał Braun

Titicaca na granicy Boliwii i Peru to największe wysokogórskie jezioro na ziemi (3812 m n.p.m.). Michał wybrał się tam pod koniec pobytu w Ameryce Południowej



FOT. Michał Braun

„Plac zabaw” urządzony przez dzieci skazańców więzienia San Sebastian

European Voluntary Service to jedyny w swoim rodzaju (przynajmniej w Polsce nie funkcjonuje żaden podobny) program Unii Europejskiej kierowany do młodych ludzi w wieku od 18 do 30 lat. Finansowany jest ze środków programu Komisji Europejskiej „Młodzież w działaniu” i umożliwia nawet roczny pobyt za granicą. – Nie ma żadnych przeciwwskazań, każdy może wyjechać. Nie liczą się oceny, jakie miało się w szkole, ani znajomość języka obcego. Ważne jest tylko, żeby dobrać projekt zgodny z zainteresowaniami – przekonuje Michał (przecież nie ma sensu wyjeżdżać na koniec świata, by przez rok robić coś, co nie przyniesie żadnej satysfakcji) i zapewnia, że formalności – mimo że ich załatwienie trwa nawet kilka miesięcy – nie są skomplikowane.

By wyjechać, niepotrzebny jest pełen portfel (rzecz tak rzadko przecież u młodych ludzi spotykana), bo wszystkie koszty pobytu za granicą (wyżywienie, mieszkanie, kurs języka obcego itp.) pokrywane są ze środków

unijnych. Oprócz tego wolontariusz dostaje kieszonkowe. Nie trzeba nawet (choć oczywiście nie zaszkodzi) znać języka kraju, do którego chce się wyjechać. Wystarczy zapał do pracy.

Wolontariusz ani przez chwilę nie jest pozostawiony sam sobie. Już od momentu, w którym zdecyduje się wyjechać, może liczyć na pomoc, nawet jeśli nigdy nie był wolontariuszem i nie należy do żadnej organizacji pozarządowej. Tylko w ubiegłym roku z możliwości, które daje program, skorzystało w Polsce około 900 osób. Wolontariusze pojechali między innymi na Maltę, do Niemiec, Włoch, Portugalii i Turcji. Jest w czym wybierać, ponieważ w programie uczestniczą nie tylko wszystkie kraje Unii Europejskiej, ale też te, które współpracują ze Wspólnotą. Można wyjechać na przykład na Bałkany, do Rosji, Gruzji lub Azerbejdżanu, Libanu, Maroka bądź Syrii i wielu innych państw (kontakt do organizacji wysyłających i przyjmujących wolontariuszy można znaleźć za pośrednictwem strony →



→ [http://ec.europa.eu/youth/evs/aod/hei\\_en.cfm](http://ec.europa.eu/youth/evs/aod/hei_en.cfm) - szukać można tematycznie lub krajami).

Od czego zacząć? - Przede wszystkim zastanowić się, co chce się robić za granicą - tłumaczy Michał. - Gdy już to wiemy, możemy zacząć poszukiwania interesującego nas projektu i zagranicznej organizacji, w której chcielibyśmy go realizować. Następny krok to zgłoszenie się do instytucji, która nas tam skieruje, czyli jednej z polskich fundacji akredytowanych przez narodową agencję programu „Młodzież w działaniu”.

W Polsce agencją koordynującą program i przyznającą pieniądze na wyjazdy wolontariuszy jest Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji. Na jej stronach można znaleźć listę organizacji wysyłających wolontariuszy za granicę. To one pomogą chętnym załatwić wszystkie sprawy związane z wyjazdem. - Potem trzeba już tylko złożyć wnioski i uzbroić się w cierpliwość - radzi Michał. I słusznie, bo załatwienie formalności może trwać nawet kilka miesięcy. Oprócz aplikacji, którą trzeba złożyć w jednym z pięciu wyznaczonych przez FRSE terminów (1 lutego, 1 kwietnia, 1 czerwca, 1 września i 1 listopada każdego roku), trzeba też przejść specjalne szkolenie dla wolontariusza.

**Nie tylko zwiedzanie**

Dlaczego Wolontariat Europejski jest tak ważny dla Unii? Przecież nie chodzi tylko o to, żeby zafundować darmowe wycieczki.

Promowanie idei wolontariatu to dla Wspólnoty same korzyści. Ekonomiści na przykład uważają, że choć wolontariuszom się nie płaci, ich praca jest bardzo istotna dla gospodarki. Przynosi bowiem od trzech do pięciu procent PKB. Pieniądze przeznaczone przez UE na wyjazd i przeszkolenie wolontariusza to inwestycja, która zwraca się z nawiązką: uczestnicy Wolontariatu Europejskiego zdobywają przecież nowe kompetencje i umiejętności.

- Projekty mogą dotyczyć bardzo wielu rzeczy - od ekologii po pracę z młodzieżą, dziećmi, więźniami, ze starszymi - wymienia Michał i podkreśla, że nic tak skutecznie nie nauczyło go odpowiedzialności, tolerancji i otwartości na inne kultury.

I to też jest dla Komisji Europejskiej bardzo ważne. Uczestnik Wolontariatu Europejskiego wraca przecież do kraju nie tylko ze znajomością języka obcego, ale także z dużą wiedzą o tym, jak wygląda prawdziwe życie za granicą, jakie stosunki panują w państwie, w którym przebywał, czym zwiększa swoje kompetencje międzykulturowe. Im lepiej zna „innego”, tym mniej się go boi.

Jeśli jednak jego jedyną motywacją jest chęć zwiedzania, powinien zrezygnować z uczestnictwa w programie. - Wolontariat Europejski to nie wycieczka. Lepiej, żeby wolontariusz nie wybierał pracy, kierując się tylko klimatem i atrakcyjnością miejsca. Inaczej będzie rozczarowany, że zadania, które musi wykonywać na pięknej Malcie, w ogóle go nie interesują - mówi Agnieszka Moskwiak z Fundacji Rozwoju Systemu Edukacji koordynująca Wolontariat Europejski. Jej zdaniem wolontariusz powinien być elastyczny. - Jeśli nie jest zadowolony z pracy, powinien poinformować o tym koordynatora w organizacji goszczącej i wspólnie zastanowić się nad tym, co zrobić, by było lepiej - tłumaczy.



Na Boliwii się nie skończyło. Dziś Michał pełni funkcję prezesa Centrum Wolontariatu w Kielcach

Można jej wierzyć na słowo, bo jest nie tylko ekspertką FRSE, ale też była uczestniczką Wolontariatu Europejskiego. W 2002 roku spędziła rok na Sycylii. Wyjazd wspomina do dziś. Jechała bez znajomości włoskiego, ale Palermo pokochała od pierwszego wejrzenia. Podobnie jak włoską młodzież, którą opiekowała się w świetlicy środowiskowej w jednej z najgorszych dzielnic miasta, i bezrobotną młodzież. - Najpierw wydawało mi się, że praca polega na ciągłej zabawie i nic nie wnosi. Dopiero po jakimś czasie zaczęłam rozumieć, że tam przymuszanie nic nie daje. Tylko przez

zabawę można zachęcić ludzi do dalszej nauki - mówi Agnieszka Moskwiak. Na początku bała (kiepska dzielnica, duże różnice wiekowe między uczestnikami zajęć, ona nie zna języka), później nie chciała wyjeżdżać. - Zaufanie i przyjaźnie przyszły z czasem. Osiągnęłam to, co wydawało mi się niemożliwe - zaprzyjaźniłam się z dziewczynką, która wcześniej nienawidziła obcokrajowców.

Zaznacza, że Wolontariat Europejski to nie skonała rozwiązanie nie tylko dla studentów. - Oni mają bardzo dużo innych programów umożliwiających wyjazdy zagranicę. Tymczasem nie ma zbyt wielu możliwości dla młodzieży po szkole średniej, która idzie na studia albo kończy szkoły zawodowe. Wiele z tych osób nie pracuje, a ich szanse na odniesienie w Polsce zawodowego sukcesu są znikome. Tymczasem EVS nie stawia im właściwie żadnych ograniczeń - mówi Moskwiak i przekonuje, że dzięki Wolontariatowi Europejskiemu wiele osób wierzy w swoje możliwości, w to, że mogą być potrzebne, a ich umiejętności komuś się przydadają. - Program wspiera też mobilność. Ma to slogan, ale dla jego uczestników Europa naprawdę przestaje mieć granice, bo znikają ich własne granice mentalne.

Perspektywę i wyobrażenia o Europie Wschodniej zmienili też ci wolontariusze, którzy przyjechali do Polski. Nicola Santoro z Włoszka, która między innymi pracowała z dziećmi w krakowskim przedszkolu do końca życia nie zapomni andrzejkowych wróżb, a Matthew Childs z Wielkiej Brytanii, jak przygotowywał we Wrocławiu Parafę Świętojańską. Pracował też w biurze, krajoznawstwo, pomagał organizować imprezy w szkołach. „Na początku bałem się, że nie poradzę sobie w pracy w biurze. Wiedziałem, że będę pracował w organizacji młodzieżowej, ale sądziłem, że biuro jest zawsze pełne młodych ludzi!” - napisał w swoich wspomnieniach z pobytu w Polsce. Kłopoty były na początku, gdy odbierał telefon w biurze organizacji - nie znał polskiego, rozmówcy byli na białym z angielskim. „Gdy nauczyłem się kilku słów po polsku, poszło łatwiej”.

Wspomnienia Matthew i innych wolontariuszy można znaleźć na stronie programu „Młodzież w działaniu”. Choć każde z nich było w innym kraju i wykonywało inną pracę, jest coś, co ich łączy. Wszyscy uważają, że doświadczenie pozwoliło im nie tylko dojrzeć i zmienić. I żałują, że w programie można wziąć udział tylko raz.

Marcelina Sz...

# Pomogłem innym, pomogłem sobie

Skoro sam potrzebujesz opieki, nie możesz pomagać innym. Logiczne? W żadnym wypadku. Co roku niepełnosprawni wolontariusze z całej Polski niosą pomoc potrzebującym w Europie



ILUSTRACJA: Mateusz Kolek

lu ich jest, nikt nie wie. Niepełnosprawni udzielający się w ramach Wolontariatu Europejskiego nie są ujęci w żadnych statystykach. Komisja Europejska zabrania grupować wolontariuszy ze względu na płeć, wyznanie, rasę czy niepełnosprawność. Wiadomo jednak, że spośród 376 osób, które w 2009 roku wyjechały za granicę, by pomagać, od 10 do 15 to właśnie niepełnosprawni. Mało? - Wcale nie! Pamiętajmy, że dla nich podjęcie decyzji o wyjeździe jest naprawdę trudne - mówi Agnieszka Moskwiak, koordynatorka „Akcji 2” unijnego programu „Młodzież w działaniu”, dzięki któremu wolontariusze niosą pomoc w całej Europie.

Dla niewielu osób decyzja o wyjeździe była tak trudna jak dla 28-letniego Pawła Błachowicza z Bystrzycy Kłodzkiej. Zostawić wszystko, by przez kilka miesięcy całkowicie poświęcić się innym, w dodatku w obcym kraju, bez znajomości języka? No i jeszcze ten wózek... - Cierpię na postępujący zanik mięśni. Sam potrzebuję pomocy w codziennych czynnościach: ubieraniu się, toalecie, czasem nawet trzeba mnie karmić. Kiedy więc usłyszałem, że to właśnie ja mogę zrobić coś dla innych, miałem duże obawy.

Zanim Paweł zaangażował się w wolontariat, życie - jak sam mówi - nie dawało mu satysfakcji. Jako niepełnosprawny przyzwyczaił się, że świat za oknem nie jest dla niego. Spędzał całe dnie w domu, eksternistycznie studiując marketing i zarządzanie. - Miałem

dość, nie chciałem tak żyć. Zaczęłam szukać pracy - opowiada 28-latek. W 2004 roku dostał z urzędu pracy niecodzienną propozycję. Etnatu nigdzie nie było, ale za to pojawiła się szansa popracowania za darmo w Wielkiej Brytanii. Po długim namyśle wyjechał tam razem z dwójką opiekunów, których obecność sfinansował program „Akcja 2”.

Przez trzy miesiące Paweł pomagał niepełnosprawnym. Spędzał z nimi czas, rozmawiał, grał w karty, towarzyszył im w oglądaniu telewizji i przy czytaniu książek. Do Polski wrócił ze znajomością języka angielskiego. Ale to chyba najmniej istotny profit, który przyniosła mu praca wolontariusza.

- Zrozumiałem, że branie nie jest sposobem na życie. I tak zakończyłem poprzednie życie człowieka, który był uzależniony od innych, a zacząłem nowe. Zyskałem wiarę w siebie i motywację - mówi Paweł Błachowicz.

Motywacja była ogromna. Oprócz marketingu i zarządzania Paweł skończył kolejne studia - europeistykę i pedagogikę. Wyjechał na stypendium do Finlandii, gdzie studiował marketing. Znalazł pracę, teraz jest dyrektorem przedszkola w Bystrzycy.

- Taki wyjazd to dla osób niepełnosprawnych skok na głęboką wodę. Szkoła życia i dojrzałości, która uczy przede wszystkim jednego: to, że jestem niepełnosprawny, nie znaczy, iż jestem gorszy - mówi Agnieszka Moskwiak. To ważne szczególnie w Polsce, gdzie wciąż pokutuje myślenie, że niepełnosprawny jest kłopotem, którym powinny się zająć opieka społeczna i rodzina. - A podczas wyjazdu wolontariusze uczą się samodzielności, zarządzania swoim budżetem, zakupów, mówiąc krótko: dbania o siebie - dodaje Moskwiak.

Oczywiście nikt nie jest zdany tylko na siebie. Niepełnosprawnym wolontariuszom - tak jak w przypadku Pawła - program finansuje obecność opiekuna. Pokrywa też wszystkie koszty: ubezpieczenie, podróz, zakwaterowanie i wyżywienie. Wolontariusz dostaje też kieszonkowe, więc przez cały okres swojej pracy nie wydaje ani grosza z własnej kieszeni.

Donat Szyller



# Seniorzy potrzebni od zaraz

To nieprawda, że emeryci potrafią tylko w kolejności alfabetycznej wyliczać swoje przypadłości. Wielu z nich właśnie na emeryturze odkryło, że są stworzeni do wolontariatu. Zakasali więc rękawy i ruszyli do pracy

**N**ie było łatwo umówić się na spotkanie z panią Beatą Chomicz. I to wcale nie dlatego, że ona mieszka w Toruniu, a ja w Warszawie. To najmniejszy kłopot. Większym problemem był napięty grafik. Nie mój - pani Beaty. Za kilka dni skończy 88 lat, ale w domu bywa rzadko, bo przeważnie załatwia jakieś sprawy (u biskupa, u burmistrza, w Warszawie) albo udziela wywiadów dla lokalnych gazet, a nieliczne wolne chwile spędza, grając z przyjaciółmi w brydża. W końcu się udało. Małe mieszkanie. W salonie przedwojenne biurko (to samo, przy którym jeszcze jako uczennica gimnazjum w Pińsku odrabiała lekcje), na biurku włączony komputer. Pani Beata już rok temu zamieniła starą maszynę do pisania na używanego (przez wnuka), ale wciąż sprawnego peceta: - Wysyłam bardzo dużo wiadomości, muszę być w kontakcie z dziesiątkami ludzi. Zwykła poczta jest za wolna - śmieje się emerytka, widząc moje zdziwienie. Zresztą dla niej nie tylko polska poczta jest zbyt wolna. Polskie szpitale też. Dlatego już kilka dni po operacji (rak) - ku rozpaczy lekarzy i przerażeniu rodziny - na własne życzenie wypisała się z toruńskiego szpitala, by zorganizować obóz harcerski. Na Białorusi.

## Babcia Polka rozkłada namioty

- Ktoś przecież musiał to zrobić, namioty same się nie rozstawią - tłumaczy pani Beata. - Obiecałam dzieciom, że obóz się odbędzie,

i nie mogłam ich zawieść. Poza tym na co miałam czekać?

Wyszła ze szpitala, spakowała manatki i ruszyła do Słonimia. Kontakt z tamtejszymi harcerzami nawiązała już wcześniej, bo od kilku lat szkoliła kadrę instruktorską, ale to miał być pierwszy obóz, który białoruscy harcerze zorganizowali u siebie. I bardzo liczyli, że „polska babcia” - jak do dziś pieszczotliwie ją nazywają - pomoże. Za wyjazd i pracę nikt jej nie płacił, wszystko robiła jako wolontariusz. - Najlepszą zapłatą były dla mnie radosne buzie dzieci żyjących w kraju, w którym nie ma wiele powodów do radości - mówi pani Beata.

Potem harcmistrzyni pomyślała, że nie tylko ona ma tak dużo zapału i chęci do pracy. Skrzyknęła kilkoro dawnych znajomych (też emerytowanych) i założyła w Toruniu Harcerski Krag Seniorów - emerycki *dream team*, który pomaga, gdzie może i jak może: organizuje charytatywne zbiórki pieniędzy (na przykład na odnowienie nagrobków na cmentarzu świętego Jerzego w Toruniu), spotkania i koncerty. Gdy w 1999 roku Jan Paweł II wynosił na ołtarze Wincentego Frelichowskiego (też harcerza), pani Beata w mundurze pełniła harcerską służbę podczas pielgrzymki. Skąd zapał i chęć działania?

- Nigdy nie umiałam usiedzieć w miejscu. Jeszcze przed wojną, kiedy byłam dziewczynką, rodzice wymagali ode mnie pracy na rzecz innych. W domu mieliśmy służbę, a ja służyłam w harcerstwie. Pomagałam też

mamie w Caritasie, a w wolnych chwilach uczyłam chłopskie dzieci albo organizowałam im spektakle. W czasie wojny byłam łączniczką w AK, po wojnie przez wiele lat nie mogłam pracować społecznie, bo byłam „elementem niepożądanym” przez stalinowską władzę. Teraz to sobie odbijam - śmieje się pani Beata.

Do zdumionych spojrzeń i komentarzy że „taka stara, a jeszcze jej się chce”, już przyzwyczyła. Ją z kolei dziwi, że jest to dla młodych, którym się nie chce. Choć akurat jej podopiecznym nie można tego zarzucić. Przecież to właśnie wolontariusze z Złotego Godziny spędzili godziny na układaniu worków z piaskiem, gdy w sierpniu ubiegłego roku fala powodziowa na Włocławku dotarła do Torunia.

## Europa stawia na seniorów

Pani Beata do pracy na rzecz innych nie wiać nie trzeba. Wraz z kolegami i tak (zamiar nie nieświadomie) wprowadza w życie inicjatywę jakże za cel obrała sobie Unia Europejska - aktywizacja seniorów i zachęcenie ich do wolontariatu to jeden z bardzo ważnych elementów programu „Uczenie się przez całe życie”. Chodzi w nim między innymi o to, by osoby powyżej 50. roku życia pozostawały aktywne, uczyły się czegoś nowego, a jednocześnie przekazywały innym swoją wiedzę i umiejętności. Pierwsze pilotażowe programy sfinansowane do wolontariuszy seniorów (European Exchange Programme for Older



**Pani Teresa Marczevska** jest emerytowaną reżyserką teatralną. Ma 73 lata i niespożytą energię. Pomagać innym zaczęła kilka lat temu, gdy wróciła do zdrowia po ciężkiej chorobie. - Dostałam drugie życie. Jakoś chciałam za to podziękować - mówi wolontariuszka

Fot. Szymon Brzóska





88-letnia Beata Chomicz (przy fotelu, pierwsza z prawej) stworzyła Harcerski Krąg Seniorów. Pracuje też z młodzieżą, organizuje zbiórki pieniędzy, oprowadza biografie osób zasłużonych dla ZHP. Podczas papieskiej pielgrzymki do Polski w 1999 roku pełniła służbę z innymi harcerzami



→ Volunteers, Mobility 55 czy Still Active) wystartowały przeszło 10 lat temu. Ich najmłodsi uczestnicy byli po pięćdziesiątce, najstarsi dobiegali dziewięćdziesiątki. Okazało się, że nie tylko młodzi świetnie sprawdzają się jako wolontariusze. Nawet za granicą. Austriaccy seniorzy charytatywnie przeprowadzali przez ulice w Rzymie włoskie maluchy, porządkowali park, pracowali w muzeum i opiekowali się niepełnosprawnymi dziećmi z Estonii.

Organizatorzy wyjazdu założyli, że seniorzy będą pracować jedynie przez 20 godzin

w tygodniu (żeby się nie przemęczeni). Najwi- doczniej jednak nie docenili ich energii: „Złe się czułem z tym, że młodzi wolontariusze musieli przepracowywać 40 godzin, a od nas wymagano mniej. Pracowałem więc dłużej, niż było to przewidziane” – napisał w relacji z wyjazdu jeden z uczestników programu. Wymiany i akcje aktywizowania seniorów finansowano ze środków unijnych (projekt Grundtvig – część unijnego programu „Uczenie się przez całe życie”).

Jak to działa? W bardzo prosty sposób. Fundacja lub stowarzyszenie, które chciałoby zorga-

nizować wymianę wolontariuszy, musi znaleźć za granicą instytucję partnerską (taką, która przyjmie chętnych), napisać projekt i wystąpić o unijne dofinansowanie (termin składania wniosków dotyczących wolontariatu seniorów upływa 31 marca; szczegóły na www.grundtvig.pl). Koszty wyjazdu, zakwaterowania, wyżywienia, a nawet rozrywek (na przykład bilety do kina) wolontariuszy pokrywa Unia. Umowa między instytucjami bardzo szczegółowo określa, jaką pracę i w jakim wymiarze godzin ma wykonywać wolontariusz. Nie ma wątpliwości, że będzie to ponad jego siły.

**Wolontariusze hospicjum imienia księdza Dutkiewicza** podczas spektaklu dla chorych. Inicjatorką i reżyserką przedsięwzięcia była pani Teresa Marczevska (pierwsza z lewej)



Polscy seniorzy też biorą udział w takich wyjazdach. Na przykład stowarzyszenie Aperto od przeszło dwóch lat prowadzi program wymiany wolontariuszy seniorów wspólnie z jedną z włoskich organizacji pozarządowych. Wolontariusze z Turynu opiekują się podopiecznymi Wioski Dziecięcej SOS w Karlinie, polscy seniorzy zaś prowadzą zajęcia w jednym z włoskich domów opieki. Najbliższy wyjazd wolontariuszy z Polski już w kwietniu.

**Najważniejsza rola w życiu**

Barbara Szynaka, która odpowiada za wolontariat w gdańskim hospicjum onkologicznym imienia księdza Eugeniusza Dutkiewicza, nie dziwi się, że Włosi tak chętnie zapraszają do siebie wolontariuszy emerytów. Sama też przyjmuje ich z otwartymi ramionami – spośród 60 osób bezpłatnie pomagających w hospicjum połowa to seniorzy.

**Tu wykorzystują swój talent**

**BARBARA SZYNAKA, odpowiedzialna za wolontariat w gdańskim hospicjum onkologicznym imienia księdza Eugeniusza Dutkiewicza**



FOT. ANDRZEJ BRZOSKA

Gdy pierwszy raz usłyszałam o wolontariatach seniorach, byłam zdziwiona. – Błąd. Emeryci są dla nas bezcenni.

**Dlaczego?**

– Młodzi wolontariusze przychodzą i odchodzą: kończą studia, przeprowadzają się, znajdują pracę, zmieniają ją. Albo zakładają rodziny i nie mają już czasu na wolontariat. Tymczasem osoby starsze mają ustabilizowaną sytuację życiową. Odchodzą już dzieci, nie pracują na etacie, mają stałe źródło utrzymania w postaci renty lub emerytury. W rezultacie nie rezygnują z wolontariatu tak często jak młodzi.

**Czy ich doświadczenie życiowe też ma jakieś znaczenie? Przydaje się podczas pracy w hospicjum?**

– Bardzo. To ciężka praca z wielu powodów. Czasem nasi pensjonariusze wybierają, przy kim chcą umrzeć. Nie każdy wolontariusz jest w stanie wytrzymać i psychicznie, część odchodzi. Tymczasem osoby starsze już oswoiły śmierć. Często przeżyły już utratę najbliższych. Lepiej niż młodzi rozumieją, że śmierć to czasem najlepsze, co może spotkać chorego. Zresztą spora grupa naszych wolontariuszy to właśnie osoby, których bliscy wcześniej byli naszymi pensjonariuszami. Byli z nami codziennie, przeszli przez wszystkie etapy choroby, pracę w hospicjum

znają od podszewki. A po śmierci najbliższych zostają z nami i pomagają innym.

**Co robią? Przecież hospicjum to ciężka praca, również fizyczna.**

– Nie tylko. Pielęgniarek i lekarzy jest kilku, pacjentów – 30. Etatowi pracownicy nie zawsze mają czas, żeby porozmawiać, poczytać choremu książkę lub po prostu z nim pobyc, by nie czuł się samotny. A przecież to bardzo ważne.

**I tu zaczyna się rola wolontariusza.**

– Oczywiście ci, którzy mogą, pomagają personelowi medycznemu w pewnych czynnościach. Ale ich praca się do tego nie ogranicza. Oprócz tego wydają hospicyjną gazetkę, organizują przedstawienia, jaśółka, imprezy i pikniki. Czytają chorym książki. A czasem po prostu trzymają ich za rękę.

**Co daje im ta praca?**

– Myślę, że w hospicjum uświadamiają sobie, że wciąż są komuś potrzebni. Nikt ich nie spisał na straty, jest miejsce, w którym dalej mogą wykorzystywać talent i umiejętności, a przy okazji uszczęśliwiać tych, którym jest to naprawdę bardzo potrzebne.

Jedną z wolontariuszek jest pani Teresa Marczevska, 73-letnia emerytowana reżyserka teatralna: – Kilka lat temu wykryto u mnie raka, a jednak wyzdrowiałam. Wtedy pomyślałam, że powinnam jakoś odplacić się światu za to, że przeżyłam. Dlatego zaczęłam pracę w hospicjum – wspomina w rozmowie z „Przekrojem”. Pamięta, że pierwszego dnia przeżyła szok: – Pomyślałam, że zajmę się dziećmi, bo to przecież takie słodkie maleństwa – opowiada. Okazało się, że do opieki nad słodkimi maleństwami, które są śmiertelnie chore i w najmniej spodziewanej chwili mogą zapytać, dlaczego muszą umrzeć, potrzeba nie lada odporności. – „I co ja tu pomogę?” – pomyślałam w pierwszej chwili, gdy weszłam do pokoju jednego z podopiecznych. Ale potem zobaczyłam jego mamę, która codziennie go odwiedzała. Uświadomiłam sobie, że przecież ta kobieta też musi kiedyś odsapnąć. Mam nadzieję, że choć trochę ją odciążę – dodaje pani Teresa. Dziś pracuje zarówno z dziećmi, jak i z dorosłymi pensjonariuszami hospicjum: wydaje gazetkę, wystawia spektakle (głównie komedie, w hospicjum jest dość dramatów), w których wolontariusze grają dla pacjentów. Pomaga, wykorzystuje swój talent i umiejętności, rozwija się i stale uczy czegoś nowego.

Z kolei pani Gertruda Ossysek ze Stowarzyszenia Odnowy i Rozwoju Wsi Stanowice co dzień uczy innych. Ona też po przejściu na emeryturę stwierdziła, że nie będzie beczynnym siedzieć w domu. Wraz z koleżankami wzięły udział w projekcie „Akademia kobiet aktywnych”. Tam nauczyły się między innymi pisać projekty. Napisały cztery, i to tak dobre, że dostały od Unii pieniądze: – Od trzech lat prowadzimy świetlicę dla dzieci. Zorganizowałyśmy zespół nauczycielek, głównie emerytek takich jak ja, które udzielają darmowych korepetycji z kilku przedmiotów – opowiada pani Gertruda, która uczy matematyki. Odbывают się też lekcje polskiego, historii i angielskiego, a nawet gwary śląskiej. W świetlicy wystawiane są spektakle, jest też kącik komputerowy. Wszystko dzięki wytrwałej, a przecież darmowej pracy wolontariuszek.

Czy seniorzy nie mają czasem dość? Przecież od czasu do czasu każdego coś boli, a 80-latkę nawet częściej niż innych. – No, póki boli, to znaczy, że jeszcze nie umarłam – mówi pani Beata Chomicz. – A to znaczy, że mogę coś zrobić – śmieje się i dodaje, że... nie ma czasu zajmować się swoimi dolegliwościami. – A gadanie o nich to już w ogóle strata czasu.

Marcelina Szumer



# Dla każdego coś dobrego

Kochasz futbol albo koszykówkę? Świetnie. A może sprawdzasz się w pracy z dziećmi? Doskonale! Wolontariat ma tyle odmian, że każdy znajdzie coś dla siebie. Nawet w korporacji



Marek Rybotycki kocha piłkę nożną...

Najlepiej robi się to, co się umie i co się chce robić. Jedna czwarta Duńczyków angażuje się w wolontariat, wybierając najczęściej działania w zakresie opieki społecznej, ale popularne jest też prowadzenie szkoleń, włączanie się w przedsięwzięcia kulturalne i sportowe. W Wielkiej Brytanii w czołówce działań wolontaryjnych znajduje się sport, choć popularne jest też pomaganie ludziom starszym i niepełnosprawnym. Wolontariuszy znajdzie się tam nie tylko w szpitalach, ale i w szkołach. Zresztą działaniem na rzecz innych wpaja się Brytyjczykom od dziecka – ochotnicy obsługują place zabaw, często prowadzą wypożyczalnie zabawek.

W Belgii jest wręcz presja społeczna na „udzielanie się”. Wolontariat sprawdza się tam niemal w każdej dziedzinie, wielu anga-

zuje się poprzez kościelne i inne religijne organizacje. W Szwecji społecznie udziela się niemal co trzeci obywatel. Popularna jest tam praca z uzależnionymi, pomoc bezdomnym, ale też chętnie wybierany jest sport – można pomagać w organizacji imprez sportowych, jak również angażować się w bieżące prowadzenie lodowiska, stadionu, kierowanie klubem. W Polsce wolontariat sportowy aż tak popularny jeszcze nie jest, ale już zaczyna się to zmieniać.

## Wzrusz się i pomóż

– Po Euro 2008 myślałem: to było najlepsze, co mnie w życiu spotkało. Dopóki nie wyjechałem na mistrzostwa świata w RPA – wspomina Maciej Wesołowski. Pochodzi z Kielc, skończył studia na SGH, pracuje w branży

PR. – Tych emocji, gdy stoi się na płycie boiska, nie da się opisać – opowiada. – Człowiek ze wzruszenia ma łzy w oczach.

– To wkręca. Raz się spróbuje i człowiek ma apetyt na więcej – mówi o sportowym wolontariacie Marek Rybotycki. Studiuje w Warszawie lingwistykę i italianistykę, jest wolontariuszem zarówno w Austrii na Euro jak i na mistrzostwach w RPA. Poza tym pomagał, gdy w Warszawie było losowanie grup eliminacyjnych na Euro 2012.

Duże imprezy sportowe potrzebują dużo wolontariuszy. – W sumie pracowało ponad dwa tysiące – Katarzyna Portianko-Gaca wspomina Europejskie Letnie Igrzyska Olimpiad Specjalnych, które odbyły się we wrześniu ubiegłego roku w Warszawie. – W ten rodzaj wolontariatu znamy w



...przyjemnie z pożytecznym połączył, pracując jako wolontariusz podczas ubiegłorocznego mundialu w RPA. – To wkręca. Raz się spróbuje i człowiek ma ochotę na więcej – przekonuje

znajomego – mówi Portianko-Gaca. Kiedyś była koszykarką, teraz pracuje w toruńskim biurze marszałkowskim, a po pracy trenuje niepełnosprawnych. Gdy w dniu otwarcia igrzysk polska reprezentacja wchodziła na płytę stadionu, popłakała się ze wzruszenia.

– Wszyscy płakali – wspomina Małgorzata Baranowska. Pochodzi z Bydgoszczy, samotnie wychowuje troje nastoletnich dzieci, ale pojechała na wrześniowe igrzyska do Warszawy. Wcześniej też była jako wolontariuszka na zawodach, w których startowali niepełnosprawni. Zawsze wraca z takich imprez pod wrażeniem rozmachu, organizacji i tego, że ludzie są autentycznie zaangażowani.

Każdy wie, co ma robić, jest po szkoleniu – jedni kierowani są do asystowania zawod-

nikom, inni do obsługi VIP-ów, pomocy sędziom i do wydawania posiłków.

Przed imprezami takiej rangi jak Euro czy mistrzostwa świata w piłce nożnej wolontariusze – zanim zainicjują szkolenie – muszą przejść dwuetapowe kwalifikacje. Najlepsi zapraszani są na rozmowę indywidualną.

– Przed Euro 2008 na rozmowę musiałem pojechać do Salzburga. Byłem odpytywany przez 40 minut: co robię, czym się interesuję – wspomina Maciej Wesołowski. Oczywiście przejazd odbywał się na własny koszt. Tak samo jak późniejsze podróże, już na zawody.

– To wszystko, niestety, nie jest tanie – przyznaje Marek Rybotycki. Dojazdy i zakwaterowanie wolontariusz musi wziąć na siebie. Na to, żeby móc popracować przy mistrzostwach w RPA, musiał wydać pięć tysięcy zło-

tych. – Nie żałuję ani złotówki – przekonuje. – Ta atmosfera, ten huk na stadionie! Szczególnie podczas meczu Urugwaj-Ghana. To wręcz nie do opisania. Miałem wrażenie, że cały świat wstał z miejsca i kibicuje zawodnikom. Naprawdę być tam, to nie to samo, co oglądać mecz w telewizorze. Mecz w telewizji to tylko półtorej godziny emocji. Gdy jest się na mistrzostwach, w samym środku wydarzeń, emocji wystarczy na trzy dni.

– Widzieć to wszystko od kuchni: fantastyczna sprawa – potwierdza Maciej Wesołowski. W RPA pracował na płycie boiska – miał pomagać fotoreporterom. – Wnosiło się na przykład specjalne platformy do fotografowania zawodników podczas odgrywania hymnów narodowych. Byłem blisko tego, co działo się na boisku, bliżej już →



→ chyba nie można było. W telewizji widziałem siebie na powtórkach meczu Argentyna-Meksyk. Gdy Leo Messi wykonywał rzut rożny, stałem w odległości niespełna dwóch metrów od niego. Gdy przechodziłem koło ławki trenerskiej, widziałem Diego Maradonę. Superprzeżycie.

Na mistrzostwa w RPA poleciało z Polski 5 wolontariuszy, a wszystkich razem było 10 tysięcy.

– Wolontariuszy musi być zawsze dokładnie tyle, ilu potrzeba – ani za mało, ani za dużo. Każdy musi być od czegoś, a nie po to, żeby się snuć – opowiada Portianko-Gaca.

– Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek był problem z naborem – opowiada Alina Apryas, która w olimpiady specjalne angażuje się już od 25 lat. W czerwcu w Bydgoszczy odbędą się dwa ogólnopolskie mityngi – w trójboju siłowym i w jeździe konnej. Apryas, która przystąpiła do ich organizacji, właśnie szuka wolontariuszy. – Mówisz, że ich potrzebujesz, i znajdują się, są na wyciągnięcie ręki.

Ogłoszono już też nabór wolontariuszy do obsługi Europejskich Letnich Igrzysk Olimpiad Specjalnych, które odbędą się w czerwcu w Atenach. Potrzeba 25 tysięcy chętnych.

**Pracuj i pomagaj**

– Polski wolontariat rośnie w siłę – przekonuje Marta Gumkowska z wydziału badań Stowarzyszenia Klon/Jawor.

Z sondażu przeprowadzonego przez SMG/KRC pod koniec ubiegłego roku wynika, że po kilkuletnim kryzysie odradza się u nas zainteresowanie pomaganiem innym. Zaangażowani są głównie uczniowie i studenci – 29 na 100 deklaroowało, że pracuje charytatywnie. Dorośli (szczególnie ci z wyższym wykształceniem) angażują się w tylko nieznacznie mniejszym stopniu. Choć na przykład wolontariat pracowniczy to na razie domena głównie korporacji, które dawno zauważyły, że nic się na nim nie traci, a można zyskać.

Według Izabeli Kręgiel, koordynatorki projektów społecznych Fundacji Orange założonej przez Telekomunikację Polską i PTK Ciertel, wspólne działanie to nie tylko pomoc innym, integrowanie pracowników, ale też szansa dla pracodawcy – może łatwo wypaść perełki, czyli pracowników o cechach liderów.

W Grupie TP akcji prowadzonych przez pracowników jest tak wiele, że wszystkie trudno wymienić – jeszcze zanim w 2005 roku powstała Fundacja Orange, ludzie już się angażowali: w zbiórkę pieniędzy na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, w akcję „Inna nadzieja”. W 2008 roku rozpoczęła się inna – „Bajkowy kącik” – w ramach której pracownicy odnawiają świetlice dziecięce, oddziałów w szpitalach całego kraju. W okresie świątecznym odwiedzają chore dzieci – w ubiegłym roku 900 mikołajów obdarowało prezentami 13 tysięcy maluchów.

„Podziel się posiłkiem” to z kolei wieloletnie przedsięwzięcie, w które angażują się pracownicy koncernu Danone Polska. Elementem

programu jest ogólnopolska zbiórka żywności prowadzona od 2003 roku, a zarządzana przez banki żywności.

W ostatniej edycji uczestniczyło 500 wolontariuszy – to pracownicy każdego szczebla oraz ich dzieci, przyjaciele i rodziny. Zebraliśmy 488 ton żywności – opowiada Karolina Długosz, specjalistka do spraw odpowiedzialności społecznej Danone. – Podczas akcji nie ma podziałów: ramię w ramię pracują prezes, dyrektor, kierowca ciężarówki i pracownik fabryki.

– Od czterech lat uczestniczymy w projekcie „Świątowy dzień Citi dla społeczności” – opowiada Łukasz Rodek, kierownik do spraw badań marketingowych Citi Handlowego. – Na przełomie października i listopada organizujemy konkurs na projekt wolontariatu – każdy pracownik może zgłosić swój pomysł. W 2009 roku zrealizowaliśmy 97 projektów, w pracę zaangażowało się 1500 wolontariuszy. Formuła własnych pomysłów rozwija kreatywność pracowników. Nie mówimy im, co należy zrobić, ale pytamy, w co chcieliby się zaangażować.

I tak wolontariusze w I Liceum Ogólnokształcącym imienia J.I. Kraszewskiego w Białej Podlaskiej zbudowali dla uczniów studio szkolnego radiowęzła, przygotowali internetową grę giełdową oraz przeprowadzili warsztaty z przedsiębiorczości. W Skwierzynie na terenie przedszkola Gronadka Miśia Uszatka wolontariusze z Citi Handlowego stworzyli plac zabaw z prawdziwego zdarzenia dostosowany do potrzeb i możliwości dzieci niepełnosprawnych. Cały program wolontariatu pracowniczego jest koordynowany przez Fundację Bankową imienia Leopolda Kronenberga. W ciągu pięciu lat funkcjonowania „Programu wolontariatu pracowniczego Citi Handlowy” zostało zrealizowanych 720 projektów, a wolontariusze, angażując się ponad 9 tysięcy razy, przepracowali ponad 54 800 godzin. – Szacujemy, że pomoc trafiła do ponad 90 tysięcy osób. Średnio w skali roku wolontariusze przepracowują około 11 tysięcy godzin na rzecz potrzebujących – wylicza Krzysztof Kaczmar, dyrektor Fundacji Kronenberga.

Pracownicy Agencji Rynku Rolnego latem włączyli się do akcji „Razem powodzianom”. – Pojechaliśmy do gminy Wilków – wspomina Maciej Radkiewicz z ARR – stamtąd do Zastawia Karczmiańskiego. Zobaczyliśmy widok, którego nie pokazywano w telewizji. Gdy woda opadła, niemal każde gospodarstwo wymagało gruntownych porządków i odnowienia. Pomagali latem, zaangażowali się



W sierpniu 2010 roku w ramach Letniej Szkoły Liderów Wolontariatu do Lewina Kłodzkiego pojechali 130 uczniów. Warsztaty dla nich prowadzili przedstawiciele Centrum Wolontariatu

też zimą: zorganizowali świąteczną zbiórkę prezentów dla dzieci z Domu Małego Dziecka w Siedlcach.

– W ramach programu „Wolontariusze HOPE” nasi pracownicy między innymi wyremontowali bawialnię Domu Samotnej Matki w Opolu, jedna wolontariuszka zorganizowała zawody pływackie dla dzieci z województwa mazowieckiego, wystartowało 260 ośmio- i dziewięciolatków – wymienia Jarosław Lepka, kierownik do spraw społecznej odpowiedzialności w firmie Nutricia. Od 2009 roku prowadzą tu również akcję „Przekaż poZDROWIEnia”. W imieniu każdego pracownika, który zadeklaruje na piśmie, że podejmie działania na rzecz swojego zdrowia – na przykład rzuci palenie, schudnie, przytyje (zależnie od BMI), będzie przyjeżdżał do pracy na rowerze lub regularnie ćwiczył – firma przekazuje 70 złotych za każdy tydzień takiej aktywności na cele społeczne. Zebrane w ten sposób pieniądze przekazywane są na rzecz podopiecznych Stowarzyszenia SOS Wioski Dziecięce. – W ubiegłym roku do akcji przystąpiło 70 osób, czyli prawie co czwarty pracownik firmy, a wspólnym trudem zbieraliśmy grubo ponad 80 tysięcy złotych – wylicza Jarek Lepka. – Sam w ramach „Przekaż poZDROWIEnia” pierwszy raz w życiu przebiegłem pięć kilometrów w biegu sztafety półmaratońskiej. Kolega nawet przebiegł maraton warszawski.

– Coraz więcej przedsiębiorstw podejmuje podobne działania, z roku na rok przybywa projektów – mówi Dariusz Pietrowski, prezes stowarzyszenia Centrum Wolontariatu w Warszawie. A początki – jak wspomina czas sprzed siedmiu–ośmiu lat – były niemrawe.

– W ludziach drzemie chęć pomocy, trzeba tylko odpowiednio ją skierować – przekonuje Izabela Kręgiel z Fundacji Orange. Cieszy ją, że w Polsce zmienia się nastawienie do wolontariatu. – Kiedyś to się jednoznacznie kojarzyło z przymusowym czynem społecznym, a wolontariusz był frajerem. Dziś to fajny gość, który zaraża pozytywną energią.

**Szkoła to dobre miejsce**

– Sama zawsze chętnie angażowałam się w działania charytatywne, więc tym wirusem zarażam też uczniów – mówi Małgorzata Jaworska, pedagog szkolny z Technikum Spożywczo-Gastronomicznego imienia Jana Pawła II w Warszawie. Od początku wolontariat był tu sposobem na pozytywne spędzenie wolnego czasu i urozmaicenie szkolnej monotoni. – Umiemy gotować, piec, postanowiliśmy to wykorzystać – mówi Jaworska. – Przygotowaliśmy świąteczne pierniki dla dzieci ze szpitala na ulicy Niekląńskiej, wystawialiśmy im przedstawienia i organizowaliśmy Gwiazdkę dla chorych, którzy nie mogli wrócić na święta do domu. W zeszłym roku w ramach programu →

Znaczenie wolontariatu doceniają też sportowcy. **Tomasz Majewski**, mistrz olimpijski w pchnięciu kulą, zaangażował się w akcję „Szkoła bez przemocy”





→ „Szkoły bez przemocy” zrealizowaliśmy projekt „Oczaruj świat smakiem i aromatem” – uczniowie przygotowali wielkanocne warsztaty gastronomiczne dla dzieci z domu dziecka. Sami pozyskali pieniądze na potrzebne produkty. I tak małe dzieci gotowały pod okiem dużych. Moi uczniowie załatwili maluchom stroje kucharskie, czapki i kitle. Wspólnie zdobili mazurki, piekli wielkanocne baby, gotowali żur, nadziewali schab. Wydaliśmy też książkę kucharską ze świątecznymi przepisami, którą wydrukował drukarz z Grochowa.

– Od 2002 roku patronujemy projektowi „Poczytaj mi, przyjacielu”, w ramach którego starsze dzieci czytają bajki przedszkolakom – mówi Jędrzej Witkowski, koordynator programów młodzieżowych Centrum Edukacji Obywatelskiej. – W projekcie uczestniczy 250 szkół i blisko 1250 młodych wolontariuszy. Prowadzimy też akcję „Bank czasu”, w której każdy, kto pracuje na rzecz innego – na przykład dwie godziny w tygodniu uczy angielskiego – może ten czas odebrać od następnej osoby, która na przykład nauczy go szydełkowania.

CEO ma jeszcze wiele innych projektów, współpracuje z kilkoma tysiącami szkół podstawowych, gimnazjalnych i średnich w całym kraju. – Zachęcamy do wolontariatu. To wyposaża dziecko w doświadczenia przydatne w życiu. Jeśli uczniom uda się zorganizować w szkole radiowęzeł czy punkt ksero albo namówić burmistrza na postawienie stojaków rowerowych przed szkołą, to czują, że mogą wszystko – przekonuje Jędrzej Witkowski.

– Uczą się samodzielnego myślenia, które, powiedzmy szczerze, sztywna edukacja szkolna zabija – dodaje Małgorzata Jaworska. – Zyskują wiarę we własne możliwości. Trzeba było widzieć, jak moi uczniowie chodzili z podniesioną głową, dumni jak paw! Sami formułowali pisma do sponsorów, do gazet, do telewizji – to uczy potrzebnej zaradności. W tym roku przygotowujemy program na konkurs, jednak jeszcze nie zdradzimy, co mamy w planach.

– Już drugi raz ogłaszamy konkurs na najlepszy projekt dla szkolnych wolontariuszy – mówi Anna Trzcinińska, koordynatorka programu „Szkoła bez przemocy”. – W poprzednim konkursie wystartowało 800 szkół. Namawialiśmy uczniów do angażowania się w ich lokalnym środowisku, odwiedzania domów dziecka i domów opieki. Zrodziły się z tego świetne projekty.

W szkole wolontariat przydaje się zawsze, nawet jeśli to nie uczniowie działają na rzecz



W ostatniej akcji „Podziel się posiłkiem” pomogło aż 500 pracowników Danone z rodzinami

kogoś, ale ktoś na rzecz uczniów. – „Projektor – wolontariat studencki” działa od 2004 roku, program zrzeszył ponad 7,5 tysiąca wolontariuszy studentów gotowych w wolnym czasie prowadzić w szkołach zajęcia z chemii czy fizyki, a także zajęcia teatralne i cyrkowe. Z wolontariuszami pracuje 1600 szkół. – Naszym celem nie jest nadrabianie zaległości szkolnych, to nie są korepetycje, ale uzupełnianie programu szkolnego – mówi Mariusz E. Michalak, regionalny koordynator programu w Warszawie.

– Pokazuję im chemię, której nie poznają na szkolnych lekcjach – wyjaśnia Tomasz Deptuła, doktorant UW, który zaangażował się w przedsięwzięcie cztery lata temu. – Dzieciaki fantastycznie reagują na pokazy pirotechniki, doświadczenia z ciekłym azotem i prezentację reakcji oscylacyjnych. Ich szeroko otwarte ze zdziwienia oczy i zachwycone miny dają mi kopę do dalszej pracy – opowiada Deptuła. W ciągu czterech lat odwiedził 50 szkół. Rocznie daje sto godzin pokazów. – Dużo podróżuję po Polsce, do końca czerwca tego roku mam ułożony grafik spotkań z uczniami.

### Wolontariat w MOPS

Czy to możliwe, żeby ludzie, którzy potrzebują wsparcia, sami też kogoś wspierali?

Dzięki programowi „Wolontariat w ośrodkach pomocy społecznej” (współfinansowanemu ze środków Unii Europejskiej) to się w Polsce zdarza.

– Przeszkoliliśmy pracowników ośrodków łącznie z dyrektorami, żeby wiedzieli, jak organizować wolontariat, jak angażować klientów w pomaganie innym, choćby to miało być tylko samopomoc sąsiedzka – mówi Ewa Kosiedowska, prezes Centrum Wolontariatu w Słupsku. – Ośrodki pomocy dotąd często były postrzegane jako skostniałe instytucje od dawna pieniędzy potrzebującym. Ale to się zmienia – właśnie dzięki wolontariatowi. Na początku było zdziwienie – ja mam pomagać innym, skoro to mnie jest potrzebna pomoc? Ale gdzie zaczęli zmieniać sposób myślenia. Można przecież pomagać sobie nawzajem.

Poza tym w wolontariat zaangażowali się pracownicy ośrodków, zaczęli aktywnie szukać wolontariuszy wśród uczniów miejscowych szkół i studentów.

– Przychodzą do nas licealiści, ale też osoby dorosłe – mówi Marlena Modelewska, która jest koordynatorem wolontariatu w Miejskim Ośrodku Pomocy Społecznej w Sochaczewie. Tu organizuje się popołudniowe zajęcia z dziećmi z pobliskiego osiedla. Odrabiamy z nimi lekcje, trochę je dożywiamy. – Robimy

kanapki, podajemy zupę. Ale przede wszystkim oferujemy wsparcie w nauce. I to procentuje – cieszy się Modelewska. – Mają lepsze stopnie i zachowanie.

MOPS to świetne miejsce dla wolontariatu, bo mało jest miejsc, w których można się wykaazać tak bardzo jak w takim ośrodku: można się zająć pracą z dziećmi albo z seniorami, wesprzeć bezrobotnych lub niepełnosprawnych, zorganizować zajęcia w świetlicy, pomagać w organizacji festynów bądź odwiedzać ludzi w ich domach – jednemu pomóc napalić w piecu, innemu zrobić zakupy.

– Wolontariusze to zbawcy, w cokółwiek by się zaangażowali, są wariaci złota – mówi Marzena Piątek, koordynatorka wolontariatu w walbrzyskim MOPS. Ma teraz grupę fajnych, młodych zapaleńców, którzy chętnie chodzą do domów, gdzie jest dużo dzieci – organizują im czas, wspierają je w nauce. – Trzeba mieć samozaparcie i dobre podejście – mówi. – Dzieci w rodzinach, w których się dobrze nie wie, gdzie bywa alkohol, nie mają anielskiego życia i – bywa – nie są aniołkami. Trzeba je okiełznać, umieć zainteresować mądrą zabawą, nauką. A czasami to jest nauka sprzątania, bo tak się złożyło, że w domu wcześniej nie przykładało się do tego wagi, nie było kogoś, kto mógłby pokazać dziecku, jak to się robi i że w ogóle tak trzeba.

Wolontariat w opiece społecznej nie biera rozmachu, ludzie chcą i będą się angażować, tylko muszą mieć przekonanie, że ich energia nie zostanie zmarnowana – zauważa prezes słupeckiego Centrum Wolontariatu Ewa Kosiedowska.

W Walbrzychu energia absolutnie się nie marnuje – wolontariusze tak się tu angażują, tak ich wciąga to, co robią, że później – już po studiach – szukają zatrudnienia w MOPS. I znajdują. – Poza tym to już reguła, że przy zatrudnianiu sprawdzamy, czy kandydat był kiedyś wolontariuszem i gdzie – mówi Marzena Piątek. Sama też dostała pracę dzięki wolontariatowi. – Pani dyrektor spojrziała w CV: o, rok darmowej pracy w domu dziecka, w porządku – taki człowiek nam się przyda.

**Przez Internet**  
Można też wspierać innych, nie ruszając się z domu. Można nawet niemal wcale się nie ruszać. Jacek Ryng, który mieszka pod Opolem, choruje na rdzeniowy zanik mięśni,

ma władzę jedynie w prawej ręce, nigdy nie stanął na własnych nogach, ale pomaga stać innym – znaleźć własną perspektywę, zrozumieć, co jest w życiu ważne. Stworzył stronę internetową [www.przyjaciel.opole.pl](http://www.przyjaciel.opole.pl), od siedmiu lat prowadzi ją i rozwija, starając się dzięki sieci zaprzyjaźniać z ludźmi, przełamywać bariery mentalne między sprawnymi a niepełnosprawnymi.

– Staram się uczyć otwartości, altruizmu – wyjaśnia. Wielu wolontariuszy dokształca się dzięki wypowiedziom Rynga. A często trzeba z nimi zaczynać od podstaw: ludzie w pełni sprawni nie wiedzą, jak zachować się wobec osoby na wózku, o czym z nią rozmawiać.

E-wolontariat, który uprawia Jacek Ryng, staje się coraz bardziej popularny. W sieci aż kipi od pomysłów, jak zrobić coś dla innych, nie wychodząc z domu. Na stronie [www.psychotekst.pl](http://www.psychotekst.pl) pojawił się program „Enterem po wsparcie” – punkt pomocy online dla ludzi na życiowym zakręcie. Poza tym przeszkoleni e-wolontariusze wspierani

” *W ludziach drzemie chęć pomagania, trzeba tylko odpowiednio ją skierować. Kiedyś wolontariat jednoznacznie kojarzył się z przymusowym czynem społecznym, a wolontariusz z frajerem. Dziś wolontariusz to fajny gość, który zaraża energią*

przez psychologów, psychoterapeutów, terapeutów uzależnień organizują czaty i forum. Powstała internetowa grupa wsparcia dla osób doświadczających przemocy.

Z kolei [Siepomaga.pl](http://Siepomaga.pl) to serwis dla tych, którzy chcą się zaangażować w akcje charytatywne – internauci skrzykują się, organizują zbiórki. Wciągnęło to już trzy tysiące e-wolontariuszy, co jest dowodem, że w wirtualnym świecie można być całkiem niewirtualnym darczyńcą.

Angażować się można nie tylko w dawanie pieniędzy czy udzielanie rad. Wikipedia ([www.wikipedia.org](http://www.wikipedia.org)) to najlepszy przykład,

że można, siedząc w kapciach, tworzyć coś na skalę międzynarodową. Edytowaniem tej encyklopedii online zajmują się tysiące e-wolontariuszy. To projekt (wielojęzyczny i wielonarodowy), dzięki któremu powstało ponad 650 tysięcy haseł, a przecież poza Wikipedią istnieją jeszcze między innymi: Wikisłownik, Wikiźródła, Wikibooks z podrecznikami i poradnikami.

W e-świecie rodzą się pomysły na zmianę świata realnego. Łódzka Masa Krytyczna ([www.masakrytyczna.org](http://www.masakrytyczna.org)) jest tego świetnym dowodem – rowerzyści skrzyknęli się i w comiesięcznych wspólnych przejazdach przez miasto manifestują, jak bardzo niezadowoleni są z tego, że w przestrzeni miejskiej brakuje miejsca dla rowerzystów. Poza tym fundacja Fenomen zorganizowała akcję „Rowerowe absurdy – seek & destroy” – każdy internauta mógł się zaangażować w spis absurdów komunikacyjnych, które są szczególnie uciążliwe i niebezpieczne dla poruszających się jednoślądami. Spis trafił do łódzkiego Zarządu Dróg i Transportu. Jest nadzieja, że przynajmniej część z nich przejdzie do historii.

Serwis e-wolontariat.pl prowadzi bazę ogłoszeń dla wirtualnych wolontariuszy – tu można znaleźć informację, kto i do czego mógłby się przydać. Na przykład w styczniu fundacja Ocalenie szukała wolontariuszy do monitoringu regionalnych mediów elektronicznych pod kątem „mowy nienawiści” wobec uchodźców. Fundacja Ari Ari (działa między innymi na rzecz mniejszości narodowych i etnicznych) poszukiwała wolontariuszy do pisania i redagowania artykułów na tematy związane z mniejszością ormiańską. Warszawski Zespół Indeksacyjny potrzebuje wsparcia przy tworzeniu bazy danych ze starych aktów Urzędu Stanu Cywilnego – baza, która powstanie dzięki e-wolontariuszom, będzie bezpłatnie udostępniana genealogom, archiwistom i demografom.

Jacek Ryng, który prowadzi stronę [www.przyjaciel.opole.pl](http://www.przyjaciel.opole.pl) i czasami żartuje, że żyje siłą woli, nie mięśni, twierdzi, iż prawdziwym kalectwem nie jest ułomność fizyczna, ale ułomność myślenia i życia. Sam od lat udowadnia, że pod tym względem niczego mu nie brakuje. Angażuje się, dostaje nagrody na różnych konkursach dla wolontariuszy, a w listopadzie ubiegłego roku dostał wyróżnienie w konkursie Człowiek bez Barier.

– Pomimo najgorszych przeciwności – przekonuje Jacek Ryng – możliwe jest życie pełne dobra.

Agata Jankowska, Małgorzata Świąchowicz



# Jak zostać wolontariuszem

Zacząłeś się zastanawiać nad wolontariatem? Gratulujemy! Zanim jednak beztrudnie pobiegiesz do najbliższej organizacji, przeczytaj kilka prostych rad

**I**le masz lat? Jeśli jesteś niepełnoletni, potrzebujesz pisemnej zgody rodziców lub opiekunów. Jeśli 18. urodziny masz już za sobą, weź do ręki kalendarz. Zaznacz w nim swój plan zajęć w szkole, na studiach, czas pracy, rozkład dnia, to, co robisz w wolnych chwilach. Rozważ, ile masz czasu do dyspozycji. Przede wszystkim jednak zastanów się, czy rzeczywiście uda ci się poświęcić innym kilka, kilkanaście godzin. Wolontariusz, który często nie stawia się do pracy, bo „coś mu wypadło”, nikomu nie pomoże. Sprecyzuj, kiedy możesz pomagać. Lepiej poinformować, że każdego popołudnia jesteś wolny przez trzy godziny, niż mówić, że masz dużo wolnego czasu. Pomoże to ludziom z organizacji ułożyć plan dla ciebie.

**C**o umiesz i co chcesz robić? Pomagać można na wiele sposobów. Zastanów się, czy chcesz pracować bezpośrednio z ludźmi. Jeśli tak, to z kim? Wielu wolontariuszy pomaga głównie osobom niepełnosprawnym. To odpowiedzialna praca. W takim wypadku byłbyś przede wszystkim towarzyszem, kimś, kto pomoże w codziennych sprawunkach i obowiązkach, kto jest blisko. Pójdzie na spa-

cer, do kina, poczyta niewidomym książki, porozmawia. Innymi słowy: wypędzi z życia tych osób nieznosną samotność. Jeśli masz odpowiednie predyspozycje i chęć, możesz też pomagać w terapii i rehabilitacji pod okiem specjalistów.

A może świetnie się sprawdzisz, pomagając starszym? Tu też chodzi głównie o towarzystwo, wspólne spędzenie czasu, zwykłą rozmowę. Pomyśl o setkach fascynujących historii, które mogą ci opowiedzieć doświadczeni ludzie. Seniorzy będą szczęśliwi, mogąc się nimi z tobą podzielić.

Twojej pomocy potrzebują też dzieci. Co możesz robić? A czy jest coś przyjemniejszego niż zabawa? Zwłaszcza jeśli przy okazji może być dla nich źródłem wiedzy. Wolontariusz o duszy artysty sprawdzi się w prowadzeniu warsztatów teatralnych, plastycznych, fotograficznych. A może masz całą ścianę zapełnioną dyplomami ze szkół językowych i możesz uczyć angielskiego? Lub jako piątkowy student pomagając dzieciom w odrabianiu lekcji?

Nawet jeśli jesteś samotnikiem, i raczej nie przepadasz za kontaktem z ludźmi, też znajdzie się dla ciebie miejsce. Możesz przecież na przykład pracować w schronisku dla bezdomnych zwierząt.

**P**amiętaj, że wielu wolontariuszy wybiera pracę biurową. Może to coś dla ciebie? Jeśli jesteś specjalistą od księgowości, marketingu lub szybko się uczysz, znajdziesz miejsce w organizacji pozarządowej, w której będziesz mógł pomagać w realizacji projektów, przygotowywaniu imprez. Ręce do pracy przydadzą się też do zwykłych biurowych zadań: wstukiwania tekstów do komputera czy segregowania dokumentów. To też bardzo przydatna i odpowiedzialna praca. Potrzebni są też ludzie dyżurujący przy telefonach zaufania oraz ci, którzy zedrą buty, zbierając datki i podpisy pod petycjami.

**W** porządku. Wiemy kiedy, wiemy co, zastanówmy się nad „gdzie”. Rozejrzyj się. Czy w twojej okolicy, w drodze do pracy lub szkoły są placówki, którym można pomóc? To między innymi kluby seniora, domy kultury, świetlice dla dzieci, stowarzyszenia niepełnosprawnych. Jeśli niczego takiego nie widzisz, sięgnij po książkę telefoniczną i zajrzyj do działu „stowarzyszenia i fundacje”, a najlepiej do najlepszego źródła informacji o organizacjach pozarządowych, czyli na stronie [www.bazy.ngo.pl](http://www.bazy.ngo.pl). Wystarczy, że wpiszesz nazwę swojego miasta, a dostaniesz kompletną listę instytucji. Bardzo przydatna jest też strona Centrum Wolontariatu - [www.wolontariat.org.pl](http://www.wolontariat.org.pl).

**C**o dalej? Łap za słuchawkę telefonu i dzwoń. Choć najczęściej to, jaki jest zakres działalności organizacji, można wywnioskować już z jej nazwy, wypytaj jeszcze, czym dokładnie się zajmuje. Dowiedz się, czy instytucja, która cię zainteresowała, potrzebuje teraz wolontariuszy i czy ty, ze swoimi umiejętnościami i oczekiwaniami, możesz uzupełnić jej braki kadrowe. Potem umów się na spo-

tkanie z człowiekiem noszącym szczytny tytuł koordynatora pracy wolontariuszy - takie stanowisko znajduje się w większości organizacji. Pamiętaj, masz prawo do okresu próbnego. Wtedy zarówno ty, jak i koordynator zorientujecie się, czy fileś we właściwe miejsce.

**O**statni krok to - jak w przypadku - trochę biurokracji. Z organizacją musisz zawrzeć umowę o współpracy (na piśmie, jeśli twoja praca ma trwać dłużej niż 30 dni). Określi ona między innymi zakres i czas twojej pracy oraz sposób rozwiązywania umowy. Będą w niej też brzozy, które mogą cię zainteresować. Organizacja może na przykład zwracać ci koszt dojazdu i rozmów telefonicznych. Może ale nie musi. Wszystko zależy od jej kondycji finansowej. Masz też prawo do odszkodowania w razie wypadku w pracy etatowy pracownik. I to niezależnie od tego, czy masz własne ubezpieczenie. Jeśli pracujesz powyżej 30 dni, ubezpieczenie gwarantuje państwo, jeśli natomiast - organizacja ma obowiązek kupić dla ciebie ubezpieczenie w dowolnej firmie ubezpieczeniowej.

**Z**anim cokolwiek pomyślisz, zachowaj czujność. Wolontariusz to nie stażysta. Zdarza się, że komercyjne firmy używają terminu „wolontariusz” do zwerbowań darmową pracą do robienia ksero i parzenia kawy. A w myśl polskich przepisów zasada jest prosta: gdzie prowadzi się działalność gospodarczą i zarabia pieniądze, nie może być mowy o wolontariacie. Sprawdź, czy instytucja, z którą chcesz się związać, ma status organizacji pozarządowej. W razie wątpliwości dzwoń i proś o poradę w Centrum Wolontariatu.

# Jak zdobyć wolontariusza

Działasz w organizacji pozarządowej i potrzebujesz rąk do pracy? Sprawdź, jak znaleźć pomocników

**J**a początku zastanów się, czy w ogóle jest ci potrzebny wolontariusz. To nie jest ci potrzebny wolontariusz. To nie jest ci potrzebny wolontariusz. Chyba nie ma nic gorszego, niż zmarnować potencjał chętniej do bezpłatnej pracy osoby. Przeanalizuj zatem zadania wszystkich członków twojej organizacji. Czym się zajmują? Czy pomoc jest im niezbędna? Czy nowy cel, który stawiasz przed swoją organizacją, można osiągnąć z pomocą osób, którymi dysponujesz? Porozmawiaj z pracownikami, czy nie chcą wykonać tej pracy samodzielnie. Jeśli mają takie ambicje, wykorzystaj to, bo powierzenie zadania innym może doprowadzić do niepotrzebnych spięć w zespole.

**E**raz pomyśl, w czym może ci pomóc wolontariusz. Weź kartkę i wypisz zadania twojej organizacji. Gdzie przydadzą się ręce do pracy? Co dokładnie będzie robił wolontariusz? Im bardziej szczegółowo opracujesz listę zadań i celów, tym łatwiej będzie ci określić, kogo szukasz.

**S**twórz grafik pracy wolontariusza. Kiedy jest ci potrzebny? W weekendy czy w dni powszednie? W jakich godzinach? Ile czasu chcesz mu zająć?

**P**omyśl, gdzie będzie pracował twój nowy pomocnik. Czy masz dla niego miejsce w swoim - pewnie i tak ciasnym - biurowym biurze? Co myślisz o pracy zdalnej? Jeśli zadania wolontariusza obejmują na przykład korzystanie z komputera, to czy masz dla niego sprzęt? A może chcesz go poprosić, by pracował na prywatnym? A co z innym wyposażeniem? W zależności od swoich celów pomyśl na przykład o zabawkach dla dzieci, książkach i innych materiałach, z których będzie korzystał twój pomocnik.

**T**eraz wyobraź sobie swojego wolontariusza. Czy potrzebujesz człowieka o szczególnych kwalifikacjach? Jakie powinien mieć umiejętności? Jakie cechy, wykształcenie? Czy wystarczy ci osoba bez doświadczenia, ale chętna do nauki? Kto najlepiej poradzi sobie z realizacją zadań? Gimnazjalista, student, a może emeryt?

**J**eśli odpowiedziałeś na te pytania, wiesz, kogo szukasz. I wiesz już, gdzie szukać. Rozwiń zatem ogłoszenia w okolicznych szkołach, na uczelniach, w klubach seniora. Możesz dać anons w gazecie lub w Internecie, na przykład w portalu [www.bazy.ngo.pl](http://www.bazy.ngo.pl) lub [www.wolontariat.org.pl](http://www.wolontariat.org.pl). Precyzyjnie określ swoje oczekiwania. Dzięki temu dotrzesz do najbardziej odpowiednich osób.



ILUSTRACJA: Mateusz Kólek

**W**prowadź wolontariusza do swojej organizacji. Oprowadź go po biurze, przedstaw pracownikom. Niech poczuje się częścią zespołu. Przygotuj go do zadań, które ma wykonywać.

**C**zas na formalności. Zapoznaj się z ustawą o działalności pożytku publicznego i wolontariacie. Precyzyjnie określa ona twoje obowiązki. Z wolontariuszem musisz zawrzeć umowę - możesz ustną, jeśli czas jego pracy nie przekroczy 30 dni, musisz pisemną, jeżeli wyniesie więcej. Musisz również poinformować go o bezpiecznych i higienicznych zasadach wykonywania świadczeń. Zadbaj, by twój pomocnik podpisał oświadczenie o ich znajomości. Na szczęście ustawodawca nie wymaga kosztownego szkolenia BHP.

**J**eśli cię stać, wykup wolontariuszowi ubezpieczenie zdrowotne. W tym celu skontaktuj się z Narodowym Funduszem Zdrowia. Jeżeli korzystasz z pomocy wolontariusza krócej niż 30 dni, masz obowiązek wykupić dla niego ubezpieczenie od następstw nieszczęśliwych wypadków w dowolnej firmie komercyjnej. Jeśli pracujecie razem dłużej, wolontariusz automatycznie zostaje objęty ubezpieczeniem na mocy tak zwanej małej ustawy wypadkowej. Odszkodowanie za ewentualny wypadek w czasie pracy wypłaci mu ZUS. Ważne, aby zawrzeć z wolontariuszem pisemne porozumienie o współpracy (to swoista polisa ubezpieczeniowa i podstawa do ubiegania się o odszkodowanie).

Jeśli wyślesz go na szkolenie do innego miasta, to - uwaga - masz obowiązek pokryć koszty jego podróży i diety tak samo jak w przypadku delegacji etatowych pracowników, chyba że organizator sam wszystko sfinansuje.

**U**trzymuj porządek w dokumentach. Te związane z pracą wolontariuszy miej posegregowane i łatwo dostępne.

**N**a koniec pozostała najważniejsza sprawa - bądź wdzięczny! Dziękuj, doceniaj pracę swoich wolontariuszy, dbaj o to, by czuli, że robią coś potrzebnego i wyjątkowego. Bo robią i nie ma co o tym dyskutować.

Donat Szylar



# Wolontariat po polsku

**Brak długofalowych działań i wystarczającej liczby profesjonalnych centrów koordynujących - zdaniem ekspertów to dwie główne bariery rozwoju polskiego wolontariatu**

**L**iczba wolontariuszy w Polsce rośnie. - Po 2005 roku zaczęła spadać z 23 procent, w 2009 roku było ich tylko 12,9 procent, ale z najnowszego, listopadowego, badania wynika, że ich liczba wzrosła do prawie 16 procent - wylicza Jadwiga Przewłocka ze Stowarzyszenia Klon/Jawor, które bada tę formę aktywności obywatelskiej.

- Polakom nie brakuje entuzjazmu, przyczyną spadku liczby wolontariuszy był brak długofalowej polityki wspierającej wolontariat. Jego siłą w Polsce byli i są ludzie młodzi, przede wszystkim studenci i absolwenci. Część z nich wyemigrowała po przystąpieniu Polski do Unii Europejskiej. Mało aktywizowano też inne grupy: seniorów, osoby czynne zawodowo - wyjaśnia Kamila Czerwińska, była wolontariuszka CEV w Brukseli, obecnie menedżer odpowiedzialna za wolontariat przed nadchodzącym Euro 2012.

Krzysztof Więckiewicz, dyrektor Departamentu Pożytku Publicznego w Ministerstwie

Pracy i Polityki Społecznej, zauważa, że w Polsce bardzo długo podkreślało się wyłącznie rynkowy aspekt wolontariatu - w zamian za bezpłatną pomoc oferowano możliwość zdobywania nowych umiejętności. - Po pierwsze, była to oferta skierowana głównie do młodych. Po drugie, zachęciliśmy pracodawców, by wolontariat zastępował pracę. W efekcie niektórzy wysługują się wolontariuszami, a wolontariat bywa postrzegany jako frajerstwo.

## Łącznik w ośrodku

Organizacje tak zwanego trzeciego sektora chwalą polskie rozwiązania legislacyjne. Ustawa o wolontariacie z 2003 roku jasno określa prawa i obowiązki wolontariusza, opisuje, jak powinno wyglądać porozumienie zawarte między nim a organizacją. - Trzeba tylko pilnować, by takie umowy były zawierane. I żeby były to umowy o wolontariat, a nie praktyki lub staż - podkreśla dyrektor Więckiewicz. Czerwińska uważa, że po-

trzebne jest większe wsparcie instytucjonalne. Gdy sama była wolontariuszką, tego zabrakło. - Zajmowałam się niepełnosprawnym chłopcem. Przerosło mnie to emocjonalnie i fizycznie. Organizacja, która przebrała mi to zadanie, nie zainteresowała mnie jak sobie radzę. Podałam się po czterech miesiącach - opowiada.

Zdaniem Dariusza Pietrowskiego, prezesa Stowarzyszenia Centrum Wolontariatu, w roli koordynatora sprawdziłyby się ośrodki pomocy społecznej: - Mogą być pośrednikami między osobami indywidualnymi, wolontariuszami z jednej strony i potrzebującymi pomocy z drugiej.

## Obowiązek do polubienia

Sporo do zrobienia mają też organizacje. W 2008 roku z pracy wolontariuszy korzystało jedynie 12,8 procent urzędników i 17,8 procent organizacji pozarządowych. - Często wolontariuszy traktuje się jak źródło bezpłatnej pomocy, którą angażuje się, bo ma pieniądze na etaty dla profesjonalistów - wyjaśnia dyrektor Krzysztof Więckiewicz. - Organizacje same są sobie winne - dodaje się doktor Adam Bodnar z Helsiński Fundacji Praw Człowieka. - Nie potrafią korzystać potencjału zgłaszających się do nich osób, a te znudzone kserowaniem szybko odchodzą. W fundacji wolontariuszami najczęściej studenci prawa. - Mówią, że w przyszłości do nas niż na staż do kancelarii. To

nikt nie wykorzystuje ich do parzenia kawy. Mają poważne zadania: udzielają porad prawnych, pod naszym nadzorem przygotowują pisma procesowe - wylicza Bodnar.

Zdaniem Więckiewicza dobrym pomysłem byłoby przyznawanie dodatkowych punktów instytucjom, które programowo korzystają z pracy wolontariuszy. - Obowiązek angażowania określonej liczby wolontariuszy powinien być kryterium przy ubieganiu się o dotację na przykład z Funduszu Inicjatyw Obywatelskich. Powinna być też możliwość wliczania pracy świadczonej przez wolontariusza do kosztów własnych instytucji.

Pietrowskiemu marzy się za to rozbudowany wolontariat szkolny. - Praktyka pokazuje, że nawet jeśli dziś motywacją uczniów jest odbycie wolontariatu w celu zyskania dodatkowych punktów na świadectwie, to wielu z nich po zaangażowaniu się w działania zmienia swoje nastawienie. - A wolontariat powinien być dla nich codziennością, w którą angażuje się każdy, a nie czymś, w co bawi się grupka zapaleńców.

Myśli nawet o obowiązkowych godzinach wolontariatu: - Wiem, że nic tak nie obrzydza konkretnej działalności jak szkoła, i to jest pewne niebezpieczeństwo. Ale przykład USA pokazuje, że dzięki masowemu zaangażowaniu w wolontariat o wiele więcej dzieci ma szansę przekonać się, że fajnie być wolontariuszem. Inaczej nawet by nie spróbowały.

Agnieszka Fiedorowicz

# Bezpłatna praca się opłaca

**Dzięki doświadczeniu w wolontariacie zderzenie z rynkiem pracy jest mniej bolesne - przekonuje ALICJA DEFRATYKA, ekonomistka Forum Obywatelskiego Rozwoju, fundacji założonej przez profesora Leszka Balcerowicza**

**Wśród rejestrujących się co miesiąc nowych bezrobotnych prawie 10 procent to absolwenci. Czy wolontariat może im pomóc w znalezieniu pracy?**

- Zdecydowanie tak. To duży atut podczas rekrutacji. I to nie tylko dla bezrobotnych młodych ludzi, ale też dla kandydatów w każdym wieku. Również tych, którzy szukają nowej, lepszej pracy.

**Doświadczeni pracownicy mają bogate CV, absolwenci niekoniecznie.**

- I właśnie dlatego przydaje się wolontariat. Ludziom, którzy kończą studia i nie mają czym się pochwalić, na rynku pracy jest bardzo trudno. Wolontariuszowi jest łatwiej. Pracodawca widzi, że taka osoba poświęca innym swój czas, czyli że po prostu jej się chce. Jeśli potrafiła dobrze pracować bez wynagrodzenia, będzie też dobrym pracownikiem za pieniądze.

**Co konkretnie może o tym świadczyć?**

- Wszystko. Kiedy przyglądam się wolontariuszom pracującym w Forum Obywatelskiego Rozwoju, widzę, że uczą się ekonomii w praktyce: opracowują analizy, zbierają dane, są na bieżąco z zagadnieniami ekonomicznymi. Z takim doświadczeniem nie powinni mieć problemu ze znalezieniem pracy w sektorze finansowym.

**Nie wszyscy wolontariusze zajmują się ekonomią.**

- Każda forma wolontariatu pozwala zdobyć ciekawe doświadczenia.

**A co z tymi, którzy opiekują się osobą starszą lub niepełnosprawną i nie uczą się pracy biurowej ani organizowania kampanii?**

- Oni dają pracodawcy sygnał, że sprawdzą się w pracy z ludźmi, że dobrze wpasują się w zespół. Taki człowiek nie jest zim-

nym biurokrata i drzemią w nim pokłady dobroci. Dla rekrutującego jest to też informacja, że kandydat jest dobrze zorganizowany, skoro potrafił tak zaplanować swój czas, by oprócz innych obowiązków wykonywać trudną pracę z niepełnosprawnymi. A dobra organizacja pracy to ogromny atut.

**A jeśli pracodawca pomyśli: skoro ta osoba jest przyzwyczajona do pracy za darmo, mogą zaproponować jej mniejszą pensję?**

- Dlaczego pracodawca miałby płacić mniej ludziom z doświadczeniem, a więcej tym z pustym CV, bez żadnych praktycznych umiejętności? Takiego ryzyka raczej nie ma.

**A może lepiej poświęcić czas na zwykłą pracę? Wtedy student ma już konkret, który może wpisać do CV.**

- To kwestia indywidualnego podejścia. Praca i wolontariat się nie wykluczają. Można pracować całe wakacje, a w ciągu roku akademickiego być wolontariuszem. Albo odwrotnie - pomagać innym podczas urlopu. Znam wiele osób, które łączą pracę i dobroczynność.

**Jak wolontariusz powinien zbudować CV?**

- Powinien konkretnie opisać wszystkie umiejętności, które zdobył, i wyliczyć organizacje, z którymi współpracował. Powinien potraktować je jak swoich poprzednich pracodawców. Nie piszmy: wolontariat w fundacji X. Piszmy: wolontariat w fundacji X polegający na... Nie umniejszajmy swoich zasług, traktując wolontariat skrótowo i umieszczając go w polu „zainteresowania”.

**Czy wolontariusze odciążają zadłużony budżet państwa?**

- W dużym stopniu. Bez nich wzrosłyby koszty opieki społecznej i służby zdrowia. Spójrzmy na pracę ludzi z Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Co roku zbierają kilkadziesiąt milionów złotych, którymi wspierają polskie szpitale. Poziom szczęścia nie zawsze da się przeliczyć na pieniądze, ale możemy sobie wyobrazić, ile cierpienia byłoby na świecie, gdyby wolontariuszy zabrakło.

ROZMAWIAŁ Donat Szyller

## Alfabet wolontariusza

### AKCYJNY WOLONTARIAT

- tak zwany krótkoterminowy. Najbardziej rozpowszechniona w Polsce forma wolontariatu. Ochotnicy są angażowani do wsparcia jednorazowej albo cyklicznej akcji (przykładem może być pomoc w organizacji finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy), do pomocy przy zbiorach żywności i odzieży lub do sprzątnięcia po katalizmie powodzi.

### CENTRA WOLONTARIATU

- organizacje, które na co dzień zajmują się promocją idei wolontariatu, szkoleniami. Przewodzą też biura po-

średnictwa, które łączą według określonych zasad ochotników z organizacjami i instytucjami potrzebującymi wsparcia wolontariuszy. Pierwszy program Centrum Wolontariatu został zainicjowany w 1993 roku w Warszawie.

### DŁUGOTERMINOWY WOLONTARIAT

- tak zwany stały. Forma współpracy, podczas której wolontariusz jest ściśle związany z konkretną organizacją. Ochotnicy w sposób ciągły współpracują z organizacją czy instytucją, wykonują pracę regularnie, na przykład dwa razy w tygo-

dniu, w ustalonych godzinach. Wolontariusze stali pracują w domach pomocy, hospicjach, świetlicach środowiskowych i tym podobnych. Między wolontariuszem a organizacją podpisywane jest najczęściej POROZUMIENIE.

### DZIAŁALNOŚĆ POŻYTKU PUBLICZNEGO

- działalność prowadzona przez organizacje pozarządowe w sferze zadań publicznych obejmująca następujące dziedziny: pomoc społeczną; działalność charytatywną; podtrzymywanie tradycji narodowej; ochrona i promocja zdrowia; promocja zatrudnienia; działalność na rzecz równości praw kobiet

i mężczyzn, mniejszości narodowych, osób niepełnosprawnych; działalność wspomagająca rozwój gospodarczy; nauka, edukacja, oświata, kultura, sztuka; ekologia; bezpieczeństwo publiczne; ochrona praw i wolności człowieka; działania na rzecz integracji europejskiej, pomoc ofiarom katastrof, klęsk żywiołowych, konfliktów zbrojnych oraz wojen w kraju i za granicą.

### DZIEŃ WOLONTARIUSZA

- święto obchodzone 5 grudnia ustanowione przez UNESCO w 1981 roku.

**1 PROCENT PODATKU** - jedno ze źródeł finansowa-

nia organizacji pożytku publicznego; istniejący od 2003 roku mechanizm, który umożliwia przekazanie przez osoby fizyczne 1 procentu należnego podatku na rzecz działalności wybranej OPP. W 2010 roku skorzystało z niego 8 623 928 obywateli, przekazując OPP łącznie 357 141 279 złotych i 41 groszy.

### NGO (ang. non governmental organization)

- organizacja pozarządowa instytucjonalnie oddzielona od rządu, państwa.

### OPP (ORGANIZACJA POŻYTKU PUBLICZNEGO)

- status ten może uzyskać organizacja pozarządowa,

stowarzyszenie jednostek samorządu terytorialnego lub podobnie działający na podstawie ustawy o stosunku państwa do Kościoła katolickiego, o stosunku państwa do innych państw i związków znaniowych oraz o gwarancjach wolności sumienia i wyznaniowych w wyjątkowych okolicznościach, OPP przysługują przywilejów, między innymi do użytkowania nieruchomości na preferencyjnych warunkach otrzymania i podatku dochodowego od osób fizycznych (1 PROCENT), zwolnienia z podatku dochodowego od osób prawnych, podatku od nieruchomości, opłat od czynności cywilnoprawnych, skarbowych i sądowych

**OPS MOŻE** - ośrodek pomocy społecznej, miejski ośrodek pomocy społecznej.

### POROZUMIENIE O WSPÓŁPRACY

- umowa zawarta między wolontariuszem a organizacją korzystającą z jego pomocy. Powinno określać zakres pracy wolontariusza, sposób jej wykonywania, czas współpracy, odpowiedzialność wolontariusza za świadczenie pracy. Do spraw nieuregulowanych w porozumieniu wolontariackim i ustawie o wolontariacie należy stosować przepisy kodeksu cywilnego.

ciąg dalszy alfabetu na stronie 28.



# Od tytana do wolontariusza

Co było pierwsze: wolontariat czy wolontariusz? Czy pierwszym dobrodziejem był biblijny miłosierny Samarytanin? A może chęć niesienia bezinteresownej pomocy zaszczerpił nam już boski Prometeusz, który dla słabych i opuszczonych poświęcił wygodne i łatwe życie tytana?

**P**rometeusz nie liczył na zyski. Po prostu dał bezbronnym, głodnym i drżącym z zimna ludziom boski ogień, nauczył ich przetapiać metale, budować domy, czytać, pisać, a nawet gotować.

A kiedy zwykli ludzie zaczęli pomagać innym? Wiele wskazuje na to, że losem chorych i umierających w Grecji i Rzymie czasów starożytnych przejmowali się wyłącznie lekarze. Przy swoich siedzibach, czasem przy świątyniach (jak na wyspie Kos), tworzyli coś, co dziś nazwalibyśmy hospicjami. Ta niespytykana wcześniej bezinteresowność miała ciąg dalszy. W kolejnych wiekach to głównie medycy ryzykowali życie i zdrowie, niosąc pomoc ofiarom wojen (na przykład krzyżowców) i kataklizmów.

Dziś również to oni tworzą jedną z najodważniejszych i najbardziej bezkompromisowych organizacji pomocowych. Członkowie działającego od 40 lat międzynarodowego zrzeszenia Lekarze bez Granic pojawiają się na terenach, które inni dobroczyńcy opuścili – najczęściej z obawy o własne bezpieczeństwo.

## Nie skąpił denarów

Na większą skalę dobroczynność rozwinęła się wraz z rozprzestrzenianiem się w Europie chrześcijaństwa, w które wpisana była pomoc najuboższym. Tak jak wpisana w nie była ewangeliczna przypowieść o miłosiernym Samarytaninie, wędrowcu, który urato-

wał życie człowiekowi napadniętemu przez zbrojczy, opatrzył mu rany, a potem nie skąpił denarów na jego dalsze leczenie.

W mrokach średniowiecza światłem dla biednych, chorych i opuszczonych stawały się szpitale, przytułki i sierocińce prowadzone najczęściej przez zgromadzenia zakonne, ale także przez zamożnych świeckich. Jednym z najświetniejszych ówczesnych szpitali, w którym rozdawano jałmużnę, był założony na przełomie VII i VIII wieku Hôtel-Dieu w Paryżu. W Polsce funkcję dzisiejszej fundacji pełnił między innymi zbudowany w 1152 roku szpital przy opactwie cysterskim w Jędrzejowie. Za jedną z najstarszych instytucji charytatywnych uważa się też lecznicę utworzoną – również w XII wieku – przez fundację biskupią we Wrocławiu.

## Testament z uczynkami

W okresie renesansu, kiedy humaniści zaczęli dostrzegać, jak bezbranny wobec przeciwności losu jest człowiek, coraz częściej włączano się w pomoc dla ofiar zaraz i wielkich głodów. W siłę rosły zakony, które nie ograniczały swojej działalności wyłącznie do modlitw, lecz także sprawowały opiekę nad sierotami, bezdomnymi i więźniami. Pojawili się też pierwsi misjonarze. Wincenty à Paulo, francuski ksiądz, w 1625 roku założył Zgromadzenie Misji powołane między innymi po to, by systemowo nieść ubogim pomoc materialną.



Fot. Granger/Forum

**Paryski Hôtel-Dieu**, pierwsze hospicjum średniowiecznej Europy. Chorzy dostawali opiekę, ubodzy – jałmużnę

**Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy** po raz pierwszy zagrała w 1993 roku. Na zdjęciu: Jerzy Owskiak podczas II Finału



## Kilka faktów z historii

- Starożytna Grecja**  
Przy swoich siedzibach lekarze bezinteresownie leczą miernoty dla przewlekłych chorych i umierających.
- Przełom VII i VIII wieku**  
W Paryżu powstaje najświetniejszy szpital średniowiecznej Europy Hôtel-Dieu – Dom (Przytułek) Boga. Jest zezdę wszystkim miejscem dystrybucji jałmużny.
- 1152 rok**  
Przy opactwie cysterskim w Jędrzejowie zostaje otwarty szpital dla ubogich.
- 1625 rok**  
Wincenty à Paulo zakłada Zgromadzenie Misji, które organizuje systemową pomoc dla ubogich.
- 1814 rok**  
Działalność rozpoczyna
- Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności.
- 1863 rok**  
Szwajcarski finansista Henri Dunant zakłada Czerwony Krzyż.
- 1971 rok**  
Medycy z Francji powołują do życia międzynarodową organizację Lekarze bez Granic.
- 1990 rok do dziś**  
W Polsce następuje rozkwit organizacji pozarządowych opartych na wolontariacie.
- 1993 rok**  
Powstało Centrum Wolontariatu.
- 1994 rok**  
Powstaje Polska Akcja Humanitarna.
- Styczeń 2011 rok**  
Po raz 19. zagrała Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy.

W tym czasie też coraz większą rolę zaczęli odgrywać dobroczyńcy, którzy co prawda byli związani z Kościołem, ale czerpali realne profity z pomagania innym. Dobrze uczynki wpisywano bowiem do testamentów, co miało stanowić polisę na udane życie wieczne.

Zmiana tego podejścia nastąpiła w XVIII wieku. Miłosierdzie, które gwarantowało przychylność niebios, coraz częściej zastępowała filantropia traktowana jako przejaw współczucia człowieka dla człowieka. Coraz częściej pojawiały się organizacje oraz towarzystwa nastawione nie tylko na doraźną pomoc chorym, ale także na wspieranie ich przez zapewnienie im pracy czy wykształcenia.

Rozkwit tak rozumianej filantropii przypada jednak – zarówno w Polsce, jak i na świat-

– dopiero na wiek XIX. Pod zaborami ogromne zasługi filantropijne odniosło Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności założone w 1814 roku między innymi przez Zofię z Czartoryskich Zamoyską. Na jednym z koncertów charytatywnych organizowanych przez WTD w 1826 roku słuchacze mogli podziwiać talent nastoletniego wówczas polskiego pianisty. Nazywał się Fryderyk Chopin.

Warto zaznaczyć, że w tamtych czasach w Polsce większość towarzystw dobroczynnych podporządkowana była ideom narodowym, oprócz prowadzenia działalności opiekuńczej zajmowały się kultywowaniem wartości patriotycznych.

## Krzyż i półksiężyc

Prawdziwego przełomu w postrzeganiu dobroczynności w Europie dokonał jednak dopiero szwajcarski kupiec i finansista Henri Dunant, który w 1863 roku powołał do życia Czerwony Krzyż. Zrobił to po wstrząsie, jakiego doznał na widok 40 tysięcy zabitych i rannych pozostawionych bez opieki po austriacko-włoskiej bitwie pod Solferino w 1859 roku. Dunant skrzyknął tubylców i bez większych trudności namówił ich do udzielenia pomocy rannym. Co istotne, bez oglądania się na to, do której armii należeli. Po powrocie do rodzinnej Genewy finansista wraz z kilkoma innymi wpływowymi Szwajcarami utworzył Międzynarodowy Komitet Pomocy Rannym, który ostatecznie zmienił nazwę na Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża. Z czasem do zrzeszenia narodowych organizacji zajmujących się dzięki sieci przeszkolonych wolontariuszy nie tylko pomocą rannym, ale też poszukiwaniem zaginionych dołączył znak Czerwonego Półksiężyca – islamski odpowiednik Czerwonego Krzyża.

Nasuwa się pytanie: kiedy bezinteresowne pomaganie, o które skutecznie zaważczył kiedyś Henri Dunant, zaczęło nazywać wolontariatem? Źródła słownikowe mówią jedynie, że wolontariat (łac. *voluntarius* – dobrowolny) to bezpłatna praca na rzecz innych z własnej, nieprzymuszonej woli. Wiemy też, że początkowo wolontariuszami nazywano ochotników przyłączających się do wojska.

## Pomoc uwolniona

Wolontariat traktowany jako praca społeczna, najczęściej w ramach organizacji pozarządowych, trzeba więc łączyć już z XX-wiecznym myśleniem o filantropii. W Polsce powojennej jednak do czasu upadku PRL wolontariat ograniczał się głównie do Związku Harcer-



XIX-wieczne początki Czerwonego Krzyża. Z pola bitwy rannych zabierała konna karetką

stwa Polskiego wywodzącego się z przedwojennego ruchu skautowego, jak też działalności Kościoła, na przykład Caritasu, którego pracę, zwłaszcza w stanie wojennym (zapewnianie żywności, ubrań, sprzętu medycznego i lekarstw), do dziś trudno przecenić. W socjalizmie jednak filantropia traktowana była jako kaprys burżujów, ponieważ państwo szczyściło się tym, że przejęło rolę dobrodzieja we wszystkich sferach życia obywateli. A garstka istniejących organizacji, takich jak Polski Czerwony Krzyż, Polski Komitet Pomocy Społecznej czy Liga Kobiet Polskich, była kontrolowana przez państwo i pozbawiona tego, co definiuje współczesny wolontariat – niezależności od rządu.

Dlatego prawdziwy rozkwit swobodnego wolontariatu w kraju nad Wisłą nastąpił dopiero po 1990 roku wraz z licznie powstającymi organizacjami pozarządowymi (zwanymi też NGO – *non-governmental organizations*). Dziś w działania Polskiej Akcji Humanitarnej czy Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy co roku angażują się dwa miliony Polaków. Dla większości z nich pytanie o to, co było pierwsze: wolontariusz czy wolontariat, nie ma chyba większego znaczenia. To nieistotne, czy ktoś nazywa ich filantropami, czy dobrodziejami. I kto właściwie był pierwszy: miłosierny Samarytanin czy jednak Prometeusz. W końcu dziś nie trzeba być tytanem, by dawać siebie innym.

Anna Szulc



